

Wstępniak – Jakub Radziejowski	2
Od Prezesa – Marek Kaliciński	3

KLAJMBING FIKSZYN

Ściana lodu – Bogusław Kowalski	4
Dolina – Jakub Radziejowski	6
Rok 2109c/c+ – Bartosz Kurowski	10
Taka sytuacja – Piotr Banasik	12
Pasja Życia – Andrzej Mecherzyński-Wiktor	17

TATRY

Podsumowanie tatrzańskie AD 2014/2015 – Jakub Tkaczuk	22
Wyżej niż podium – Wojciech Bajak	26

SPORT

Podsumowanie sportowe UKA 2014 – Bartosz Jarosiewicz	32
Co nowego w AGAMIE? – Małgorzata Kusztelek	42
Jura? Tak, ale... – rozmowa ze Stefanem Madejem – Jakub Radziejowski	46
UKA OPEN okiem organizatora – Marek Kaliciński	54

Cały czas jest miejsce na udoskonalenie swoich poczynąń – rozmowa z Kubą Główką – Łukasz Korzeniewski	60
--	-----------

WARSZAWSKIE LEGENDY

Górski Profesor – Wojciech Bajak	68
Leszek Milczarek – rozmawiał Jakub Rozbicki	74

ŚWIAT

UKA w górach Świata – podsumowanie AD 2014/2015 – Maciej Kowalczyk	80
Igraszki z Fickiem – Marcin Wernik	86
Squeeze babe! – Bartosz Kurowski	89
You're the reason I'm travelling on... – Maciej Kowalczyk	92

RÓŻNOŚCI

Różności – Mateusz Kluźniak	96
------------------------------------	-----------

BIEGI GÓRSKIE

Daleko od szosy – Mateusz Mioduszewski	100
--	------------

NA KONIEC

To co prawdziwe po latach – Jarek Mazur	108
---	------------

Biuletyn Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego „BUKA” nr 17, kwiecień 2015; ISSN 1730-0754
Nakład 1000 egz.

Redakcja: **Krzysztof Kowalczyk** (skład), **Mariusz Gładysz** (projekt), **Jakub Radziejowski** (naczelnictwo), **Agnieszka Tyszkiewicz** (sekretariat redakcji), **Katarzyna Winiarska**, **Mikołaj Albrycht**, **Ryszard J. Burek** (redakcja i korekta), **Marcin Wernik** (koordynator cyklu), **Grzegorz Głazek** (konsultacja).

Zdjęcie na okładce: **Maciej Popko**, pierwszy prezes UKA, podczas pierwszego przejścia *Direttissimi* Mniszka, rok 1962. **Fot. Józef Nyka**

Partnerem wydania jest **Narodowe Archiwum Cyfrowe** (www.nac.gov.pl)



Stanowiska wyrażone w artykułach oddają poglądy ich autorów, a niekoniecznie poglądy Redakcji lub Zarządu UKA. Wspinanie jest sportem niebezpiecznym, którego uprawianie wymaga specjalistycznego przeszkolenia i przestrzegania zasad bezpieczeństwa. Redakcja ani UKA nie ponoszą odpowiedzialności za ewentualne wypadki przy okazji uprawiania aktywności opisanych na łamach BUKI. Wspinasz się na własne ryzyko.

Wstępniak

Jakub Radziejowski

Różnorodność

Jestem w UKA już 20 lat. Pamiętam dobrze pierwsze spotkanie, na które wprowadził mnie Karol – w salce podnajmowanej raz w tygodniu na Uniwersytecie Warszawskim.

Pamiętam też nie więcej niż dwadzieścia obecnych osób, co – jak się później okazało – stanowiło pewnie ponad połowę członków ówczesnego Klubu. I wreszcie, pamiętam groźne spojrzenie Pani Prezes i pytanie, czy jestem już taternikiem samodzielnym.

Spotkania te były jedną z dwóch – nie licząc zimowych obozów starej kadry – form oficjalnego życia klubowego. Drugą było wynajmowanie ścianki w II SLO na ul. Nowowiejskiej – w tamtych czasach był to niezły rarytas i bardzo szybko w 100% wypełnił grafik życia klubowego. Wtorkowe i czwartkowe wieczory podporządkowane były wspólnemu wspinaniu, graniu w kosza i w gałę. Po treningu szliśmy do knajpy przy Placu Politechniki. Z każdym miesiącem było nas coraz więcej.

Wszystkie ówczesne wyjazdy klubowe związane były z górami. Latem i zimą migrowaliśmy w Tatry, Dolomity czy Alpy. W ostateczności jeździliśmy do Arco. Wiedzieliśmy co prawda, że „u strażaków” wspinają się sportowcy i skałkowcy, a w Krakowie to już „w ogóle”, ale nas to jakby nie dotyczyło. Działaliśmy w górach, bo to było nasze naturalne środowisko.

Z czasem klubowe „panelowanie” przenieśliśmy na ul. Siennicką. Było nas więcej i więcej. Gdzieś w międzyczasie pojawił się pierwszy klubowy sportowiec – Romek, którego wspinanie w górach nie interesowało, ale za to jako pierwszy UKA-owiec startował w zawodach i to z sukcesami.

Dziś sportowcy i skałkowcy z UKA to kilkadziesiąt osób osiągających wyniki na poziomie ogólnopolskim.

Górolazów jest jakby mniej. Owszem, bardzo dobrych przejść górskich nie brakuje, o czym świadczy choćby ostatni kwartał, ale fakty są bezlistne – tak jak całe środowisko wspinaczkowe w Polsce, a pewnie i na świecie, zmieniliśmy nieco profil działalności.

Dla większości z nas wspinanie to przede wszystkim panel i ewentualnie skałki – już nawet nie na Jurze, tylko na Weście (szerzej pisze o tym Marek na stronie obok).



foto. Krzysztof Goździewicz

Ala czy to źle?

Mamy w Klubie skiturowców, alpinistów, skałkowców, boulderowców, taterników i biegaczy górskich. Mamy fitnessowców, sportowców i himalaistów. Wiele pasji – jeden Klub.

Czy jest coś, co nas łączy, poza legitymacją UKA? Jestem przekonany, że tak. Nie chodzi tylko o przestrzeń, typ ruchu, zamiłowanie do działania w pofalowanym terenie. Chodzi o coś więcej, co obecne jest na łamach aktualnego numeru BUKI, w różnych jej zakamarkach. Poszukajcie. Myślę, że jak zwykle trafnie podsumowuje to Jarek w swoim tekście na końcu.

Co w takim razie znajdziecie w siedemnastej już BUCE? Różnorodność. Waszych przyjaciół i kolegów. Wspólną nam wszystkim przestrzeń. Zaczęliśmy od opowiadań. Tu każdy znajdzie coś dla siebie. Odmienne wizje przyszłości, znakomici autorzy – ta sama pasja. Na pewno spodobać się Wam świetne wspominki z Yosemite i Patagonii, pod względem warsztatu literackiego ani o krok nieustępujące fiksyonowym bujałkom.

Spotkanie też w BUCE ludzi – tych legendarnych, jak Leszek Milczarek, a także naszych czołowych sportowców – Kubę Główkę i Stefana Madeja. Lektura dwóch ostatnich rozmów, zestawiona ze wspomnieniami Leszka, pokaże, jak wiele się w wspinaniu zmieniło i jednocześnie jak wiele pozostało niezmiennie. Koniecznie musicie też przeczytać obszerny materiał o naszym pierwszym Prezesie, twórcy UKA, zmarłym w 2014 roku Maćku Popce. Gorąco zachęcam.

Oczywiście BUKA nie byłaby sobą, gdybyśmy nie zajęli się historią – „Wyżej niż podium” to arcyciekawe i nowatorskie spojrzenie na przedwojennych taterników.

Całość została okraszona sporą porcją podsumowań, relacji i różności z życia Klubu. Specjalnie dla ultrasów – a mamy w Klubie sporą ich reprezentację – zamieściliśmy kilka stron o bieganiu, napisanych, jak zwykle z przymrużeniem oka, przez Mateusza Mioduszewskiego. Szczególnie polecam też podsumowanie sezonu górskiego autorstwa Maćka Kowalczyka – jakże miłą opowieść na dobranoc.

A na koniec przeczytacie wspomniane już refleksje Jarka Mazura. Jarek długo szukał klamry dla swojego tekstu. Wydaje mi się, że znalazł coś więcej.

Milej lektury!

Od Prezesa

Marek Kaliciński



foto. arch. M. Kaliciński

W listopadzie, po ciężkiej chorobie, odszedł Maciej Popko, nasz Kolega klubowy, założyciel i Członek Honorowy UKA. Na pogrzebie żegnała go większość byłych prezesów UKA, kontynuujących już ponad 50 lat Jego dzieło – Uniwersytecki Klub Alpinistyczny.

Minął kolejny rok działalności Klubu. Tym razem obfitujący w świetne przejścia sportowe, jednak bez mocnych akcentów górskich. W 2014 roku Kapituła NUKI nie przyznała nagrody za osiągnięcia górskie (jedynie dwa wyróżnienia). Nasi Klubowicze przeszli pewnie

więcej dróg powyżej 8b w skałach, niż 6b w górach. I można by się doszukiwać przyczyn zmniejszenia zainteresowania górami w konieczności bardziej wszechstronnego przygotowania, posiadania większej ilości sprzętu czy w trudniejszym dostępie, lecz przecież Sportowcy równie mocno angażują się we wspinanie w skałach, bouldering czy starty w zawodach. Kiedyś prym wiodły Tatry, Alpy, Hindukusz, Himalaje, a teraz środek ciężkości przesunięty jest raczej w kierunku Fontainebleau. Jakby nie patrzeć, na przestrzeni lat zmienił się profil działalności Klubu.

Na pewno warto zauważyć, iż mimo coraz większej masowości, liczba „zapaleńców” traktujących wspinaczkę jako pasję praktycznie nie zmienia się od lat. Wyraźnie widać to chociażby podczas wyjazdów w skały, w których nadal znajdują się miejsce dla każdego, mimo że na ściankach panuje coraz większy ścisk. Przybywa też osób, które traktują wspinanie jedynie jako odmianę fitnessu – jedną z wielu rozrywek miasta.

Od lat nasze sukcesy górskie są domeną garstki Klubowiczów, a nagrody wielokrotnie trafiały w te same ręce. Niektórzy odpuszczają wspinanie na rok czy dwa, bo np. wyprowadzić się posypała, postanowili trochę odetchnąć i pobiegać po górach lub proza życia przycisnęła ich do ziemi. Osoby te jednak wracają, a mimo upływających lat są coraz mocniejsze. Co kilka lat dochodzi do tej garstki jakiś młodszy „rodzynek”, czerpiący z doświadczenia kolegów i startujący już z innego poziomu. Może niektórzy z naszych Sportowców też do niej dołączą i odkryją, co oznacza słowo „Alpinistyczny” w nazwie Klubu? Może Wy dołączycie? Życzę Wam tego.

Mimo braku sukcesów górskich w minionym roku, patrzę optymistycznie w przyszłość (garstka jest coraz większa). Wiem, iż rok 2015 na pewno będzie lepszy. Już możemy cieszyć się z dwóch super przejść: *Supercanalety* na Fitz Royu (Agi i Marcina) oraz *Superparanoi* na Kazalnicy (Krzyśka i Kuby). Gratulacje!

Wspólnie z Zarządem zorganizujemy dla Was kilka standardowych obozów, planujemy również umieścić nowe pozycje w kalendarzu (także te wspierające działalność górską). Mam nadzieję, że uda się je zrealizować i że będą cieszyły się dużym zainteresowaniem. Trzymam za Was kciuki (za siebie też)!

Z taternickim pozdrowieniem,
Marek Kaliciński

PS. Oczywiście nie zapomnimy o Sportowcach!

0 klubie



Uniwersytecki Klub Alpinistyczny jest stowarzyszeniem o ponad pięćdziesięcioletniej już historii, skupiającym ludzi czynnie uprawiających wspinanie we wszystkich jego postaciach. UKA jest jednym z największych klubów w Polsce, obecnie liczy sobie około 450 członków; zrzeszony w **Polskim Związku Alpinizmu**.

Chcesz do nas wstąpić?

Do Klubu zapraszamy wszystkie osoby, które posiadają już pewne umiejętności wspinaczkowe, czyli ukończyły kurs wspinaczkowy lub w inny sposób zdobyły wspinaczkowe doświadczenie. Jeżeli jesteś dopiero początkujący to oferujemy odpowiednie kursy. Pełna informacja o zasadach przyjmowania, kursach oraz o zaletach przynależności do UKA dostępna jest na naszej stronie www.uka.pl

Możesz też do nas napisać: uka@uka.pl

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny – zwiąż się z właściwym środowiskiem

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny

Stowarzyszenie kultury fizycznej
Organizacja pożytku publicznego
ul. Bohaterowicza 5/7, 03-982 Warszawa
www.uka.pl uka@uka.pl

KRS 0000108308

Konto bankowe: Nordea Bank Polska S.A.
16 1440 1299 0000 0000 0187 7801

Zarząd: Marek Kaliciński (prezes), Agnieszka Tyszkiewicz, Joanna Skurzak, Bartosz Jarosiewicz, Mateusz Kluźniak, Łukasz Korzeniowski, Zbyszek Warakowski, Marek Wierzbowski

Komisja Rewizyjna: Arek Koszek, Michał Łodziński, Karol Sulej

1% PRZekaż JEDEN PROCENT SWOJEGO PODATKU!

Od października 2004 Uniwersytecki Klub Alpinistyczny jest zarejestrowaną przez sąd organizacją pożytku publicznego. Status ten umożliwia darczyńcom przekazywanie jednego procenta swojego podatku na rzecz Klubu.

Wszystkie informacje dotyczące procedury przekazania 1% na rzecz UKA oraz najczęściej zadawane pytania znajdują się na naszej stronie www.uka.pl

Wybierz Uniwersytecki Klub Alpinistyczny!

Ściana lodu

Bogusław Kowalski

Miejsca na widowni Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie powoli zapełniały się, a na ekranie pojawiały się krzykliwe reklamy. Z głośników zachwalane były najnowsze zdobycze techniki pozwalające szybciej, wyżej i mocniej. Też było napięcie wywołane tym, co miało nastąpić. Pozostało już niewiele czasu do występu najlepszej alpinistki świata – Urszuli Steckiej. Starsza część widowni pamiętała ją z poprzedniego wcielenia, gdy wiele lat temu jeszcze jako mężczyzna próbowała wytyczyć nową drogę na najwyższej górze świata. Atak szerszeńskiego tłumu ogromnie wstrząsnął psychiką wybitnego wówczas wspinacza. Trauma okazała się bardzo trwała i doprowadziła do drastycznej przemiany. Jedynie miłość do gór pozostała niezmienna. Tymczasem przed budynkiem uniwersytetu rozgrywała się osobna scena. Zebrał się tam spory tłum podstarzałych mężczyzn. Usiłowali oni wdrzeć się do sali w celach bynajmniej nie pokojowych. Niemal co drugi trzymał transparenty z hasłami, wśród których można było przeczytać: „Stop gender”, „Z tego Ula miodu nie będzie”, „Wspinanie dla prawdziwych wspinaczy”. Na kurtkach tych późnych młodzieńców naszyte były naszywki z hasłem „Dziel”. Tu należą się słowa wyjaśnienia, szczególnie młodszymi czytelnikami. Nazwa ma swoje źródło w aferze, która wstrząsnęła polskim środowiskiem wspinaczkowym. Ścisłej mówiąc jest to akronim nazwy drogi wspinaczkowej *Golden Lunacy*. Jeden z nieprzejednanych krytyków wspomnianej drogi porożył anonimy do redakcji czasopism światowych. A że jego angielski był mizerny, to zdarzyło się w tych anonimach kilka lapsusów. Stąd krótka była droga od GL do Dzi-El. I gdy tak została ochrzczona ta grupa, to jej członkowie ratując swój wizerunek wymyślili, że Dziel pochodzi od słowa dzielność. Tym samym efektem dzielności jest podział, który trwa do dziś.

Wróćmy jednak na festiwal, gdzie przed budynkiem napierały tłumy skandując swoje hasła. Zza okien widać było rozgorączkowane twarze. Na czoło wysunął się duży człowiek posturą w żaden sposób nie przypominający wspinacza. Był, co tu dużo mówić,



rys. Rafał Biszon Burczyński

ogromny i raz po raz wykrzykiwał „Stecka na Madagaskar”. Co poniekąd było słuszne, gdyż Urszula nigdy dotąd nie wspiwała się na Tsaranoro. Niestety po chwili nic już nie było widać, bo nagły napad mrozu oszronił szyby budynku uniwersytetu.

**W środku,
na najważniejszy występ
wieczoru oczekiwali
tuptacze, zaspierze,
ślusarze, narzędziowcy,
baniarze i oczywiście
cała masa lanserów
kularowych.**

Rozmowy stawały się coraz krótsze, co chwila ktoś zerkał na zegarek. Na widowni zamierał gwar, bo na ekranie pojawiła się szczupła wysportowana postać stojąca na brzegu pontonu. Dron, z którego filmowana była akcja podleciał do przodu i można było zobaczyć, jak na zniszczonej już wiekiem i wspinaniem twarzy Urszuli drgają mięśnie. Przymrużone, niebieskie oczy wpatrzone były w ścianę czołową lodowca Perito Moreno.

Na ekranie pojawiło się słowo ZDAŻY i natychmiast zaczęły przybywać głosy na TAK i na NIE. Urszula zacisnęła dłonie na wykonanych z kompozytów czełkanach lodowych. Widzowie chwycili za przytwierdzone do foteli rękojeści, które dzięki nanotechnologii pozwalały współodczuwać emocje bohaterki. Ponton podpłynął tuż pod ścianę czołową ciążącego się lodowca. Wyświetlił się napis – 11 MINUT DO PRZEWIDYWANEGO OBRYWU.

Gdzieś tam na widowni usłyszeć można było okrzyki strachu, ktoś wzywał pomocy do omdlałego współtowarzysza. Nic dziwnego, bo pozostało niewiele czasu do tego, żeby blisko 60 metrowa ściana runęła z hukiem do fiordu, niszcząc wszystko w swoim zasięgu. Na twarzy Urszuli widać było ogromne napięcie, gdyż za moment nie będzie miała możliwości, żeby się wycofać. Cały szkopuł w tym, że kontrakt mówił o 10 minutach. Stecka miała jedynie 600 sekund na pokonanie lodowej ściany! Stała na burcie pontonu i pochylała się do przodu, emocje kipiące na widowni mogłyby stopić chyba cały Lodowiec Perito Moreno. Zaczęło się wsteczne odliczanie: cztery, trzy, dwa, jeden, ... Urszula rzuciła się do przodu! Z rozmachem wbiła czekany w lód i dociągnęła nogi osadzając przednie zęby raków. Nie było już odwrotu! Ktoś na sali zaczął łkać, gdzieś tam zaczęło się głośno modlić, a Stecka miarowo przemieszczała się do góry. Rozkład głosów nie pozostawiał złudzeń, 87% stawiało na NIE ZDAŻY.

Wtem przy wejściu na salę w pobliżu ekranu rozgorzała się bitwa w ręcz. To rozjuszeni Dzielni przedarli się przez kordon ochroniarzy i dostali się na salę widowiskową. Po krótkim czasie pojawiły się transparenty „To nie jest absolutny pion”, „Miał być kajak, a jest ponton”. Było jeszcze jedno, ale wstyd je cytować, choć muszą to zrobić z dziennikarskiego obowiązku, „Urszula Stecka nie ma jaj”. No cóż, była to prawda, a jednocześnie nie była, ale kto by tam w takiej chwili zajmował się rozstrzygnięciem tego problemu.

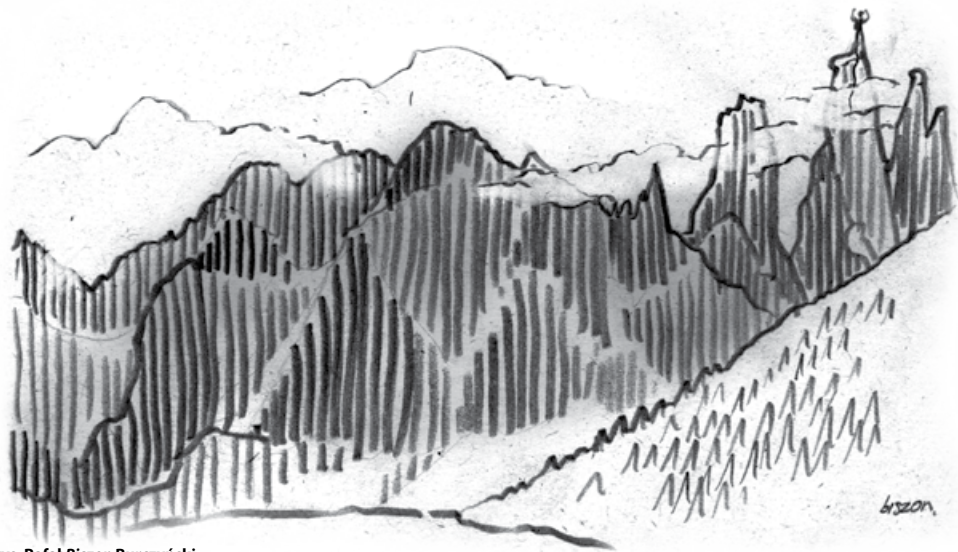
Do końca ściany pozostało jedynie 12 metrów, a z głośnika zainstalowanego na dronie zaczęło dobiegać odliczanie: piętnaście, czternaście... Słabsi nerwowo rzucili się do wyjścia, inni zakryli twarze, pary mocno wtuliły się w siebie. Oczywiście poza jednopłciowymi, które w obecności Dzielnych wołały zachować dyskrecję. Choć tak naprawdę było to niepotrzebne, bo ci zapatrzeni w ekran zamarli w bezruchu przeczuwając to, co nieuchronnie musiało nastąpić.

**Głosy na NIE
osiągnęły 97%.
a twarz Urszuli
wyrażała
bezradność.**

**Pomimo tego
desperacko
machająca czekanami
starając się
zwyciężyć
choćaby
moralnie.**

Tak naprawdę wszyscy wiedzieli, że za chwilę nastąpi koniec. Początkowo pojedyncze głosy przeraziły się przerażać w symultaniczny krzyk. Zapanał totalny chaos, przez który przedarł się ryk niewysokiego, siwego jegomościa z wąsami: NIŻEJ PIĘTY, K...A NIŻEJ PIĘTY. Stecka jakby to usłyszała, bo obejrzała się z niesmakiem w stronę kamery. Z ekranu krzyczały liczby dystansu i czasu jakie pozostały wspinaczce. Na pięć sekund przed końcem zaczął pulsować ogromny napis NIE ZDAŻY. Jeszcze trzy, dwie, ...

Najpierw rozległ się cichy trzask, który przerodził się w głuchy pomruk. I w końcu z potężnym hukiem wszystko runęło na dół! Ściana ekranu pękła pod naporem lodu i wody, a na widowni rozległ się wrzask zatapiających widzów. Fala uderzeniowa odbiła się od tylnej ściany sali i wróciła w stronę ekranu zabierając po drodze ludzi wraz z wyposażeniem widowni. Krzyk przerażonych ludzi powoli zamierał. Lodowate zimno ogarnęło całą przestrzeń, a na powierzchni pływały ogromne bryły. Na jednej z nich leżała, ciężko oddychając, Urszula Stecka. W końcu z sinych od zimna ust wydobył się ledwo słyszalny szept „zalałam kolejny festiwal”.



rys. Rafał Biszon Burczyński

Dolina

Jakub Radziejowski

6

31 sierpnia

Stoję na szczycie Spiczastego. Patrzę w dół wschodniej ściany i wciąż mam wrażenie, że to sen. Najtrudniejsza tatrzańska ściana, samym środkiem, samotnie. I do tego pierwsze wejście na pik. Czy to się dzieje naprawdę?

Patrzę na zachód, niewielkie chmury przewalają się przez widoczne w oddali wierzchołki Koziego Wierchu i Świnicy. Przede mną, u wylotu doliny zarys Buchynowych. Po prawej szczyty Z1 i Z2, a po lewej Turnia Sarumana i Wieża Mordoru. Wszystkie zdobyte przeze mnie w ciągu ostatniego miesiąca. Wszystkie dziewicze. Wszystkie sam nazwałem.

Bo ta dolina jest moja, wiecie... Moja i małej!

2 lipca – dwa miesiące wcześniej

Wracamy z Mnicha. Michał robił mi zdjęcia, jak żywcowałem *Misterium*. No cóż, czasem przychodzą mi do głowy takie głupie pomysły. W Tatrach nie ma już nic tak trudnego, by stanowiło to dla nas wyzwanie. Dlatego musimy je sobie z Michałem wyznaczyć

sami. Dziś ja onsajtem na *Misterium*, wczoraj on solo na *Metalice*. Fleszem. Taki klimat, wiecie.

Chłopaki mówią, że przesadzamy. No, ale jeśli mamy się rozwijać, to chyba tylko w ten sposób, nie? Dziewiczych ścian nie ma, zrobiliśmy już wszystkie najtrudniejsze drogi, a nowych wciskać między Łapińskiego a Paszuchę nie będziemy.

Zresztą, dziwnych ograniczników na Kazałnicy, poza które nie można sięgać i tak jest już wystarczająco dużo. Od kiedy między Filarem a *Wędrówką Dusz* dokręcono trzy żółte obłaki pod pretekstem zwornika do nowych wariantów, Kazałnica straciła dla mnie cały swój nimb. Bo przecież można jeszcze zrozumieć, że na wyjściu z *Czarnej Miłości na Zerwie*, tej wiecie, położonej na prawo od *Wędrówki*, nie wolno łapać małej krawądkę od obejścia Filara. Albo, że na tej nowej linii na Mnichu, pomiędzy *eRem* a *Sadusiem* nie wolno korzystać ze stopni od *Sadusia*, to także rozumiem.

No, ale dokręcenie trzech obłaków w Wielkim Okapie? To już jest przegięcie... Jeden naprawdę by wystarczył.

No więc jak wspomniałem, wracamy z Michałem z Mnicha i marudzimy, że nie ma nigdzie dookoła linii godnych naszego mistrzostwa, i że jak nie dostaniemy obiecane przez pezetę stypendium, to się tu zmarujemy. I trzeba będzie do Chin wyemigrować na zmywak. Tam przynajmniej jest ciekawa praca i mnóstwo wspinania. Tyle nowych ścian i rejonów.

Dochodzimy do schronu, który po liftingu, nie powiem całkiem, całkiem. Makuś jest i Kfasik też, mają nawet specjalną linię fastfoodów dla sportowców. No i już mamy wsiąść do auta, kiedy... Szok, po prostu szok.

Widzę taką małą, jak z koleżanką stoją przy elektrobramce liczącej turystów idących do baru na Opalonym. Mówię wam, wmurowało mnie, jak beton w skałę na starych drogach Szalonego. Jaaaa, gościu. Babka jak dolomicka direta. Po prostu idea! Michał też ją widzi i czeka, co ja na to. A ja wiecie, pełen luz zawodowca. Niedbale rzucam worek do bagażnika *coupé* mego starego i patrzę na nią tak, żeby widziała, że nie ucieknie. Jest z koleżanką, co właściwie dobrze się składa - nas dwóch, one dwie. Michał mówi, że je widział ostatnio na Climbonie, mała podobno nieźle się wspiła. No więc stoimy oparci o auto, pijamy iso i patrzymy. Czekamy co zrobią.

No i ta ruda, jej koleżanka, podchodzi do nas i wiecie, daje prosto z mostu.

– Jedziecie może do Kra? – próbuje się uśmiechnąć do mnie, ale ja patrzę na małą, żeby wiedziała, że to ją mam na oku. Więc ruda bierze na cel Michała i jedzie dalej. – Fajne autko macie, to wasze? Zmieścimy się z tyłu, co chłopcy?

– No ja myślę, chyba nie? – odpowiadam za niego – bierz koleżankę, wrzucajcie torebki. I jedziemy!

Mała podchodzi i bez słowa siada z przodu obok mnie. Michał uśmiecha się pod nosem i wycofuje się na kanapę koło rudej. I tak sobie jedziemy. Klimat taki, rozumiecie, nie?

W New Markecie zatrzymujemy się na żarełko w Toskanie. Kiedyś tu dawali najlepszą pizzę na Podhalu, ale odkąd poszli we frenczajzing, to trochę się posypało. Choć nadal makarony i iso mają nieźle. Ruda bez przerwy nawija, opowiada, jak to dzisiaj *Filar* zrobili, mała podobno trudności onsajtem. Kiwam głową z uznaniem, podpytuję czy sucho było, czy krawądkę ciągle zamagnezjowane przez warszawiusów, którzy zamiast normalnie, po ludzku tak, oesem się wspiąć, wiszą, patentują i chwyty polerują. Ona się uśmiecha, skromna jakaś. Mówi, że nie było tak źle i szybko zaczyna mnie pytać o moją solówkę. Patrzy też jakoś tak..., wiecie... Aż ciarki przechodzą.

No podoba mi się, kurka mała!

Wysadzamy je na Kaziku, mówi, że tam mieszka.

Już mam ruszać, ale łapię się na tym, że nie wiem, jak ma na imię.

– Grażyna, ale wszyscy mówią na mnie Gilly. Jakby co, to będę jutro pod wieczór na Climbonie. – I uśmiecha się jakoś tak, no sami wiecie, nie?

Ruszam z piskiem opon. Michał jakiś taki milczący.

15 lipca

Co za dwa tygodnie! Minęło jak błysk ciupagi. Wprowadziłem się do Gilly dwa dni po tym, jak je odwoziliśmy z Moka. Moglibyśmy właściwie z łóżka nie wychodzić, ale sami wiecie, ładować trzeba. Wytrzymałem teraz robię i z Michałem wrzuciliśmy sobie kolejny mikrocykl taki, że przebaczyć nie ma. Starzy czasem dzwonią, ale czasu nie mam gadać. Bo albo na skleję z Michałem, albo z małą siedzę. Fajne ma mieszkanko. Trenażery są. I *Wirtual Climbera* też ma na kompie.

W ogóle to cud kobita jest. Mówiłem już, że piękna jak *direttissima*? A że rusza się, jakby płynęła przez *Chińskiego maharadzę*. Nieziemsko jakoś tak. I gotuje jakieś takie rewelki, nuwel kiuzin czy coś takiego. Nie wiem zresztą, ja tam tylko wino otwieram i mówię, że smaczne. Bo dobre faktycznie jest. No, a w łóżku, to..., zresztą, co ja gadać będę. Nieźły klimat taki...

A! I nawet pogadać z nią jest o czym. Chwyty zna na naprawdę sytych przystawkach. *Niežność* robiła i *Made in Poland*. Na *Pandemonium* ruchy robi, tylko połączyć ich nie może. Przrzekłem poasekurować, jak wrócimy z Tatr.

No bo jutro, obiecałem, że pójdziemy razem na klasyk taki słowacki. *Hazard* na Wielkim Kościele. Mała mówi, że by się wreszcie w jakieś tatrzańskie sześć-siedem wstawiła. Robiłem to trzy lata temu, onsajtem nawet, no ale co, mogę chyba się poświęcić, nie?

Niech wie, że ja sympat..., empatyczny znaczący jestem!

30 lipca

Michała ze dwa dni nie widziałem. Eskę mi wysłał, że się źle czuje. W ogóle jakiś taki milczący jest bardziej. Z rudą mu chyba nie wyszło. Zaczął w skały więcej jeździć z Tymkiem. Proponowałem, żeby z nami jeździł, ale jakoś tak się wygał.

A my z Gilly, no po prostu życiowy OeS. Zaczęliśmy też w skały razem jeździć, trza się było na świat otworzyć, nie? Nie można tak tylko: łóżko i panel. Natu-ry na co dzień też potrzeba.

Mała zrobiła pierwsze kobiece *Pandemonium*. Trzy wyjazdy jej to zajęło, ale w końcu od czego ma takiego kołcza, nie? Znalazłem jej odpowiednią sekwencję, to

i musiało pójść. Szczęśliwa jakaś taka, jakby nie wiadomo co się działo. Niech ma, w końcu na wspinaniu.pl odmieniają jej nazwisko przez przypadki. Że taka świetna...

Moja zasługa, sama mi to mówi. No, rację ma, nie będę się sprzeczał. Mówi, że ma dla mnie prezent w ramach podziękowań. Tyle, że mi go chce w Tatrach pokazać. Ciekawe co to za ekscesik będzie, he, he. Pewnie klimat taki będzie, sami wiecie...

Poczekam. Pojutrze zobaczymy.

2 sierpnia

Kręcimy się po Buczynowej. Mówi, że coś mi da, że pod Pokutników musimy najpierw podejść. Kurna, co za parchy dookoła. Żebyście widzieli, aż dziwne, że się tu ludzie kiedyś wspinali. Jakby na desce zjeżdżali zimą, to rozumiem, ale, żeby tu cesty były? Wspinaczkowe? Taki na przykład ten Komin Pokutników, pod który podchodzimy. No jaaa, nie wiem, jak się po tym ruszać bez obrzydzenia można. Mokra to to, łatwe, gło-ny. No syf.

– Tutaj, tutaj – mała woła, żebym się nie ociągał. Stoi już z prawej strony komina – chodź za mną – mówi i znika w środku.

Chcąc nie chcąc idę tam, gdzie stała jeszcze przed momentem. Wchodzę w komin i słyszę jej głos gdzieś z dołu, po prawej. Nachylam się i widzę, że da się wejść, nawet jasno jakoś tak, światła nie potrzeba. Tylko mokro, staram się skały nie dotykać, co by mi shellotexa nie pobrudziło. Ojciec ze trzy tysie wydał. Szkoda go.

Idę kilkanaście metrów, dalej muszę się schylić i przycupnąć. Teraz bardziej na czworaka. Słyszę, jak Gilly woła, że jeszcze tylko kawałek. Robi się jaśniej, wychodzę na światło dzienne, przez chwilę nic nie widzę, przysmykam oczy - nie mogą się przyzwyczaić. Słyszę tylko jak mówi:

– To dla ciebie kochanie. Cała dla ciebie. Wszystkie dookoła są twoje. Możesz z tym zrobić, co tylko chcesz. – Otwieram oczy i rozglądam się dookoła...

Przedemną rozpościera się najpiękniejsza dolina górską na świecie. Czysta, słońce, jezioro i cztery..., nie, pięć najpiękniejszych turni, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Co to jest? – pytam zgłupiały po chwili. – Skąd to się tu wzięło? Mała?

– Nie pytaj, czy to ważne? – Gilly uśmiecha się tym swoim uśmiechem. Tym, no, sami wiecie, ciarki i te sprawy. – Ważne, że są twoje, wszystkie dziewicze i nie-nazwane. Możesz je zrobić sam, albo z Michałem. Możesz obfotografować i dać do sieci. Możesz nikomu nie mówić. Zrób co chcesz.

– Albo z tobą, ty nie chcesz ich zdobyć?

– Nie, nie teraz. To mój prezent dla ciebie.

W dolinie spędzamy dwie godziny. Chodzę i nie mogę uwierzyć, że takie чудо jest tak dobrze ukryte w naszych małych pierdzigórkach. Kazalnica i Mnich przy tych szczytach wysiadają. Po prawej i po lewej po dwie wspaniałe turnie, na oko minimum pięciuset metrów, lity alpejski granit, piękne jak z Patagonii. Zimą w śniegu muszą wyglądać jak jakieś Torresy czy coś. A na wprost...

**Na wprost
mówię wam, góra gór,
nieprawdopodobna
i niepowtarzalna.
Coś jak mieszanina
Cerro, Trango i Ak-su.
Minimum z tysiąc
metrów. Idealny,
a może nawet
i absolutny pion.**

Tko wie? Rysy, płyty, filary, zacięcia. Marzenie.

Po prostu P-I-Ę-K-N-A.

Mała siedzi na kamieniu i się opala. Spod przy-mkniętych powiek obserwuje, jak się miotam po dolinie i uśmiecha się jakoś tak dziwnie. Nie tak jak zwykle, wiecie jak? Tylko tak, no inaczej... Sam zresztą nie wiem.

Ale nie mam głowy o tym myśleć. Patrzę gdzie indziej, patrzę i wiem, że chcę je wszystkie zdobyć sam. Dopiero wtedy powiem Michałowi. A później może i innym.

27 sierpnia

Przez ostatnie cztery tygodnie żyję w amoku. Dla chłopaków z Kra właściwie mnie nie ma. Z małą też się coraz rzadziej widuję. Niby mieszkamy razem, ale ostatnio częściej bywam tu w Dolinie. Mojej Dolinie.

Przez te dni zdobyłem wszystkie cztery turnie po bokach. Każda była najpiękniejszą z pięknych i najtrudniejszą z trudnych. Wszystkie przeszedłem samym środkiem. Na cześć małej oczywiście – w końcu ona jest jak direttissima, od niej ta Dolina, to i same direttissime musiałem wytyczyć. Nie?

Cztery turnie, każda jak marzenie, ale wiem, że najlepsze ciągle przede mną. Jutro wchodzę w ścianę Spiczastego. Zajmie mi to pewnie ze trzy dni.

Mała mówi, żeby poczekać, żebym sobie coś zostawił na później. Mówi tak pewnie, bo jesteśmy nie-

wiele razem. Pierwszy raz widzę ją tak zniecierpliwioną i chyba nawet zirytowaną. Raz się nawet na mnie obraziła. To wtedy, jak wróciłem z Turni Sarumana i powiedziałem, że następnego dnia jadę na Z1. Teraz też nie bardzo chce ze mną rozmawiać.

Ale nic to, ułoży się przecież, jak zrobię Spiczastego. Jak wrócę, pójdziemy razem na urodziny Michała. Wszystko się ułoży. Nie?

31 sierpnia, koło południa

Stoję na szczycie Spiczastego. Patrzę w dół wschodniej ściany i nie mogę uwierzyć, że to nie sen. Najtrudniejsza tatrzańska ściana, samym środkiem, samotnie. I do tego pierwsze wejście na pik.

Patrzę na zachód, niewielkie chmury przewalają się przez widoczne w oddali wierzchołki Koziego Wierchu i Świnicy. Przede mną u wylotu doliny, mojej doliny, zarys Buczynowych. Po prawej Z1 i Z2, a po lewej Turnia Sarumana i Wieża Mordoru. Wszystkie zdobyte przeze mnie w ciągu ostatniego miesiąca. Wszystkie dziewicze. Wszystkie sam nazwałem.

Jestem najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Czuję, że amok opada, że wracam do świata. Wreszcie będę mógł znowu spędzić czas z Gilly, wrócę na panel, spotkam się z Michałem.

Michał! Przecież on ma dzisiaj urodziny. Mam się u niego spotkać z małą! Dobrze, że zdążyłem skończyć ścianę. Jutro puszcze obszerny materiał na wspinanie.pl. A tymczasem trzeba się spieszyć.

Zgarniam cały sprzęt i zbiegam szybko granią na przełęcz i z powrotem do Doliny. Ściany takie piękne i trudne, ale na całe szczęście zejścia, jak to w Tatrach: szybkie i łatwe. Zbiegam do Wodogrzmotów, wsia-dam w samochód i ruszam do Kra.

31 sierpnia, wieczorem

Miotam się po mieszkaniu Gilly próbując znaleźć jakieś czyste ciuchy. Zapaściłem się, kurna. Nie prałem od dziesięciu dni, to i czystych rzeczy mniej. Mała musiała wyjść zanim wróciłem z Tatr. Nic, spotkamy się u Michała.

W końcu znajduję jakiś nie do końca brudny podkoszulek z napisem „Climb goes on”, wciskam na siebie i wybiegam na miasto. Po drodze jeszcze wpadam do Stanki po ulubione wino małej i każę się wieść taką (a niech tam, taka ściana, taki miesiąc, można zaszaleć, nie?).

Do Michała wchodzę przed dziesiątą. Tłum ludzi, sporo znajomych. Pojutrze Puchar kraju na Climbonie, więc są też ludzie ze stołycy i Bałut. Mierzą sobie wzajemnie bicki i licytują się stopniem doładowania. Żeby oni wiedzieli...

Dostrzegam Tymka, który pokazuje mi z daleka kierunek do pokoju. Wchodzi i widzę Gilly. Patrzy na mnie. Zastygam.

Mała oparta jest o Michała. Co tam oparta! Ona się do niego tuli. A ten korń jakoś tak głupio się uśmiecha, czerwony na twarzy z podniecenia. Mała szepcze mu coś na ucho. Michał mnie wreszcie zauważa, zostawia ją i podchodzi. Widzę, że się denerwuje.

– Wiesz stary – zaczyna, a ja nie mogę wydusić słowa. – jakoś tak wyszło... Nie było cię przez ostatnie dwa tygodnie. Widywałem się z Gilly, bo potrzebowała partnera w skały. No i wiesz, samo, tak jakoś wyszło. No... sorry, taki klimat, stary... Rozumiesz, nie?

**Nie mam siły
się odezwać. Zmęczenie,
emocje i przeżycia
ostatnich dni otępiły
mnie chyba bardziej,
niż mi się wydawało.**

Zostawiam ich w salonie i wchodzę do kuchni, gdzie chłopaki piją iso i gadają o ruchach na *Realization*. Otwieram wino i nalewam sobie hojnie do szklanki.

– Gdzieś ty był ostatnio, stary? Co się stało, żeś sobie dał taką dziewczynę odbić, co? – to Tymek, fajny chłopak. Ze sto pięćdziesiąt razy się potrafi podciągnąć.

– Eech, szkoda gadać. – nie chce mi się nic mówić. – Takie tam rzeczy miałem do zrobienia.

– Zachowywałeś się podobno ostatnio, jakbyś co najmniej szykował wyprawę na Trango? Jakaś tajemnica?

Mailczę, nie wiem, co powiedzieć. – Nic, mówię ci. Po prostu rodzinne sprawy, nie ma o czym gadać. – decyduje się w końcu. Już wiem, że Dolina na zawsze zostanie moja. Taka pamiątka po małej. A inni niech się gnieżdżą na Mnichu.

Staram się uśmiechnąć.

– Wygląda na to, że straciłem za jednym razem dziewczynę i przyjaciela. Nie masz ochoty poładować jutro z rana?

Tymek podnosi w odpowiedzi szklankę i wychyla zawartość jednym duszkiem

– Na panel to ja zawsze jestem na tak. W końcu muszą być w życiu jakieś priorytety, nie?

Rok 2109c/c+

Bartosz Kurowski

Zmierzchało, na ulicach ruch powoli ustawał. Za dwadzieścia minut, o godzinie dwudziestej drugiej zaczynała się cisza nocna. Pilnie przestrzegana przez wyznawców i obywateli, przez ortodoksów treningu i wiernych trzeciemu punktowi regulaminu BZA*. Przypomnę – punkt trzeci głosi, że należy kłaść się spać o godzinie dwudziestej drugiej, gdyż najlepsza regeneracja potreningowa następuje w czasie snu pomiędzy 23 a 2 w nocy. Wszyscy zładowani po sesjach na kampusie, interwałach, seriach przybloków i przywisów, oni właśnie złożyli swe spracowane mięśnie w objęcia snu.

Trzy cienie oderwały się jednak od zmroku oblepającego otoczenie i chyłkiem – przykulone, rozpozczęły gonitwę od zaułka do zaułka. Nikt z trójki nie wpadł na to, że wielkie crashpady na ich plecach mogą stworzyć problemy z byciem niewidocznym. Ale nic to. Cicho, na paluszkach, przemieszczali swoje wyżyłowane i godne politowania łykowate ciała w kierunku, gdzie – jak wieść niesła, znajdował się zacny baldzik.

Kamery wykryły ruch. Wszechobecny wzrok obserwował skaczące cienie, ale nie reagował jeszcze. System monitoringu wykrył zagrożenie. System sprawdzony, którego skuteczność już dawno potwierdziły sukcesy w ochronie zagrożonych gatunków TPNu** (m.in. Strusia Turniowego i Tygrysa Giewonckiego, przez niektórych zwanego „Widmowym”). Pomimo wielkich zasług, system został później wycofany z obszaru Tatr. Z dwóch powodów. Po pierwsze słowacka, bratnia służba ochrony przyrody w swej zapalczywości usunęła nie tylko chore i powalone drzewa, ale również (prewencyjnie) wszystkie zdrowe – po obu stronach granicy. Drugim powodem były regulacyjne (i regularne) odstrzały zwierzyny na obszarach parku, które doprowadziły do regulacji ostatecznej. Brak form żywych pociągnych za sobą likwidację parku i likwidację systemu.

Tak więc cienie zostały dostrzeżone i decyzyjnie o rozpoczęciu akcji zapadła. Półmrok, w którym ręka wspinacza zmierzała właśnie w pół statycznym - pół dynamicznym ruchu do ni to krawadki - może oblaka, rozerwany został brutalnym światłem reflektora. Nic tam nie ma! – zakrzyknąłby obserwator, wrażliwy na uroki boulderingu. Jednak nie to było porażające.

Trzech wspinaczy zostało przyłapanych na czynie niegodnym członka uczestnika. Na czynie tak podłym, że ścinał białko w szejkerze. Zostali rozpoznani jako Jan-Maria (L 9120p, B 8050p), Tomasz (L 13200p, B 11700p) oraz Kelo (L 0p, B 2915190p).

– No ładnie! – starszy ekiper wycedził przez zęby i powiódł wzrokiem po zebranych. Zatrzymał go na Kelo i dodał – Będzie paka jak nic!

– Zgromadzonych uprasza się o ciszę, to nie są zawody! – powiedział sędzia mechanicznym głosem do zgromadzonego na sali tłumu. Sala zafalowała i rozległ się cichy szelest trącego o siebie perteksu. Głos zabrał starszy ekiper.

– Koleżanki i koledzy. Widzimy tych trzech nie po raz pierwszy na tej sali. Każdy może popełnić błąd, lecz w tym przypadku jest to jawna działalność na rzecz destabilizacji ustroju!

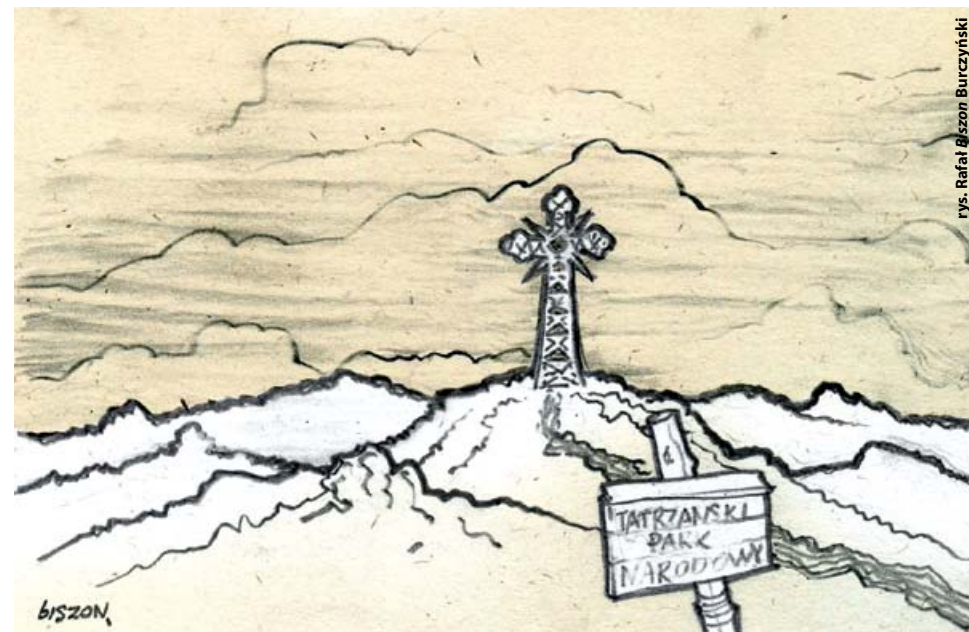
Ekiper zamilkł na chwilę i na sali zapadła niemal głucha cisza, zakłócana jedynie cichym przeżywaniem jakiegoś zawodnika, który restrykcyjnie trzymał się planu co-trzygodzinnych posiłków w ciągu dnia.

– Od lat budujemy wspólne państwo – podjął – kraj, w którym bezpieczeństwo i komfort będzie na pierwszym miejscu. Kraju, gdzie zysk treningowy będzie maksymalizowany, drogi ustandaryzowane, a wycena trudności klarowna i oczywista. Ci przestępcy, nie bójmy się tej nazwy, zupełnie świadomie zarywają noce, aby wstawić się w najlepsze baldy. Bez przestrzegania kolejki! Bez weryfikacji, czy w ogóle są tego godni!

Tłum zawrzał. Ktoś z oburzeniem krzyknął: – Żeby się wstawić w *Karmę* na Zefirowej musiałem czekać 2 lata!

Sędzia zastukał drewnianym młotkiem i tłum ucichł. Tym razem ciszę zaburzyły niepokoje w lewym rogu sali, bo ktoś musiał wziąć carbo przed treningiem. Ekiper kontynuował:

– Co więcej, wspinali się oni z użyciem crashpada bez certyfikatu. Wspinali się też bez odpowiedniej znajomości drogi przed onsajtem, nie oglądając jej chociażby ze zjazdu lub z drabiny! To się mogło skończyć kontuzją. Łamie to wszelkie zasady moralne i uderza



w fundamenty państwa, wnioskuję o najwyższy wymiar kary.

Sędzia zsunął okulary na nos, pochylił się nieco znad stołu ku oskarżonym i rzekł:

– No gagatki, wszelkie dowody świadczą przeciw wam. Również wasza ciemna przeszłość i nagminne powracanie do tych samych występów dają mi tylko jedną możliwość. Skazuję was na sześć mezczykli wytrzymałości, zakaz żelaza przez pół roku i wieszanie trzecich bezpiecznych w całym nadchodzącym sezonie wspinaczkowym. Oczywiście z zachowaniem wszelkich standardów bezpieczeństwa!

Sala eksplodowała od wrzawy. Tak surowego wyroku nie słyszano od dawna. Mimo wszystko na twarz skazańców znać było potępięcze uśmiechy, jakby nic sobie nie robili z całego zamieszania.

JanMaria zeskoczył z dmuchanego materaca strażackiego, zdjął kask i ochraniacze, splunął i siadł na kamieniu obok, żeby skrócić peta. Kolejna trzecia bezpieczna powieszona.

– Kiedyś wydawało mi się, że jest dobrze, przynajmniej częściowo – powiedział, układając tytoń – No wiecie, mamy niby dostęp do najlepszych obiektów, sprzętu i suplementów. Plany treningowe są optymalizowane, wszyscy mają progres. Ale coś mnie w tym jednak gryzie, ja się duszę. Tylko nie wiem czemu...

Wsadził papierosa w kącik ust i odpalił, zaciągając się powoli.

– Bośmy w tym wszystkim zaszli za daleko – wtrącił się Kelo – co z tego, że naród jest silny jak bestia i każdy robi trudne problemy. Ponoć jest taka stara teoria, że siła fizyczna to nie wszystko.

– Mówisz o tych mentalnych głupotach, o których opowiadał twój dziadek?

– To wcale nie jest takie głupie. Posłuchajcie. Ponoć w dawnych czasach nie było standardu wpinek co 1 metr i 7 centymetrów. Były drogi, które wymagały od zawodnika nie tylko siły i wytrzymałości, ale też pewnego poświęcenia psychicznego, czasem na drogach były wpinki trudne, czasem były runouty.

– No coś ty, kto by się zdecydował wychodzić wysoko nad wpinkę? – spytał JanMaria – Przecież to grozi długim lotem i można się poobijać. No i pewnie jest przerażające.

– I o to w tym chodzi. Kiedyś nie miałeś nic za darmo, a jak musiałeś się poświęcić i powalczyć, to doceniałeś drogę. Takie przełamywanie siebie, ponoć nazywa się wychodzeniem ze strefy komfortu. Psychiczny progres. Za każdym razem robiłeś przechwyty więcej i ruch dalej w sytuacjach, w których nie czułeś się pewnie. Moim zdaniem to powinno wrócić, to wydaje się mieć sens.

– Nie gadaj pochopnie – rzekł TomaszS i rozejrzał się – przemysł.

– A kojarzycie coś takiego jak alpinizm? – zmienił temat JanMaria.

– Coś mi się obilo o uszy, ale nie wiem co to. Pewnie jakiś kolejny wymysł naszego wspaniałego ustroju. Od kiedy zakazali wszelkich wydawnictw poza NBW***, to przestałem śledzić prasę. – powiedział Kelo i zatrzymał wzrok na sobie wiadomym punkcie.

Zapadła cisza, słońce refleksami odbijało się od wyszlizganej gładzi Lechwora, który od lat stał za szklanym parawanem, jako zabytek historyczny klasy pierwszej. Tuż obok stała replika wykonana w drukarce 3-wymiarowej, po której można było się wspinać, ale podobno chwyt i stopnie zostały zoptymalizowane pod kątem minimalizacji ryzyka kontuzji.

– Dobra, ja wam powiem jak było – TomaszS najwidoczniej nie wytrzymał napięcia i postanowił podzielić się skrywaną wiedzą. – Kiedyś znalazłem na strychu pęczek magazynów wspinaczkowych. Zakurzone, związane taśmą leżały wciśnięte gdzieś w róg. Słuchajcie. Te magazyny miały ze sto lat. Zarywałem treningi kolejny tydzień, ale udało mi się przejrzeć wszystkie. Wypisywali tam niesłychane rzeczy i wydaje mi się, że nie robili tego dla hecy, te rzeczy musiały dziać się naprawdę.

– A więc kiedyś – kontynuował, – kiedyś nie było standardów bezpieczeństwa, które wszystkich uziemiły. Ten alpinizm dla przykładu, o którym wspominaś, to wspinaczka na góry. Na szczyt, wspaniałą ścianą, no – wiele wyciągów, często na własnej asekuracji. Brzmi nieźle co?

– Musi być strasznie męczące. Zresztą trad jest od dawna zakazany konstytucyjnie. – powiedział Kelo.

– Jest, ale nie był. – podjął TomaszS – Jesteście sobie w stanie wyobrazić ten dreszczyk emocji?

– Jestem sobie w stanie wyobrazić zimnego browar. Napiłbym się piwa, zimne piwo wywołuje u mnie dreszcze emocji. – odparł JanMaria i wyłożył się na trawie.

Kelo zarechotał. TomaszS nie zraził się i podekscytowany mówił dalej:

– Czytałem o niesamowitych akcjach górskich, o wspaniałych wspinaczach i o pierwszych przejściach. Coś niesamowitego! Widziałem zdjęcia, zdjęcia gór. Wdzieliście kiedyś góry, tak żeby wam dech zaparło, żeby tam pojechać i zdobyć? Żeby przeżyć przygodę!

– Przygoda – powiedział Kelo – przygoda umarła.

* BZA – Bezpieczny Związek Alpinizmu

** TPN – (nieistniejący już) Tatrzański Park Narodowy

*** NBW – Narodowy Biuletyn Wspinaczkowy

Taka sytuacja

Piotr Banasik

Działo się to w czasach, kiedy obroncy przyrody jeszcze myśleli, że można ją obronić nie wpuszczając w skalę wspinaczy. Władze tak zwanego „Parchu” umożliwiły filasom strzelanie do nas z ostrej amunicji magnetycznej. Po kilku latach sukcesów polegających na wyeliminowaniu kilku nienajgorszych zawodników w tej części doliny, okazało się, że filas z magnetykiem był w spotkaniu ze wspinaczem większym zagrożeniem dla siebie, niż dla swojego naturalnego wroga. Role się odwróciły i w oficjalnych raportach pojawiał się podobno remis na poziomie 30 do 30.

Wkrótce potem odebrali uprawnienia filasom do używania broni i zaczęli szukać innych radykalnych rozwiązań. Zupełnie nie sprawdzili się multikoptery bez-

załogowe, które nawet przeciętnie sprytny wspinacz potrafił wyhaczyć za pomocą prostej aplikacji na kwarkofonie. Wkrótce okazało się, że staliśmy się bodaj ostatnimi aktywnymi uczestnikami projektu, który ostatecznie doprowadził do „rozwiązania” problemu wspinaczy w tej części Unii.

Po cichej i gwiazdziej nocy spędzonej w opuszczonej chacie na rozległym zworniku w kształcie siodła ruszyliśmy o świcie w górę. Wysokie zaspy śniegu, olbrzymie głazy i powywracane korzeniami do góry drzewa utrudniały marsz. Gdy dochodziliśmy na miejsce robiło się ciemno. Był koniec grudnia i to, co przed chwilą było szare teraz błyskawicznie pogrążyło się w ciemności. Przelączyliśmy gogle na opcję nokto.



Użycie podświetlań fotonowych nie wchodziło w rachubę. Fale są bardzo łatwo incytowalne nawet na znacznych odległościach. Patent z kolorowym nokto był super.

W elektronicznym topopleksie nasza pozycja pokrywała się z komunikatem „start”. Wejście w drogę znajdowało się na spadzistym trawniku około 10 metrów nad nami. Wpatrywaliśmy się w nie przez dłuższą chwilę. Suche trawki poruszały się spokojnie na wietrze, osypując się ze śnieżnej warstwy nawianej z wyższych partii ściany. Coś pojawiło się w polu widzenia nokto i zwróciło naszą uwagę. Jakiś obiekt poruszył się tam delikatnie, na co natychmiast zareagowały czujniki noktacyjne. Ustawiłem precyzer. Na wyświetlaczu pojawiły się rzędy pomarańczowych znaków, tworzących zbiór danych na temat tajemniczego gościa.

Masa 1221 g. Temperatura 120 stopni. Średnia gęstość 12 kg/m³. Zbieżność 99% Syntrol.

Poniżej jakieś bla-bla-bla-bla..., jak w wikirectope-dii na temat historii, biologii i skopologii. Właściwie nie

wiadomo po co te dane. Kogo na przykład obchodzi, jaki jest skład jego odchodów i jak je utylizować?

– Spoko – powiedziałem cicho, jakbym się bał spłoszyć to dziwne połączenie ssaka i karalucha – Syntrol wcina pewnie jakiegoś zimolubnego pajęczaka na kolację. I pomyśleć, że takie badziewie jest pod ochroną. Humanoidów się nie boi bo jest niejadalny. Mnoży się niezależnie od warunków. Nie zimuje, ale tworzy formy przetrwalnikowe. Ponadto odżywia się wszystkim, co z grubsza uznać za materię organiczną. Równie dobrze można by objąć ochroną wór węgla.

– Jest OK. Tu kiblujemy. Idealne miejsce. – ZakX zawyrokował pewnym głosem.

– Uważam, że do dupy. Pylówki będą nam walić prosto na czapy.

– Nie będą. To niby filar, ale tak naprawdę wywieszony kilkanaście metrów. Skrzesam ju-włopakę. Należy nam się trochę cieplej karmy.

Poszukiwanie tego miejsca trwało kilkadziesiąt minut. ZakX był mistrzem świata w temacie braku orientacji w terenie. W tak zwanym środowisku mówiło się, że część zrobionych przez niego nowych dróg powstała przez absolutny przypadek. Szedł zrobić fajną diretę, a wracał jako autor parchatej diagonali, która przez pokolenia nie mogła doczekać się powtórzenia.

Zanim skończyłem się rozglądać ZakX, podawał mi moją porcję karmy. Szary puc złożony z albuminy i aminokwasów z kilkoma pirogramami khatu. Na szczęście nie miała żadnego smaku, bo jeśli miałyby smakować tak, jak wyglądała, to z pewnością nie przeknąłbym ani kęsa.

– Łil. Sprawdź czy w zasięgu nie mamy jakiegoś elektrogenicznego towarzystwa.

– Spoko. Tylko zrzuć gdzieś wora, bo mam wrażenie, że zaraz mnie wciśnie w śnieg.

Cały szpej musiał ważyć ze 2 kilo. Mimo że uchodziłem za osiłka, ważyłem zaledwie 45 kilo przy 137 cm wzrostu. ZakX był ze 4 kilo lżejszy, czego w głębi ducha mu zazdrościłem. Przy takiej przekładni pewnie sam robiłbym w skale 5.54. A tymczasem mój max to było 5.48, czyli cała przepaść do 5.50, które ZakX wciągnął w ostatnim sezonie letnim. Na planecie po ostatniej wojnie ewolucyjetyka przyspieszała gwałtownie i tak kierowała metamorfazą, że jednym szło w masę – jak mi, a innym, jak ZakXowi – w kośćcie. Dysproporcje w osiągnięciach wspinaczkowych były olbrzymie.

Przeczocharałem teren skanerem fal elektrogenicznych. W strefie o promieniu 6 kilometrów nie było nic,

co mogłoby niepokoić. Jedyne wykryte czynny sprzęt, to kilka naszych gąsienic, niezbędnych do bezpiecznego poruszania się w tej okolicy.

– Żadnych obcych w okolicy nie ma. Na wszelki wypadek na noc włączam deflektopad jonowy.

Po rozłożeniu płachty i wrzuceniu do niej rzeczy, w ubraniach wpełzliśmy do wórleszy. Spaliśmy 200 minut. Do pełnej regeneracji wystarczy około 120. Mimo znacznego chłodu obudziliśmy się zęsy i pełni sił. Do świtu brakowało jeszcze z 600 minut. Wspin zaplanowaliśmy w ten sposób, żeby pierwszy kibel wypadł w 1/4 ściany. Pozostałą drogę mieliśmy przebyć jednym ciągiem przez następną noc i poranek.

Spaliśmy w powłokach i butach, więc przygotowania do wyjścia były niezwykle krótkie. Płachta i lesze wrzuciliśmy do plecaków. Raki na buty i wpięcie stalówki do tytanowych implantowosporów wystających spod paraszotów. Bardzo rzadko się zdarzało, że siła wyrwywająca tytano-higsowy implant uprząży zakotwiczony w mostku wystarczała do wyciągnięcia go z monokości. Jednak ból przy obciążeniu zbliżającym się nawet do połowy tej siły był nie do wytrzymania. Tylko raz przeżyłem podobny lot i od tamtej pory rzadko atakuję trudności powyżej swojego aktualnego maxa. Takie loty niestety znacznie osłabiają sarko, czym u niektórych wspinaczy spowalniają progres.

Zacząłem pierwszy wyciąg. Start z trawek wprost do góry lewym ograniczeniem szerokiego komina. Poczulem, że moja stopa trafiła na coś lepkiego. Jak wrócić do lokowiska, to dopiszę do wiki jeszcze jedno zastosowanie odchodów Syntrola – pomocne przy próbie sięgnięcia do odległych chwytów. Oczyszczenie o wapieni podeszwę na tyle, na ile pozwalały warunki i zapaliłem.

Palce głodne wspinu przywierały do lodowatego wapienia, jak macki gekona do szkła. Napierałem pod pierwszą barierę okapów. Tak jak w opisie. Nie było żadnych stałych punktów asekuracyjnych. Po drodze wkręciłem więc w wapieni dwa wkręty, żeby się choć trochę zaasekurować. Zanim się zorientowałem skończyłem pierwszy wyciąg. Całość pociągnąłem klasycznie oceniając trudności na stare 5.23. W skale za przewinięciem tkwił jakiś stary, kuty hak. Zacząłem zakładać pętlę, kiedy hak rozsywał mi się w rękę. Chyba był z żelaza, bo dosłownie zgmiotłem go dwoma palcami. Wkręciłem więc w ścianę standardową śrubę z textionu, wpiąłem MPK i zacząłem ciągnąć linę. Po 10 minutach był przy mnie partner i nie czekając na zachętę przejął szpeja wiszącego na stanowisku. Spojrzał na długą rysę wijącą się w szerokim okapie. Miała mniej więcej stałą szerokość. Z powodzeniem można było klinować ręce i nogi. Z jakichś nieznanych powodów miejsce to nazywało się „Rysa Kołkowa”. Pewnie cho-

dziło o jakiegoś pasłowińskiego wspinacza o nazwisku Kołkow. Po krótkim przemyśleniu ZakX odłożył połowę szpeja, który chwilę wcześniej porwał ze stanu.

– Idę – rzucił krótko i ruszył w górę.

Przełożył parę razy ręce w rysie i już był w jej połowie. Nogi wisiały luźno w powietrzu. Skurczybyk nawet się nie zdyszał. Rysa mogła mieć z 5.35, ale jak ZakX szedł, to nie wyglądała na więcej niż 5.20. Musiało być ciężko, bo wywieszenie wynosiło grubo ponad 5 metrów i 20 metrów długości, co przy naszym wzroście naprawdę było dużym dachem.

Minuty szybko mijały. Na chronotracku pojawiła się informacja. Kątem oka wyczytałem 308 minut do przewidywanego zaciemnienia. Za kilkadziesiąt minut powinniśmy rozkładać płachtę biwakową i składać się do spania. ZakX zniknął za przewinięciem okapu. Posypały się obfite pyłki. Stalówka szybko uciekała mi z magnetorolki. Powyżej okapu musiało być łatwo.

Wydałem już sporo linki ale nadal nie słyszałem w interfonie spodziewanego „auto”. Nagle pod okapem pojawiły się nogi ZakXa, a chwilę później cały ZakX. Opuściłem go do stanowiska.

– Co jest? – zapytałem zdumiony.

– Niespodzianka. Musisz podejść do śruby zjazdowej. Powyżej niej znajduje się mina kaloporowa. Jak ja do niej podejść to na bank eksploduje.

Generalnie ZakX miał wszystko lepsze. I kwalifikacje i predyspozycje, i nawet ciuchy. Ale jedno miał zdecydowanie gorsze. Był w 25 procentach składakiem. Jego ciało wypełnione było różnym materiałem implantacyjnym. Składał się nań kewlar, grafen, karbo jeszcze z lat dwudziestych poprzedniego stulecia a nawet inoxyna. W ciągu swojego stu czterdziestoletniego życia i intensywnie prowadzonej działalności wspinaczkowo-wypadkowej nabierał tego dosyć sporo. W każdym razie każde zbliżenie ZakXa do miny groziło aktywnością któregośkolwiek z kilku zapalników umieszczonych w tego typu minie i w konsekwencji szybkim powrotem na dół w tempie, jakie może zapewnić spora jak na warunki planetarne grawitacja.

– Która generacja? – Spytałem.

– Po gabarytach wygląda na trzecią, ale może to być atrapa.

– OK. Spróbuję ją zneutralizować. A powyżej jakie są trudności?

– Ta mina to są nasze trudności. Powyżej niej są same przyjemności.

Nie powiedziałem już nic więcej. Wymieniłem końcówki asekuracyjne, złapałem ze dwie śruby i porolowałem na magnetorolce wzdłuż stalówki. W kilka minut znalazłem się w odległości metra od miny. Wyglądało to tak, jakby ktoś próbował ją zamaskować, ale prawdopo-

dobnie jakieś pactwo i inne żywe badziewie pielęgnujące odgrzebało ten złom. Mina była ulokowana na wysokości mojej głowy. Spoczywała na niewielkiej półce osłoniętej od śniegu. Nie była przyklepiona do podłoża. Z pewnością była poruszana po aktywacji. Na oko mina musiała tu leżeć już parę sezonów, ponieważ jej czarna powierzchnia nabrała wyraźnego matu i w jednym miejscu nawet pojawił się purchel od korozji.

Wpatrywałem się w przedmiot chyba zbyt długo, bo w interfonie usłyszałem zniecierpliwiony głos ZakXa.

– Łil? Co się dzieje?

– Nic. Ta mina to niewybuch. Idę dalej.

Wstrzymałem oddech i pewnym ruchem strąciłem czarny sześcianik z półeczki. Niestety ruch był nie- zbyt precyzyjny i mina wylądowała dwa kroki od moich nóg. Na szczęście zgodnie z przewidywaniami nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań jej twórców.

Ruszyłem zgodnie z opisem do góry. Przepałowaliśmy po wygodnych dziurkach nad przewieszkę do następnego stanowiska w tempie zawodnika biegającego na czasówkach.

Po kilkunastu minutach ZakX był przy mnie. Ściana nad nami trzymała pion. Zmiana sprzętu i ZakX poprowadził kolejny wyciąg. Po dalszych trzech zamianach stanęliśmy na półce, która z powodzeniem pomieściła by kilka osób. Dotarliśmy do miejsca, które w opisie nazwane było „pryzmą”. Zgodnie z planem rozłożyliśmy spanie, zjedliśmy po jednym opakowaniu juwlopaki. ZakX zabezpieczył teren i w minutę pograżyliśmy się we śnie.

Po 200 minutach ponownie szykowaliśmy się do dalszego wspinania. Był jeszcze środek nocy i nic praktycznie nie było widać. Pogoda zaczęła się psuć. Termognozer pokazywał dalszy spadek temperatury o kilkanaście stopni i znaczny wzrost ciśnienia. Niebo zasnuło się ciemną powłoką gęstych chmur. Przywiał gęsty opad śniegu.

Opis mówił, że dalszy teren nie nastroczał poważniejszych trudności wspinaczkowych. Właściwie wszystkie trudności drogi zostały pokonane poprzedniego dnia. Żeby przyspieszyć dotarcie do szczytu postanowiliśmy iść dalej bez zakładania stanowisk, z jednym przelotem pomiędzy nami. Podobno w okresie postpotopowym humanoidzi używali do wspinania w takich warunkach specjalnych narzędzi zwanych tulami. Głupio pomyśleć, ale dla nas stanowiloby to wyłącznie utrudnienie. Nasze ośmiopalczone dłonie z dwoma przeciwnymi kciukami są wręcz stworzone do skały porośniętej trawą nawet pokrytej sporą warstwą śniegu i lodu. Nigdy nie słyszałem, żeby szpon dobrej klasy wspinacza raz wbity w złodzone trawki lub lód nie utrzymał.

Pierwszy ruszył ZakX, a ja w odstępie około 5 minut za nim, kiedy tylko stalówka asekuracyjna zbliżyła się do końca. W dużym przybliżeniu przeszliśmy kilkanaście wyciągów. Raz w ciągu całego poranka zesliśmy się na jakimś dużym nachylonym pod kątem 45 stopni zachodzie. ZakX nie czuł zmęczenia. Odebrał ode mnie śruby i po krótkiej przerwie poszedł dalej.

Na ostatnim stanowisku stało w zagłębieniu skalnym dwóch filarów w kombinezonach stelf. Gdy podchodziłem do ZakXa, ten stał z rozdziawioną buzią i wyglądał, jakby myślał jakimi słowami przywitać się z gospodarzami terenu. Stalówka sama związała się na jego magnetorolce. Obok koleś leżał sprzęt biwakowy, sporo pojemników po kawie, sucharach i innej ohydnej karmie. Rozłożyli się pod szerokim ciemnym okapem chroniącym ich przed śniegiem i wiatrem. Musieli tu siedzieć od kilku dni, bo wszystko w okolicy okapu było wydępane. Wydawało mi się, że widzę też ślady krwi, które ktoś próbował zakryć śniegiem i zadeptać. Staliśmy chwilę w milczeniu słuchając wiatru i własnych oddechów.

– Witam Panów - odezwał się niewyraźnie nieco wyższy i chyba starszy. Był łysy i mimo bardzo niskiej temperatury nie miał nakrycia głowy. - Starszy Inspoter Past. - Przedstawił się z udawaną uprzejmością. - Proszę o przyłożenie dłoni do czytnika w celu weryfikacji danych osobowych.

Podczas gdy podsuwał nam do odczytu weroskop, młodszy wycelował do nas z lancy paraliżującej. Ucieczka nie wchodziła w rachubę.

Przekazanie informacji do Supersystemu o naruszeniu Zony automatycznie przesunęła zidentyfikowanych delikwentów ze świata prodrołu, do którego należeliśmy, do podkasty expod. Wiazałoby się to z odebraniem wszystkich gąsienic, zmianę lokowiska i statusu cywilnego do poziomu „samotny”. Usunięcie implantu asekuracyjnego na koszt operowanego, to szczegół przy innych stratach. Co to oznacza jednak dla wspinacza nie muszę tłumaczyć. Degradacja do wspinania solo bez urządzeń nawigacyjnych, noktorodnych i czujników.

– Ostrzegam Panów: ZakX i Wilton. - zdążył już odczytać dane z dyspreja - Próba skoku w kierunku, z którego przyszłście nic wam nie da. Rozwinęliśmy w poprzek ściany poniżej siatki grafenową. Obserwujemy was od początku, jak tylko weszliście do doliny. Znamy wasze możliwości, a teraz także wasze zamiary. Właśnie zeskanowaliśmy wasze procesy dezosalwatopryczne z płata ciemieniowo-skroniowego. Pan ZakX ma, jak widać jakiś głupi pomysł, który może pogorszyć tylko waszą sytuację. Próba napaści na urzędnika państwowego może was kosztować kremację żywcem. Pan,

Panie Wilton ma jak się zdaje właściwe podejście i lepszą ocenę waszej sytuacji.

– Nie daj się podpuścić Łil. – Powoli i wyraźnie wycedził ZakX. – To ordynarny blef. Gównu mógł zeskanować, a nie nasze zamiary. Właśnie myślałem, gdzie się tu odlać, a nie dokąd odlecieć. Na moje oko trzeba tych matolów stuknąć i po temacie.

Młody, mimo że młody, miał chyba już jakieś wcześniejsze doświadczenia, bo wcale nie czekał na to co dalej wymyśli ZakX. Bez mrugnienia powieką walnął ZakX-owi wiązkę prosto w spłot słoneczny. ZakX stęzał i w następnej sekundzie leżał na wydeptanym śniegu w pozycji embryonalnej. Mięśnie twarzy miał skurczone, oczy szeroko otwarte, ale z pewnością nie czuł już żadnego bólu. Był nieprzytomny. Ciało rozkurczyło się i widać było, jak płuca powoli wypełniają się powietrzem. Młody przyjrzał się uważnie mojej zdziwionej minie i uśmiechał się szelmowsko. Past spojrzał na niego z wyrzutem. Odruchowo chciałem rzucić się do ZakXa, żeby mu pomóc, ale Młody gwałtownym ruchem lufy paralizatora powstrzymał mnie w miejscu.

– Nim się już nie przejmuj – Odparł Insporter Past. – mamy dla niego tani przelot.

Rozeźmieli się jednocześnie. Zanim się zorientowałem Młody zdjął ZakXowi plecak rozcinając paski kroserem. Przy okazji pociął mu ciuchy aż do parodermy. Następnie odpiął stalówkę, którą się asekurowaliśmy i dopiął inną, która leżała za Młodym na śniegu. Powędrowałem wzrokiem na drugi koniec linki. Był przyczepiony do metrowego stratokoptera. Jak tylko skończył przepinanie linek strato wzleciał bardzo powoli nad nasze głowy. Lina powoli się napięła i w końcu ZakX obciążył ją również, wzbijając się nad powierzchnię śniegu.

– Góra do Bazy. Odbiór. – Rzucił w przestrzeń Past. – Tu Baza. Słucham Cię Góra. Odbiór. – Głos dochodził jakby zza pleców Pasta.

– Mam następnego. Puszczam go na strato. Będzie u Was za 10 minut. Odbiór.

– Greg. Nie przysyłaj ich więcej. Zapelniliśmy już cały szpital tymi wymoczkami. Jeszcze pierwsza partia nie doszła do siebie. Zostaw go tam i schodźcie już. Odbiór.

– Nietrzeźwy już leci do was. – Mam też jednego trzeźwego. Co z nim zrobić? Nie załadujemy się wszyscy na quada. Odbiór.

– Zostawcie go tam. Chyba sobie poradzi. Ma jakiś sprzęt? Odbiór.

– Ok. Ma sporo sprzętu do zjazdów.

W tym momencie stało się coś niespodziewanego. Nastąpił olbrzymi wstrząs, po ułamku sekundy huk i gigantyczny okap nad filasami runął z łoskotem w dół. Mina kierunkowa musiała przypomnieć sobie wreszcie do jakich celów została skonstruowana. Jak to się stało, że nie gruchnęła od razu nie jestem w stanie wymyślić. Wojskowi powiadają, że raz do roku nawet nie nabita broń potrafi wystrzelić. Może to była mina, która znała to powiedzenie i przypominała sobie o nim po kilkunastu godzinach od naszego spotkania? Gdy opadł śnieżny pył okazało się, że całe obozowisko wraz z filasami zniknęło pod górą wapienia. Z dołu powiało ciepłym powietrzem. Spojrzałem w dół, w kierunku eksplozji. Kilka metrów poniżej, na ledwie dostrzegalnej powłoce grafenowej siatki wisiał stratokopter, próbujący niemrawo wzbicić się w powietrze. Do niego doczepiony leżał na siatce ZakX. Wkręciłem qwikręta w linii spadku stratokoptera, przełożyłem stalówkę do zjazdu i opuściłem się na dół. Stałem na powłoce grafenu. Lewa noga zapadła się, jakby w powłoce była dziura. Poczułem jakiś dziwny zapach, jakby spaleniźny. Okazało się, że powłokę grafenową przepaliłem podszwą. Okazało się, że mikroślady po ekskrementach Syntrola rozpuszczają grafen bez żadnego wysiłku.

Na klęczkach odpiąłem Zakksa od strato. Uwolnione urządzenie poderwało się niczym ranne zwierzę i opadło w dół.

ZakX miał otwarte oczy. Był przytomny.

– Słyszysz mnie? – zapytałem głośno.

– Tak. Nie rycz tak. – Wybełkotał powoli. – trafił mnie w implant, chyba będzie do wymiany.

– Nie wiem jak ty to wytrzymałeś. Ktoś inny na twoim miejscu chyba by już zaczynał umierać.

Zrobiłem mu zastrzyk dożylny z supermixa astonautycznego. Chyba poczuł jego zbawienne działanie, bo oczy mu pojaśniały a usta wywinęły się w uśmiechu.

– Fuck. – powiedział i odpłynął.

Zjazd i powrót do teleporterów zajął nam 2 dni. Pierwszego dnia ciągnąłem ZakXa przez las Mantule w zapadającym się śniegu. Następnego dnia doszedł trochę do siebie i wspierając się na mnie jakoś kroczył w kierunku wyjścia z doliny.

Do wspinania w Parchu już nie wróciliśmy. Z powodu licznych wypadków wśród wspinaczy i filasów zamknięto Parch do odwołania. Cały teren odcięto sferą transmiotyczną, a drogi dojścia do sfery zaopatrzone w tablice ostrzegawcze. To oznaczało wojnę. Naprawdę przesadzili. Ze wspinaczy zmusili nas do przepoczwarczenia się w partyzantów.

No i trudno. Ważne, że adrenalina jest.

Pasja życia

Andrzej Mecherzyński-Wiktor

W drugim roku okupacja jak gdyby zelżała. Ludzie, normalka, trochę się przyzwyczaili, zarażem Putin posuwał się powoli, ale systematycznie w głąb Niemiec, więc nastroje wśród Rosjan też były lepsze. Każdy jakoś się urządzał, ręka rękę myje, ruskie naród rozsądny a ubogi, za flaszkę i parę groszy dawało się niejedno załatwić. Nawet na Białolecie bywało z reguły mniej gości niż przed wojną. Człowiek, jak każde zwierzę, najbardziej ceni sobie święty spokój, wszyscy też rozumieli potrzebę złapania oddechu. Podziemie tak samo unikało eskalacji, czas na pogłębienie organizacji był błogosławieństwem skwapliwie wykorzystywanym zwłaszcza w „sercu Narodu” – Warszawie. Ulga zdawała się być odczuciem powszechnym...

★★★

– Wszystkim w pizdu lżej, ale kurwa nie nam! Wszystkim! Przemycasz bimber? Ruskie zapłacą, wypijaj! Handlujesz jabłkami? Zjedzą, w pas się kłaniają! Biegasz z pukawką po lesie? Biegaj, dobre dla zdrowia. Tylko, kurwa, za maglajz na rękach możesz dostać czapę!

Po ciemnym pokoju, w którym majaczyły dwie siedzące sylwetki, biegła trzecia, z lekka przygarbiona i nad podziw ruchliwa. Krzyki dochodziły z otworu gębowego należącego właśnie do niej.

– Dlaczego, powiedz mi, dlaczego ze wszystkich ludzkich czynności, od śpiewania po, za zaproszeniem, sranie, nagle komuś strzeliło do głowy ścigać za łojenie?! Ruskie mają wojnę w Reichu? Mają! Potrzebują żarcia, naboju, paliwa, kufajek, walonek? Potrzebują! Pohandlujesz tym wszystkim na czarno i żyjesz? Żyjesz! Przez dziesięciolecia wszyscy mieli nas równo w dupie, właściwie prawie nikt nie wiedział o czymś takim jak wspinanie, aż tu pewnego dnia wchodzi do kraju okupant i co się okazuje? Że babcia i dziadek mieli już chyba sklerozę jak opowiadali o wojnie, bo ty się nastawiasz na wywózki za bibułę, a oni cię powiozą kibitkami za szpaksy w kieszeni! Bo nagle jakiemuś gensekowi na Kremlu się przywidziało, że wróg nie w narodzie się kryje, tylko w idiotach z kolorowymi czapkami na głowie.



rys. Andrzej Banasik

Dlaczego, pytam dlaczego?!!! I jeszcze – nie przerywaj mi! – i jeszcze wczoraj dowiaduję się, że za miesiąc od dzisiaj, jak ktoś będzie miał obwód przedramienia większy od bicepsa, to...

– Dobra, wystarczy! – postać siedząca w fotelu wyraźnie znalazła się dobrze z tą chodzącą po pokoju i gestykulującą zamasyżycie, albowiem moment wybrany został z chirurgiczną precyzją. Mówca nigdy by się do tego nie przyznał, ale zaczynało mu chwilowo brakować słów.

– Andrzeju, nie denerwuj się! Poza tym, nie spotkaliśmy się tutaj dla przyjemności (stuknęły kieliszki). – Zawodzisz jakby tu było cokolwiek do rozumienia. I zasadniczo pewnie nawet jest, tylko że my ani dowiedzieć się tego, ani sprawdzić nijak nie jesteśmy w stanie. Więc tylko tak można działać, jakby chodziło o zwykły... przypadek. Przypadkiem na nas padło, zbieg okoliczności, o!

–To chyba zbiegł za daleko jak dla mnie. Za komuny przynajmniej było wiadomo dlaczego wsadzają do pierdla akurat akowców, a nie – powiedzmy – rymarzy. I dlaczego tym dają kulę w łeb, a tamtym punkty za pochodzenie. Logika chora, ale przynajmniej jakaś.

– Historyczna.

– Właśnie. Ja po prostu chciałem wiedzieć, po co się mnie prześladuje? Po co – rozumiesz? Że jak ktoś do mnie strzela, to ja wiem, że on wie, dlaczego ja za raz będę strzelał do niego i po cholere się właściwie spotkaliśmy? W imię czego... idei jakiejś chorej czy w ogóle czegokolwiek? A ty chciałbyś, żebym tak się czuł, jakby to był jakiś...

– Marzec.

– Co marzec?

– Marzec sześćdziesiąty ósmy. Też nagle, ni z tego ni z owego. Tak z dupy.

– Nie z dupy, tylko dlatego że Żydzi i to też jest jakieś uzasadnienie. Nie to co tutaj!

– Przepraszam kolegów, ale ja chyba nie wszystko rozumiem...

Młody człowiek, o głowie okrągłej jak piłka, łysawy i chudy, odezwał się właśnie po raz pierwszy tego wieczoru. Pokój był smutnawy, bo niemal pusty i brudny, szczególnie w wymiarze ścian. Świeciła się lampa naftowa, jedyny element nadający przestrzeni pozorów uroku osobistego. Poza tym wszystko wskazywało na mieszkanie studenckie, którym *nota bene* było.

– Kto to jest? – zapytał naraz podejrzliwy gestykulant.

– Właśnie, nie przedstawiłem panów. To jest, powiedzmy, pan Antoni, nasz nowy spec od elektrotechniki. Polecono mi go jako geniusza i wszystko wskazuje na to, że jest nim w istocie.

– Ale, że rozumiem, niczego jeszcze nie kuma?

– Niewiele i od ciebie raczej się nie dowie. Wie, ponieważ wszyscy to wiedzą, że wspinanie jest najsurowiej zakazaną czynnością w warunkach okupacji, ale nie wie, czy raczej zupełnie nie może pojąć, po co ciągle to robić z narażeniem życia.

– Właśnie, z narażeniem, tego nie rozumiem – potwierdził wstydliwie człeczyna, najwyraźniej z trudem celujący w odwagę towarzyskiewą.

– Czego tu nie rozumieć? Przecież wspinanie na tym polega, nie? Na narażaniu życia...

– Andrzej, nasz gość wie już co to jest buldering.

– Mówi się „baldering”.

– Tak. I „na pole”, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że to się nie wiąże z ryzykiem. Przynajmniej niedużym.

– Jak to, przecież strzelają?

– Teraz tak, ale zasadniczo sport jest raczej bezpieczny, nieprawdaż? Wiele się o tym mówiło klientom przed wojną tak? Programy w telewizji były, filmy Rafała w Internecie, że każdy może, że nie samobójcy tylko sportowcy itd.

– Człowieku, ale naprawdę czego tu nie rozumieć?! – gesty powróciły nagle, kreśląc w powietrzu secesyjny fajerwerk. – Jakis idiota, gdzieś tam na górze, wymyślił sobie, jak się wydaje najzupełniej od czapy, że wspinanie jest gorsze od konspiracyj, gorsze od partyzantki, gorsze od lewizny, gorsze od nie wiem czego jeszcze! Że zapewni zwycięstwo Amerykanom, że Stalin nie lubił się wspinać, czy coś... I tak dalej! Innymi słowy – nikt nie wie dlaczego, ale z dnia na dzień staliśmy się ruskim wrogiem numer jeden, dekabrystami, panimajesz? Białoarmistami. A w rezultacie, na zasadzie polskiej odwróconej logiki (Andrzej przed wojną

studiował dziwne kierunki), cały ten pieprzony kraj ma nas za bohaterów narodowych. Kazali im w szkole czytać Mickiewicza, Słowackiego, Konopnicką, wozili po muzeach pokazywać Grottgera i teraz nie ma już znaczenia, czy to co robisz ma jakikolwiek sens czy nie ma, czy komuś szkodzi czy pomaga. A my, widzisz, przez całe życie wspinaliśmy się właśnie dlatego, że wszyscy to mieli w poważaniu, może poza naszymi kobietami, nieważne... Słowem – jeśli zabroniliby płuć i łapać, to w ramach tak zwanego oporu Polak płuły i łapał, a ponieważ zabronili się wspinać, więc teraz my (tu wskazał na nich obu) i tacy jak my są, możesz wierzyć lub nie wierzyć, forpcztą, bracie, zorganizowanego oporu przeciwko najeźdźcy! A ponieważ nie ma sensu nadstawiać karku za głupie sześć dwa, to jest nas w całym kraju może ze czterdziestu, takich co naprawdę potrafią...

Błysk zrozumienia, szybko przekształcający się w fanatyczną mgiełkę podziwu, który pojawił się w spojrzeniu niepozornego geniusza elektrotechniki, nie poprawił Andrzejowi nastroju. Z każdym dniem czuł wyraźniej, że od wszechogarniającej go paranoi ucieczki nie będzie.

★★★

Oddział posuwał się rażno po kampinoskim lesie. Na trzynastu chłopów przypało około dwa i pół litra dobrego bimbru ze sprawdzonego źródła, przez co tempo marszruty było znacznie lepsze od przeciętnego dla wieczornych akcji. Oprócz nerwowego Andrzeja oraz jego flegmatycznego przyjaciela było jeszcze kilku wspinaczy, paru chłopaków z kampinoskiej partyzantki (ludzie ci jeszcze nigdy nie strzelali) oraz dwóch smutnych panów z tzw. „komórki D”, czyli tego co zostało po przedwojennym GROMI-e, dla przydania całości przynajmniej pozorów profesjonalizmu. W niedługim też czasie od startu cała grupa dotarła na umówioną polanę, a że do ustalonej godziny pozostawało jeszcze kilkanaście minut, czas umilano sobie szeptanymi pogawędkami. Dwóch drzemało.

Na dwie minuty przed czasem z oddali dobiegły pojedyncze strzały obrony przeciwlotniczej, mało w tym czasie niebezpiecznej, skoro niemal cały dostępny sprzęt ruskie pchały na front zachodni, po którym wiele sobie obiecywały – granica francuska była tuż, a jest faktem powszechnie wiadomym, że za nią rozciąga się liczący wiele kilometrów teren nieskrępowanego podboju. Samoloty ze zrzutami dolatywały zatem regularnie i raczej bez przygód.

Po chwili też łoskot silników wzmógł się nagle, a zaraz potem na łączkę spadać zaczęły solidne, meta-

lowe skrzynie z bezsensownym w tych warunkach napisem „FRAGILE”. Kiedy szósta skrzynia zaryła w wilgotną glebę, oddział odczekał przepisowe pięć minut (na wypadek nagłej wizyty okupanta tudzież nadprogramowej skrzyni) po czym rażno zabrał się do rozpakowywania prezentów. Nie dziwota, najwięcej ochoty do pracy wykazywali obecni na miejscu wspinacze, bezpośrednio zainteresowani szczegółową zawartością przesyłki. Po chwili też, kiedy sfinansowano zabezpieczenia ostatniego z metalowych sześciaków i usunięto nieprzebrane ilości kruszonego styropianu, po okolicy, wbrew wszelkim przepisom bezpieczeństwa, za to z serca płynący i szczerze, potoczył się przeraźliwy krzyk Andrzeja.

– Nie no, kurwaaaa! Nie wierzę! Szlag mnie trafi, trzymajcie mnie, ale nie wierzę! Ja już nie mam palców, rozumiecie co do was mówię, nie mam palców! Czy wy w ogóle rozumiecie co ja mówię do was?! Nie mam-palców-już-nie-mam, kurwa!

Przy Andrzejku jak spod ziemi wyrósł jego towarzysz, sprawnym policzkiem i przytkniętą do warg manierką zażegnując niebezpieczeństwo.

**Wobec takiego zabiegu
Andrzej powrócił do
ustalonego, szeptanego
barytonu, pod wpływem
ogromnego
rozemocjonowania
brzmiającego cokolwiek
komicznie.**

– Stary, rozumiesz co oni nam tutaj przysyłają? Rozumiesz?! Czternasty raz, wyobrażasz to sobie? Czternasty raz! Kurierzy, kurwa, z narażeniem życia do Londynu, raz przez Pragę, raz przez Wiedeń, a oni tutaj...

– Człowieku, a co tych ludzi dookoła to obchodzi? Co oni w ogóle wiedzą? Pójdziesz teraz i będziesz im tłumaczyć dlaczego narażasz nas wszystkich, bo cię nerwy poniosły?

– Ale pomyśl, człowieku. Ja też się narażam, ja też! I naprawdę coraz częściej się mi się wydaje, że to jest wszystko gówno warte, bez sensu po prostu i...

– Andrzej, nie denerwuj się! Jak chcesz, to możesz wziąć te skrzynie i im odrzucić, silny jesteś, to może do Anglii doleć. Ale to jest jakby, kolego, nie na

temat rozmowa. Teraz, wujaszku, znacznie lepiej byłoby pomóc chłopakom pakować bambette i spiernić – zszyciuteńko z powrotem do domu. I to jest rozkaz!

Uwaga była słuszna, więc Andrzej pokornie zwił nos na kwintę i poczłapał w kierunku reszty, cokolwiek zdziwionej mało męską demonstracją emocji, ale też rozumiejącej, że idzie o rzeczy ważne, tudzież najważniejsze. Nikt jednak nie znalazł się na wspinaniu, więc niewiele rozumiał. Że zrzut nie taki, jak należałoby oczekiwać – może i prawda, kto to wie, ale przecież zawsze udany i kolegom wspinaczom, co walczą o wolność naszą czynem swym nieugiętym, jednak pewnie się przyda. Nie wiedząc do końca co myśleć o tym, a Andrzeja obawiając się zapytać, pomaszzerowali zatem z powrotem i szczęśliwie do obozu.

★★★

– Panowie, nie jest dobrze – głos majora, przed wojną właściciela znanej warszawskiej bulderowii, był jak zwykle rzeczowy i oschły. – Pomimo intensywnego kontaktu z „naszymi na Weście”, i mam tutaj na myśli zarówno rząd w Londynie, jak i komórki w Budapeszcie oraz upadającym właśnie Paryżu – od początku wojny nie dostaliśmy nic oprócz krawadek. Nie muszę tłumaczyć, co to oznacza dla morale w Stolicy, nie mówię o kontuzjach. Nie wiem też dlaczego tak się dzieje, wedle moich najlepszych danych KOR nie ma problemów z produkcją obłoków. To wszystko co mam do powiedzenia w tej sprawie, niestety! Komentarze?

– Panie majorze – głos zabrał młody podoficer, wyraźnie nadużywający BCAA ze zrzutów, które – podług jakości – nieprzyjemnie dawało się skórze we znaki. – Wedle informacji jaką otrzymałem niedawno, źródła podać nie mogę, w Toruniu z powrotem ruszyli z produkcją. Ja rozumiem, że względy bezpieczeństwa, ale może w takiej sytuacji warto byłoby zaryzykować...

– Rzyzykować – major nieznacznie podniósł głos – trzeba mieć, panie kolego, po co. Jest pan młodym człowiekiem, więc może pan nie wie, ale obłaki z Torunia, choćby jakimś cudem udało się panu przechować paczkę chwytów jeszcze sprzed wojny, w warunkach wilgotnej piwnicy ściągają naskórek w trzeciej, czwartej wstawce. Wie pan, co grozi za przyłapanie bez linii papilarnych! Pan wybaczysz ton, ale jestem odpowiedzialny za ludzi, nie tylko moich, ale wszystkich którzy się wspinają. Poza tym Toruń jest zupełnie odcięty.

– Raczej Warszawa jest odcięta, pragnę zauważyć – rzucił od niechcenia Andrzej.

– Kolega z Krakowa może wracać skąd przybył, ale

tam zdaje się nikt nie ma odwagi się wspinać w dzisiejszych czasach.

– Pokornie przyznaję rację panu majorowi.

– Nieprzejmennie to zabrzmi, ale trzeba uzbroid się w cierpliwość i ładować na palce. Miłe to nie jest, ale też przypominam – nie o przejścia nam chodzi, szczególnie że dostępu do skały i tak nie mamy. A do podtrzymania ducha w narodzie krawądkę zupełnie wystarczą.

– A gdyby tak zacząć produkować własnym sumptem? Z żywicy epoksydowej kleić, jak dawniej, zakłady przemysłowe podziemne zorganizować? Wiecie, majorze, ja nawet sam mógłbym się tym zająć i...

– Poruczniku, czy to są lata osiemdziesiąte? Czy my się wspinały na Koronie? Może dla niektórych z was to wszystko co się dzieje, ma charakter przygody życia i niczego więcej, ale są do cholery tacy, którzy dostrzegają tak zwany głębszy wymiar wydarzeń (major był typem przedwojennego idealisty). Nie wspinały się po piwnicach z nostalgii za dawnymi czasami, tylko z tej prostej przyczyny, że to jest zakazane. I po wiem więcej, niejeden z nas, sam się do nich zaliczam, na długie lata przed wojną odpuścił trening i zajął tak zwanym życiem i jeśli dzisiaj jestem bodaj jedynym człowiekiem w Stolicy, który robi Bacharę na szmatkach co drugi szczebel, to doprawdy nie dla przyjemności i bynajmniej nie dla zdrowia, tylko pro prostu dlatego...

– Tak, panowie, pan major ma rację – Andrzej postanowił pomóc przełożonemu. – Po prostu dlatego, że jedyna nadzieja, którą żyje dzisiaj okupowany kraj to nadzieja, że pomimo śmiertelnego niebezpieczeństwa, wbrew śledztwom i aresztowaniom, wbrew – potoczył wzrokiem po obecnych – szpiclom i szpiegom!... łoiłmy, łoiimy i będziemy łoiili.

– Gloria victis – rzucił ironicznie stary podporucznik.

– Powagi, koledzy – podjął major. – Zresztą, krawądkę czy nie krawądkę, dobrze że cokolwiek zrzucają i od biedy jakieś baldy można robić.

– A ja słyszałem – wtrącił półgębkiem jeden sierżantów – że pan major dwa oblaki w piwnicy trzyma i że...

– A ja słyszałem – odpalił major – że pan major chętnie degraduje bez podania powodu. Rozejść się!

★★★

Andrzej szedł wzdłuż Puławskiej. Po zmroku na poły zrujnowana ulica nie przedstawiała tak smutnego widoku jak za dnia, kiedy straszyla pozostałościami niedosłej świetności wciąż odzyskiwanej po Powstaniu. W księżycowej poświacie kikuty budynków wyglądały

tajemniczo, nieledwie baśniowo, przynosząc na myśl skojarzenia ze starożytnym miastem odkopanym z popiołów po jakimś naturalnym kataklizmie.

Piwnica do której zmierzał, mieściła się na rogu przedwojennej ulicy Grażyny, teraz przemianowanej na Dzierżyńskiego, albowiem w jednej z jej kamienic przycupnął czasowo posterunek rosyjskiej milicji. Wiadomo – najciemniej pod latarnią, żadne podejrzenie nie padało na bywalców na wpół zwalonej bramy, kryjącej schodki do podziemnego raju w postaci kilkudziesięciu metrów kwadratowych panela, szczelnie wypełnionego niewielkimi crimpami.

Posterunek był skądinąd niewielki, jego pracownicy rzadko rezygnowali z uroków ciepłej sieni, w której przesiadywali przy zakupionej od Polaków butelce; wystarczyło znać godziny obowiązkowych patroli i w tym czasie nie kręcić się po ulicy.

Andrzej znał godziny i znał siebie. Wiedział z doświadczenia, że potrafi zachować pogodną twarz przypadkowego przechodnia. Na treningach uważał wszakże zawsze aby nie przesadzić, albowiem dobrze starte opuszki stanowiły dowód poważniejszy nawet od magnezji. Sęk tkwił w tym, że właśnie poprzedniego dnia przesadził, w związku z czym wracał do domu już z duszą na ramieniu i miał dzisiaj w ogóle nie wychodzić. Cóż, kiedy przyszedł wyraźny rozkaz zgłoszenia się w „dziurze”.

Obawy jednak wydawały się bezpodstawne. Na miejsce dotarł Andrzej spokojnie, szybko otrzymał niewielki pakunek oraz adres pod jaki należało go doręczyć, przeczekał powracający patrol i spokojnie wychynął na ulicę. Mżyło, ale mżyło przyjemnie, był maj. Duch andrzejowy jakby urosł.

Naraz zza rogu Puławskiej błysnęło światło, za światłem motocykl z przyczepą, najwyraźniej zdobyczą jeszcze na Niemcach, kto wie czy nie w Polsce i teraz przywieziony do nas z powrotem wraz z Armią Czerwoną. W dwie sekundy później serce stanęło się Andrzejowi w gardle, kiedy maszyna zatrzymała się tuż przy nim, a z przyczepy wytoczył się raczej niż wyszedł wysoki, nalany oficer. Nie było słów, tylko ręka wyciągnięta w znajomym geście i ku niej, z udawaną pewnością siebie, wyciągnięta ręka Andrzeja. Opuszki nie pozostawiały cienia wątpliwości, podobnie jak wzrok oficera, za którym stojący adiutant mierzył we wspinaacza klasycznym kałasznikowem. Po chwili przeszukał i tajemnicze tekturowe pudełko, potrząsane przez oficera przy uchu. Do tej chwili Polak nie zastanowił się ani przez moment, co też może się w nim znajdować – nie należało to do zadania, więc nie było o czym myśleć. Naraz ogarnęła go pomrocza, ale jednak jasność. „Ciężka cholera! – no, to mnie koledzy wrobili, niech to

złagi!” – pomyślał, bardziej automatycznie niż ze złej woli. Grzechotało – szpaksy, psiakrew!

Wojna nerwów. Oto Andrzej, wpatrujący się w oficera ciągle jeszcze beztróskim wzrokiem – czy ten zobaczy przestrach na dnie oka, przestrach którego już za chwilę może nie być w stanie ukryć? A oto oficer, nietrzeźwy, brzydki mężczyzna, którego ironiczne oczka zdają się nie wyrażać zgola niczego. I naraz myśli nagle i nieuporządkowane, a przecież układające się w głowie od tygodni i miesięcy... „Wpadłem! ... Nie łudź się, to się musiało tak skończyć! – Żeby nie bolało! – Nie mogę mieć szczęścia wiecznie, nikt nie może... Wylapią nas wszystkich, prędzej czy później, to przecież teraz jasne jak słońce. – No, strzelaj, strzelajże prędzej – Tylko kto to wymyślił? I dlaczego? Dlaczego on nie strzela jeszcze, ten oficer, albo chociaż adiutant! – Spośród wszystkich ludzkich czynności akurat wspinać! Dlaczego żyje w kraju, w którym łamanie zakazów ma wartość samą w sobie? Jak mógł być tak głupi... – Chryste! jak już, to lepiej jak najszybciej – ... Czyż nie przekonywał, nie argumentował od samego początku?... Że praca organiczna, wieczorki poetyckie, to tak, nawet ma talent aktorski, mógłby się włączyć, działać jakoś... Ale narażać się bez sensu, tylko dlatego, że zabronili, że można na Sybir pojechać? – Matko, on ciągle

nie strzela... I potem te argumenty, niekończące się dyskusje. Major! Wierzył i pewnie wierzy dalej w te swoje brednie, że to taka sowiecka taktyka, najpierw debilne przepisy, łatwiej ich przestrzegać niż łamać, – no strzelaj, jak już masz strzelać!!! – kłóczy pod okupacją w normalnych warunkach myślał się wspinać, a potem – mówił – tak będą powolutku przyzwyczajając ludzi, że w końcu zgodzą się przestać oddychać, jak im się tego zabroni. A ty Andrzej – Major, to on tak mówił, to on jest wszystkiemu winien! – ty jesteś z nas najsilniejszy, właśnie ty nie możesz dać się złamać, dzisiaj odbiorą ci pasję, jutro odbiorą ci godność. A on, głupi, nawet nie żeby uwierzył, tylko jakoś tak nieswojo było sprzeciwić się oczom Majora, tak mu płonęły te oczy, gdy mówił... Boże, zlituj się nade mną!”

Nagle uderzenie w twarz, jak wtedy w lesie, tylko stokroć mocniejsze i jakby piekące. Leżał na wilgotnym chodniku tak jak stał był przed chwilą, obok leżała nietknięte pudełko ze szpaksami. Motor zniknął w Puławskiej, odjeżdżając w kierunku Natolina. „Puławianie i Natolińscy” – przemknęło mu przez głowę. Nie ważył się ani chwili! Wstał, otrząsał bety i ruszył z powrotem w stronę piwnicy. Skórę będzie dzisiaj oszczędzał, ale mimo to sprawi sobie niezły łomot. Nie może być tak, że na Bacharze najsilniejszy w mieście jest Major.

Podsumowanie tatrzańskie AD 2014/2015

Jakub Tkaczuk

Cunasova Cesta na Łomnicy fot. Michał Włodarczak

Nazwiska klubowiczów nieczęsto gościły w tatrzańskich książkach wyjść latem 2014. Słaba pogoda, dużo pracy, mało czasu, zmęczenie po nazbyt intensywnych i nazbyt częstych wyjazdach w skały - powodów można pewnie szukać na wiele sposobów. Zamiast tego, lepiej sam odpowiedź sobie czytelniku na pytanie dlaczego Twoje nazwisko nie znajduje się w poniższym, jakże skromnym wykazie.

Należy przyznać rację tym, którzy twierdzą, że pogoda nie rozpieszczała. Niech to nie będzie jednak wymówką w zbliżającym się sezonie letnim. Bo jak bardzo można docenić słońce po deszczu i jaką satysfakcję sprawia udana próba zrobienia drogi tuż przed zlewą, dowie się tylko ten, kto próbował.

Mimo wszystko kilka przejść tatrzańskich udało się nam odnotować, z czego garść zasługuje na wyróżnienie. Zaczynając od kończącej się zimy i ściany ścian, **Krzysiek Banasik** i **Jakub Radziejowski** poprowadzili w rekordowym czasie *Superparanoję*. Jest to zarazem

dopiero czwarte przejście tej drogi. **Marcin Książak** natomiast w pięknym stylu wytyczył w dwa dni nową drogę *Miedzy Niebem a Piekłem*. Warto wspomnieć też o prawdopodobnie pierwszym przejściu zimowym drogi *Satanove Slzy* na Szataniej Galerii w wykonaniu Jakuba Radziejowskiego i **Wojtka Romana**.

Lato zaowocowało zrobieniem ładnych tatrzańskich klasyków (m.in. *Cunasova cesta* na Łomnicy zespołu **Rafał Nawrot** i **Michał Włodarczak**) oraz kilku trudnych dróg na Mnichu. Z tych ostatnich warto wspomnieć o *Superacie Młodości* zespołu **Dominik Wiśniewski** i **Paweł Bednarz** czy przede wszystkim o *Sadusi* – Krzysiek Banasik, **Rafał Burczyński** i **Tomek Osypiński** (KWT).

Pozostaje mieć nadzieję, że trwający już rok 2015 uraczy naszych klubowiczów w Tatrach na tyle dobrymi warunkami, że kolejny wykaz będzie obfitował w moc przejść pięknych i trudnych.

Wykaz przejść tatrzańskich 2014 i 2014/15

Legenda

KWW – KW Warszawa

KWT – KW Toruń

n – niezrzeszony

LATO 2014

TATRY POLSKIE

KOPA SPADOWA

Skłodowski (VI)

Kuba Tkaczuk, Mateusz Kluźniak, OS

KOŚCIELEC

Kajka z prostowaniem (VII)

Aneta Brzozowska, Agnieszka Tyszkiewicz, A0

Sprężyna (VI+)

Aneta Brzozowska, Agnieszka Tyszkiewicz, OS

Droga Dziędzielewicz (VI)

Aneta Brzozowska, Agnieszka Tyszkiewicz, OS

MNICH

Fereński (VII+)

Dominik Wiśniewski, Paweł Bednarz, OS

Superata Młodości (VIII+/IX-)

Dominik Wiśniewski, Paweł Bednarz, RP



Aga Tyszkiewicz na Kościelcu fot. B. Rąbińska

Sprężyna (VI+)

Ania Wieremiejczuk, Jędrzej Kluźniak, OS

Łapiński (VIII-)

Krzysiek Banasik, Maciek Ostrowski (KWW), RP

Saduś (IX)

Krzysiek Banasik, Rafał Burczyński, Tomek Osypiński (KWT), PP



Wojtek Roman na Galerii Szatana fot. Jakub Radziejowski

ZADNI MNICH**Orłowski (V)**

Ania Wieremiejczuk, Jędrzej Kluziński, OS

ZAMARŁA TURNIA**Festiwal Granitu (V)**

Kuba Tkaczuk, Mateusz Kluźniak, OS

Piotr Sochacki, Marek Głasek, RP

JargiŃo-Pačkowski (VI+)

Kuba Tkaczuk, Mateusz Kluźniak, OS

Klasyczna (V)

Piotr Sochacki, Marek Głasek, OS

Motyka (V)

Ania Wieremiejczuk, Anna Gańko (n), Jędrzej Kluziński, RP

Piotr Sochacki, Marek Głasek, OS

Prawi Wrześniacy (VI+)

Piotr Sochacki, Marek Głasek, OS

TATRY SŁOWACKIE**ŁOMNICA****Cunasova cesta (VII)**

Rafał Nawrot, Michał Włodarczyk (KW Poznań), OS

MAŁY ŁODOWY SZCZYT**Cesta k Slnku – wariant Borosnyai – Meszaros (VI)**

Rafał Nawrot, Michał Włodarczyk (KW Poznań), OS

ZIMA 2014/2015**TATRY POLSKIE****CZOŁÓWKA MSW****Szare Zacięcie + Grey Stone (7/7+)**

Maciek Ciesielski z klientem, OS

KAZALNICA MIĘGUSZOWIECKA**Superparanoja (8-, A0, 14,5h do szczytu), 20.02.2015**

Krzyśiek Banasik, Jakub Radziejowski, OS (A0)

Climb Machine (6+)

Marcin Księżak, solo OS

Maciej Ciesielski z klientem, OS

Między Niebem a Piekłem (7-, nowa droga,

23-24.11.2014)

Marcin Księżak, solo OS

POŚREDNIA TURNIA MAŁOŁĄCKA**Kombinacja Dzik-Pronobis/Direta Pronobisa (6)**

Wojtek Ryczer, Aleksander Barszczewski (KWW), OS

TATRY SŁOWACKIE**DOLNY KIEŻMARSKI STRAŻNIK****Rambo (5, A1)**

Marcin Księżak, Maciek Janczar (KWW), A1/OS

KIEŻMARSKA KOPA**Vestenicki-Racko (V)**

Marcin Księżak, Maciek Janczar (KWW), OS

GALERIA SZATANA**Satanove Slzy (6, prawd. I zim.)**

Jakub Radziejowski, Wojtek Roman, OS

TĘPA**Żleb Samuhel-Vestenicky (4)**

Rafał Nawrot, Radek Smulski, OS

Jakub Radziejowski podczas wspinaczki Superparanoją
fot. Krzyśiek BanasikKrzyśiek Banasik podczas przejścia Superparanoi na Kazalnicy
fot. Jakub Radziejowski

Wyżej niż podium...

... czyli przedwojenni sportowcy na tatrzańskich ścianach



Uczestnicy biegu zjazdowego w Tatrach, 1932; od lewej stoją: Jan Skupień, Henryk Bednarski, Bronisław Czech, Kazimierz Schiele, Franciszek Bujak
fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

26 Wojciech Bajak

– Chłopcy – mówi do nas Ignacy Bujak – na Zamarłej utknęli wasi koledzy, Jasiek Gnojek i Staszek Motyka. Nie będziemy robili z tego szumu i Pogotowia ścigali. Podwiozę was do Kuźnic. – W parę minut po tym siedzieliśmy w samochodzie: Bronek Czech, Julian Motyka, Zdzisław Motyka i ja – opowiadał Jerzy Ustupski.

Na ścianie Zamarłej Turni spotkało się wtedy sześciu znakomitych sportowców. Wśród ratowników: Jerzy Ustupski został osiem lat później medalistą olimpijskim w wioślarstwie, Bronisław Czech miał już na swoim koncie 10. miejsce z Igrzysk w St. Moritz; udział w tej samej imprezie brał też Zdzisław Motyka, a jego kuzyn, Julian, wystąpił w 1929 r. na MŚ w sztafecie biegaczy narciarskich. Ratowano zaś Stanisława Motkę, innego uczestnika wielkich zawodów w St. Moritz, i Jana Gnojka, który z kolei reprezentował barwy TN Wiśła Zakopane na zawodach krajowych.

Taki skład wyprawy ratunkowej nie był przypadkiem. Na przełomie lat 20. i 30. XX w. wielu sportowców oglądało świat z wysokości znacznie większej niż stopień podium...

„Czeski” rok

Rok 1929 rozpoczął się dla Bronisława Czecha od gromkiego aplauzu publiczności i gratulacji złożonych przez Prezydenta II RP, Ignacego Mościckiego, za 4. miejsce w kombinacji norweskiej wywalczone podczas MŚ w Zakopanem oraz zwycięstwo w biegu zjazdowym, rozgrywanym na tej imprezie jako konkurencja pokazowa, lecz przy udziale międzynarodowej stawki.

W czerwcu tego samego roku braw nie bił mu nikt, choć wyczyn, jakiego dokonał, zdecydowanie nadawał się na pierwsze strony prasy sportowej, a pod względem ilości przelanego potu może nawet przewyższał osiągnięcia narciarskie z zimy. Czech, wraz z Wiesławem Stanisławskim oraz Lidą Skotnicówną, pierwszy raz w dziejach przeszedł północną ścianę Żabięgo Młaka. Sukces ten uznano za symboliczny początek nowego rozdziału w taternictwie – atakowania niewielkich, lecz skrajnie trudnych formacji *Droga skrajnie trudna i niezwykle eksponowana, należąca do najtrudniejszych i najwspanialszych wypraw ścianami* – napisał w sprawozdaniu z tej wyprawy współtowarzysz Czecha.

Dla Czecha był to najlepszy okres w całej sportowej karierze. Na nartach stał się najlepszym, oprócz Skandynawów, zawodnikiem Europy, a na tatrzańskich ścianach dokonał jeszcze kilku pierwszych wejść, m.in. południową ścianą Niebieskiej Turni, pół-zach. granią Żabięgo Młaka, pół-zach. ścianą Kozich Czub, wschodnią ścianą Kościelca, drogą przez pół-zach. urwiska Koziego Wierchu, a także odkrył wariant zejścia z Galerii Gankowej do Doliny Ciężkiej.

Dwa lata później – po przymusowej przerwie od wspinaczki, spowodowanej służbą wojskową – wstąpił się, razem z Gnojkiem, jako autor pierwszego zimowego przejścia północnej ściany Kozich Czub. W czerwcu natomiast, ze znanym przewodnikiem, Józefem Krzeptowskim – prywatnie rodzonym bratem olimpijczyka, Andrzeja – oraz świetną narciarką alpejską, Zofią Stopkówną, pobił rekord w kategorii „najdłuższy pokonany naraz odcinek głównej grani Tatr Wysokich”. W ciągu czterech dni zrobili odcinek z Przełęczy Liliowej na Polski Grzebień.

Jedną z wielu konkurencji, do których Czech czuł wielki pociąg, były skoki narciarskie. *Tor wolny, starter dał znak / ponad smreki wzbił się ptak / tłum widzów, cisza, serca zamarły... / ląduje, ze śniegiem narty się starły* – opiewał wiersz „Apoteoza skoku narciarskiego”, opublikowany po ustanowieniu przez zakopiańczyka w 1929 r. rekordu Polski. Obeznanie z przestworzami, siła nóg i szybkość decyzji przydały mu się też w górach, gdy odpadł od ściany podczas wspinaczki na swojej ulu-

bionej Zamarłej Turni. *Pikuje w powietrzu jak przy skoku na Krokwi. Skacze na spory trawiasty stopień o kilka metrów niżej, odbija się od niego, upatrując w ulamku sekundy następne dogodne miejsce, ląduje wreszcie cały i zdrowy na sporej płytowej platformie, tuż nad przewieszkami, u końca dolnego trawersu* – opisywał cudowne ocalenie Czecha Wawrzyniec Żuławski w „Tragediach tatrzańskich”.

Z czasem Czech zaczął jednak coraz bardziej oddalać się od taternictwa. Do końca dwudziestolecia międzywojennego pozostał natomiast wierny narciarskim namietnościami. W swej długiej karierze zajmował m.in. 4., 5. i dwukrotnie 7. miejsce w kombinacji norweskiej na MŚ. Był też 7. podczas ZIO w Lake Placid. Znakomicie spisywał się również w skokach, biegach i konkurencjach alpejskich. W sumie aż trzykrotnie wystąpił na Igrzyskach i 11 razy na MŚ.

Retro sportowcy

W Tatry wprowadzał Czechą w połowie lat 20. Kazimierz Schiele. Był on czołowym polskim zawodnikiem w biegach narciarskich w kategorii oldbojów, z którym na równi konkurowała właściwie tylko Henryk Bednarski. Obaj panowie śmiało mogli zresztą rywalizować także na wspinaczkowe życiorysy. Popularny „Bednarz” był bowiem pierwszym pogromcą południowych urwisk Zamarłej Turni, Schiele zaś dokonał m.in. premierowego wejścia pół-zach. ścianą Małej Buczykowej Turni.



Trening Bronisława Czecha, Stanisława Marusarza i Andrzeja Marusarza w Tatrach w styczniu 1935
fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

27



Andrzej Marusarz w trakcie podbiegu na źle nasmarowanych nartach podczas zawodów w Zakopanem, 1934
fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

Jeszcze za austro-węgierskiego panowania w zawodach narciarskich startował też Mieczysław Świerż – ten sam, który potem tak zdecydowanie rugał Adama Krzeptowskiego za przeprowadzenie w Tatrach pierwszego w historii Polski biegu górskiego. W czasach zaborów nieraz do rywalizacji sportowej na dwóch deskach stawał i sam Mariusz Zaruski, a Jan Jarczyński – znany z wypadku na Jaworowym Szczycie, gdzie w czasie akcji ratunkowej śmierć poniósł Klimek Bachleda – został pierwszym polskim skoczkiem, który wygrał konkurs na zagranicznej skoczni.

Wodny taternik

Razem z Kazimierzem Schiele i Mieczysławem Świerżem, Czech w 1927 r. poprowadził śmiały wariant na północnej flance Koziego Wierchu. Wkrótce potem znakomity narciarz rozpoczął jednak w Tatrach działalność na własny rachunek i szybko stał się liderem nieformalnej kiluosobowej grupy wspinaczy.

Do najczęstszych partnerów Czecha należał Jerzy Ustupski, który towarzyszył Bronkowi w pierwszych wejściach pld-zach. granią Żabiego Mnicha, pld-zach. ścianą Kozich Czub i wsch. flanką Kościelca. Potem zaś, gdy jego przyjaciel na dobre zrezygnował z wyczynowej wspinaczki, młody sportowiec dokonywał kolejnych wpisów w kronikach taternickich już z innymi partnerami. W 1932 r., wraz ze Zbigniewem Korosadowiczem, Adamem Uznańskim i Marianem Kozikiem, pokonał dziewiczą północną ścianę Zachodniego

Szczytu Żelaznych Wrót. W sprawozdaniu napisanym dla „Taternika” Ustupski i Korosadowicz podkreślali nadzwyczajną kruchość skały na całej drodze.

Następnego dnia, bez Uznańskiego, zrobili też leżący „po sąsiedzku” uskoki Wschodniego Szczytu Żelaznych Wrót. Był to ostatni niezdobyty fragment Głównej Grani Tatr. Prowadził przez cały czas Korosadowicz. *W jaki sposób potem rzuciłem do towarzyszy: – Jurek, widziałeś kiedy człowieka na tym stopniu? – opowiadał „Korek” swoje wrażenia z tej tury. Ustupski zapisał zaś w sprawozdaniu: Droga wspinania, nadzwyczaj trudna i ogromnie eksponowana, należąca do najpiękniejszych wspinaczek tatrzańskich.*

Czech przez pewien czas przeplatał sukcesy w górach z dużymi osiągnięciami na narciarskich arenach. Ustupski natomiast najwspanialsze triumfy sportowe święcił już po zakończeniu przygody z liną i hakami. Rok osiągnięć w masywie Żelaznych Wrót przyniósł mu pierwszy medal w wioślarskich ME, gdy w osadzie z Rogerem Vereyem zdobył brąz. Dwa lata później stali już na najwyższym stopniu podium tej imprezy.

Ustupski omal nie stał się też zimowym olimpijczykiem. Jako świetny biegacz narciarski, był bowiem bliski nominacji na imprezę w Garmisch-Partenkirchen. Wyjazd zabrała mu jednak kontuzja żeber, której nabawił się w czasie przygotowań. Za to, podleczone po urazie, pół roku później w Berlinie zdobył brąz w wioślarstwie, dzięki czemu do dziś jest jedynym w historii zakopiańczykiem z medalem letnich igrzysk.

Odważny pechowiec

Pod względem wymiernych sukcesów, Czech i Ustupski byli na pewno najlepszymi sportowcami wśród wspinaczy. Ale czy też najlepszymi wspinaczami wśród sportowców? W tej kategorii potężną konkurencję stanowił dla nich Stanisław Motyka.

Niestety, w sporcie wyczynowym Motykę na ogół prześladował solidny pech. Tak stało się podczas ZIO w 1928 r., kiedy reprezentował Polskę w kombinacji norweskiej. Na trasie biegu, ok. 8 km od startu, Motyka zaliczył wywrotkę i złamał kijek. Dalej mógł się więc podpierać tylko jedną ręką, co znacznie utrudniało mu walkę na podbiegach oraz w płaskim terenie. Szczęśliwie, 3000 m za miejscem wypadku przygodny kibic podał Polakowi kij. Sprzęt był starej konstrukcji, bardzo ciężki, ale pozwolił Motyce ponownie włączyć drugie ramię do pracy i dotrzeć na linię mety z przyzwoitym rezultatem.

Motyka prezentował bardzo charakterystyczny styl w skokach narciarskich. W powietrzu jego prawa narta zwykle wisiała dziobem do dołu, przez co deski zbierały powietrze i hamowały skoczka. Utracone metry nadrobił za to niepokorną odwagą. Pierwszy raz na rozbiegu stanął w 1922 r., po tym, jak trzy miesiące wcześniej przypiął do nóg narty! Co więcej, swój debiut odbył w wiązaniach z połamanymi sprężynami.

Z powodu brawury, Motyka często nie dawał rady zakończyć skoku lądowaniem. W roku zmagania olimpijskich zaliczył kilka upadków. Najtragiczniejszy przydarzył mu się już po powrocie z St. Moritz. Na zeskoku odpięta narta poważnie skaleczyła go w okolicę skroni. Nie wziął przez to potem udziału w Mistrzostwach Polski. W przerwie między sezonami Motyka ostatecznie zrezygnował ze skoków i pozostał jedynie przy biegach. Z deskami na nogach przemierzał trasy zawodów do połowy lat 30., póki nie odezwały się bóle kręgosłupa.

We wspinaczkę Motyce dopisywało więcej szczęścia, co – w połączeniu z wrodzoną odwagą, wytrenowaniem i umiejętnościami – przyniosło mu wiele sukcesów na tatrzańskich ścianach. Między 1929 a 1939 rokiem poprowadził w sumie aż 75 nowych dróg, w tym tak znanych jak Filar Leporowskiego na Kozim Wierchu, trawers południowego urwiska Zamarłej Turni, drogi pld-wsch. ścianą Żłobistego Szczytu i środkową częścią pld-wsch. ściany Wielkiego Ganku, zimowe przejście południowej ściany Zamarłej Turni, czy najtrudniejszą z jego dróg na Małym Kołowym Szczycie.

Taternickie mistrzostwa

Na taternickich filarach wspierały się również narciarskie Mistrzostwa Świata rozgrywane w 1939 r. w Za-



Zwycięzcy Wioślarskich Mistrzostw Europy niesieni na rękach: Jerzy Ustupski (z lewej) i Roger Verey (z prawej). Berlin 1935 fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego



Roger Verey i Jerzy Ustupski podczas zawodów wioślarskich Węgry - Polska w Budapeszcie, 1939 fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego



Bronisław Czech w trakcie zawodów w Zakopanem w 1931 roku. fot. Henryk Schabenbeck, ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

kopanem. Wspinacze byli oczywiście licznie reprezentowani wśród uczestników zmagania.

Imprezę tę wyznaczył sobie na pożegnanie z wyczynowym sportem Bronisław Czech. Miał wystartować w zjeździe, slalomie oraz kombinacji norweskiej, lecz trudne warunki na stokach sprawiły, że nie dał rady zmierzyć się z dwuboistami na trasie biegu i na swej ukochanej skoczni.

Rolę idola publiczności zdyktował mu kilka lat wcześniej Stanisław Marusarz, wicemistrz świata w sko-



Zdobywca drugiego miejsca w kombinacji alpejskiej Karol Zajac. Międzynarodowe Zawody Narciarskie o Mistrzostwo Polski w Zakopanem, 1938 fot. Henryk Schabenbeck, ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

kach z 1938 r., rekordzista globu w długości skoku z 1935 r. i 5. zawodnik ZIO z 1936 r., uznawany za jednego z trzech najlepszych zawodników w tej dyscyplinie końca lat 30. W górach popularny „Dziadek” nie znaczył tak wiele jak jego starszy kolega, zaliczył jednak parę godnych przejść. 19 czerwca 1932 r., razem z Czechem i Stopkówną, wziął udział w czternastym wejściu zachodnią ścianą Kościelca, zaś trzy lata później wytyczył wariant drogi na Zmarzłych Czubach. Od 1936 r. aż do wybuchu II Wojny Światowej prowadził schronisko na Hali Pysznjej.

Dużo więcej osiągnął w górach stryjeczny brat Stanisława, Andrzej, syn słynnego przewodnika Jędrzeja Marusarza-Jarząbka, Nauczycielem wspinaczkowego fachu był dla Andrzeja Marusarza Stanisław Motyka. Razem, po 12-godzinnej turze, zdobyli jako pierwsi w historii południową ścianę Małego Kołowego Szczytu i zrobili wariant na południowej flance Małego Lodowego Szczytu. Tuż przed wojną Marusarz, tym razem z Józefem Zubkiem, dokonał też wejścia nową, bardzo trudną drogą na Murań wprost z Międzyścian.

Na MŚ w Zakopanem w 1939 r. „Andre” dorobił się miana wielkiego odkrycia zawodów. Podczas tej imprezy swoimi sukcesami prześcignął nawet sławnego kuzyna, Stanisława. Zajął 4. lokatę w kombinacji norweskiej, podczas gdy „Dziadek” był w dwuboju siódmy, a w skokach uplasował się na 5. pozycji.

Wśród uczestników FIS-u, piękną taternicką przeszłość miał też Karol Zajac. Najlepsze lata czarnodunajczanina na tatrzańskich ścianach przypadły na początek czwartej dekady XX w. Zanotował wtedy m.in. premierowe powtórzenie drogi Birkenmajera na zachodniej ścianie Łomnicy, pierwsze przejścia północnej ściany Zasłoniętej Turni, środka północnej ściany Wschodniego Szczytu Żelaznych Wrót oraz warianty

na południowej ścianie Niebieskiej Turni.

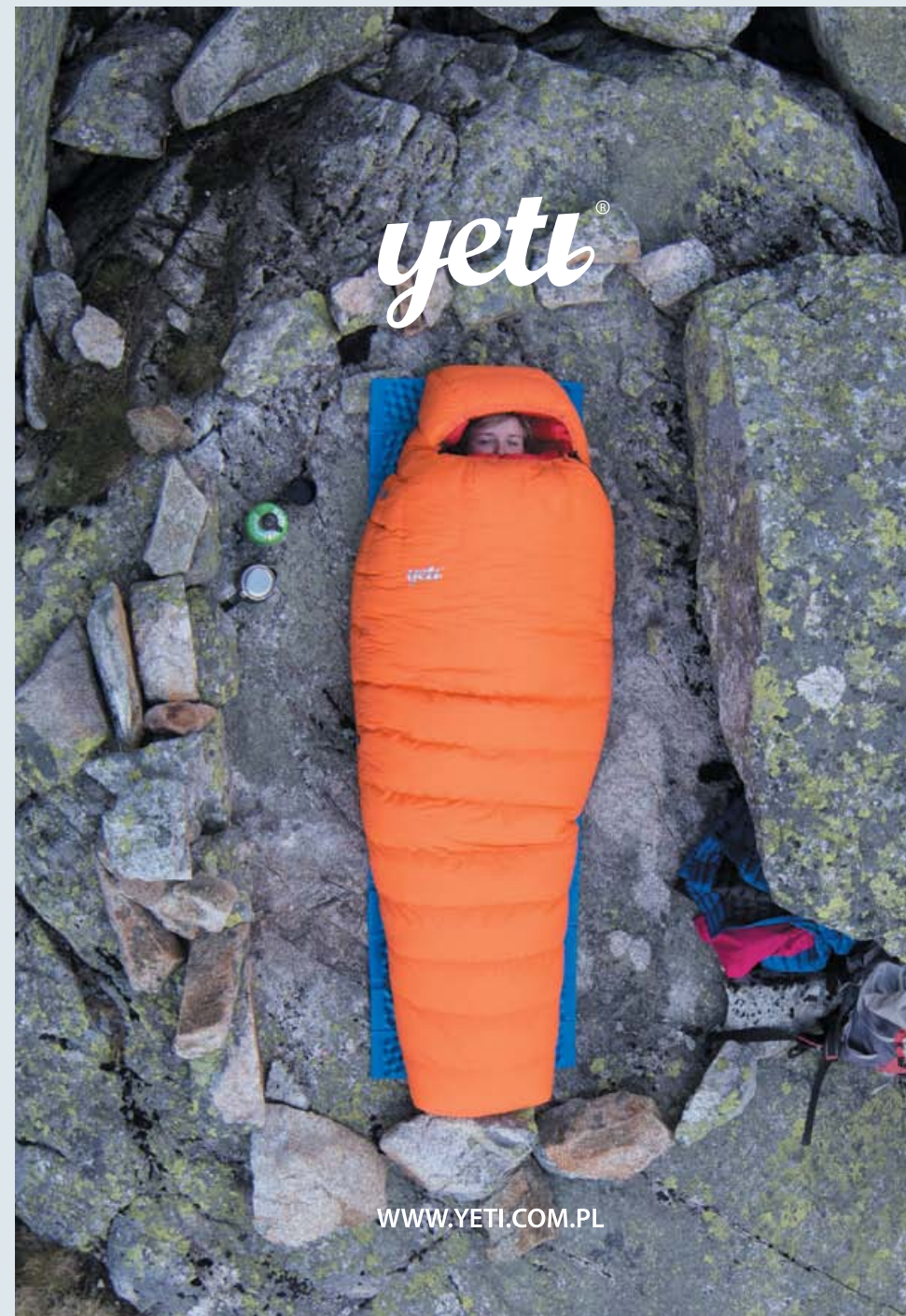
Zając, wraz z Czechem i Fiedorem Weinschenkiem, należał do elitarnego grona trzech polskich przedwojennych olimpijczyków w narciarstwie alpejskim. Trener kadry z 1939 r., Franz Zingerle, uważał go za swojego najlepiej wyszkolonego zawodnika. Podczas MŚ, przed własną publicznością, sam Zając zapewniał:

– *Jestem blisko swej szczytowej formy. Jednak na zboczach Kasprowego Wierchu wypięło mu się wiązanie i zaliczył upadek. Ostatecznie zajął w tych zawodach 23. lokatę. W slalomie rozegranym nad Kalatówkami wypadł natomiast najgorzej z Polaków. Wyglądał tak, jakby w ogóle nie potrafił jeździć* – skomentował „Przegląd Sportowy”.

Wśród kobiet, bohaterką polskiej reprezentacji została, dzięki 8. lokacie wywalczonej w slalomie, świetna taterniczka, towarzysza Bronisława Czecha i Józefa Krzeptowskiego z wyprawy Główną Granią Tatr w 1931 r., Zofia Stopkówna. Później, wraz z mężem Władysławem Gąsienicą Marcinowskim, prowadziła schronisko w Dolinie Goryczkowej. Oboje zginęli w lawinie, która spadła na ten budynek w 1956 r.

Wspinaczkowe ślady były obecne w życiorysach nie tylko zawodników zakopiańskiego FIS-u. Nowy wygląd gruntownie przebudowanej Wielkiej Krokwi, na której odbywała się rywalizacja skoczków i kombinatorów, zaprojektował Wiktor Ostrowski, znany krakowski taternik. Stanowisko kierownika biegu na 50 km objął Józef Oppenheim, naczelnik TOPR-u. Nazwisko Jana Stasza widniało pod wieloma artykułami „Przeglądu Sportowego”, gdyż zakopiańczyk pełnił funkcję lokalnego korespondenta tej gazety. Nawet autorem zdjęcia zdobywającego oficjalny plakat MŚ także był wspinacz, Roman Serafin, współtowarzysz Marusarzy z wyprawy na Zmarzłe Czuby.

Publikacja zdjęć za zgodą
Narodowego Archiwum Cyfrowego
(<http://nac.gov.pl/>)



WWW.YETI.COM.PL

Podsumowanie sportowe UKA 2014

Bartosz Jarosiewicz

Kuba Jodłowski zwycięża UKA OPEN

Zdjęcie zdobyło główną nagrodę w Konkursie fotograficznym UKA, w kategorii Zdjęć wspinaczkowych.

fot. Stefan Madej

8b OS, zwycięstwa w Pucharze Polski i zawodach towarzyskich, do tego **8c, VI.7**, boulderowe **8A+**, 2. miejsce w boulderach i w prowadzeniu w drużynowym rankingu PZA Pucharu Polski. Uff, ciężko to wymienić jednym tchem. A to znaczy, że jest naprawdę dobrze! Pisząc podsumowanie przeżyć sportowych, od paru już lat mam do czynienia ze zjawiskiem „klęski urodzaju”. I jest to bardzo przyjemne. Pozostaje tylko pytanie, czy jakieś tegoroczne dokonania klubowiczów były przełomowe?

Na pewno na miano przełomowego zasługuje dokonane przez **Szymona Łodzińskiego** pierwsze przejście drogi *Priez pour nous L2* – **8b OS**. Jest to najlepsze przejście klubowe w tym stylu, które jednocześnie po-

zwoliło Szymonowi dołączyć do wąskiego grona Polaków z takim wynikiem na koncie. Warto dodać, że nasz kolega walczył na drodze aż 50 minut.

Szymon jest też zwycięzcą klasyfikacji generalnej Pucharu Polski w Prowadzeniu. Jak widać, można łączyć skały z plastikiem. Pozostając przy przejściach skalowych, trzeba wymienić wyczyn **Stefana Madeja**, który poprowadził drogę *Tyrannosaurus Rex VI.7*. Stefan miał już na koncie „sześciódemki”, ale *Tyran* to legenda.

O ile miejsca w finale zawodów Pucharu Polski nie są rzadkością wśród klubowiczów, o tyle zwycięstwa zdarzają się niezbyt często. W roku 2014 udało się do dwóch naszym zawodnikom: **Kuba Jodłowski** wygrał zawody UKA Open, które były jedną z edycji Boulder-

wego Pucharu Polski, natomiast **Szymon Łodziński** zajął 1. miejsce w Prowadzeniu na zawodach w Toruniu. Miejsce na podium w Pucharze Polski udało się też wywalczyć **Kubie Głowce** – w zawodach boulderowych w Zakopanem był 3. Kuba wygrał także towarzyskie zawody Blokfit Open w Gdańsku. W zawodach towarzyskich zwycięstwo odniósł również **Bartek Jarosiewicz**, podczas Antygravitacji w Poznaniu.

Na boulderach, mimo małej ilości czasu, najsukceszniej działał **Kuba Głowka**, który dorzucił kolejne 8A+, tym razem w Zillertal, w przerwie między startami w Pucharze Świata.

Inne przejścia, które zasługują na uwagę, to takie, w których zawodnicy podnieśli swój poziom sportowy.

Wśród facetów dotyczyło to przede wszystkim młodych. **Jerzy Laskowski** poprowadził 8b, a **Filip Chrapowicki**, **Piotrek Stępnia** i **Michał Kulpiński** wpięli się do łańcuchów dróg za 8a+. „Plusika” do poprzedniej życiówki w stopniu VI.5 dołożył też **Ludek Zalewski**, prowadząc *Gorączkę sobotniej mocy*. Dobry wynik zanotował **Marcin „Kolarz” Kantecki**, robiąc swoje drugie 8a, *Orgasme mineral extension*. Pierwsze padło 8 lat temu, podczas majówki w Sperlondze.

Wśród par, jak zawsze niezawodna była **Marta Czajkowska**, wspinając się regularnie na poziomie VI.5, a także startując w finałach zawodów, w tym zajmując 2. miejsce podczas Murall Challenge w Warszawie. Swoją życiówkę na Weście poprawiła **Agnieszka Cudna-Ryczer**, prowadząc drogę *Preobrazba 7c+* w Osp.

Swoją poziom podniosła także **Marianna Syrokomska-Kantecka**, robiąc na Kalymnos drogę *Oxus 7c* (i to już w drugiej próbie). Imponującą wszechstronnością mogła pochwalić się **Ola Stańczak**, która wspinała się z liną na poziomie *7c*, zrobiła kilka boulderów w stopniu *7A*, a także startowała w finałach zawodów boulderynych.

Żeby nie było zbyt pięknie, powtórzę swój apel sprzed dwóch lat – przydałby się jakiś naprawdę mocny akcent RP, np. *9a*. Tytuł Mistrza Polski też będzie satysfakcjonujący. Albo półfinał na imprezie międzynarodowej...

Jednym słowem: Klubowicze – do dzieła!

Marta Czajkowska

OS

VI.3 *Mąż żony Marcina*, Rzędkowice

7a+ *Soul mandate*, Waterval Boven

Flash

7b *Delirium tremens*, Osp

RP

VI.5 *Murarz IV - Reaktywacja*, Dol. Będkowska

VI.5 *Będkowski Playboy*, Dol. Będkowska

VI.4+/5 *Czyste VI.7*, Rzędkowice

VI.4+ *Superbrudas*, Okienik Wlk.

7c *Siempre fuimos punkies*, El Chorro

7c *L'assiette c'est plus*, St. Leger

7b+ *Viejo traidor*, El Chorro

7b+ *Oussama l'air explosif*, St. Leger

7b+ *Amateur de gros essais*, St. Leger

7b+ *Chute des chèvres*, St. Leger

7b+ *Roland Culet*, St. Leger

7b+ *Lotter's desire*, Waterval Boven

7b+ *Hallucenogenic toreador*, Waterval Boven

Zawody

2. miejsce, Murall Challenge, Warszawa

6. miejsce, Bloco Open, Warszawa

Agnieszka Cudna-Ryczer

OS

7a+ *bez nazwy*, Margalef

7a *Que pasa neng?*, Margalef

7a *Beta de boira*, Margalef

7a *Baby sitter*, Margalef

RP

7c+ *Preobrazba*, Osp

VI.4+/5 *Supernowa*, Podzamcze

7b+ *Nikita*, Osp

7b *O'Mar Galef*, Margalef, 2 próba

7b *Pitus i flautes*, Margalef, 2 próba

7b *Amb pal no dona pal*, Margalef

Aleksandra Stańczak

OS

7b *Power Slave*, Geyikbayiri

7a+ *Fire Spire*, Geyikbayiri

7a+ *Toros*, Geyikbayiri

7a+ *Big Turkey*, Geyikbayiri

RP

7c *Memory of Giovanni*, Geyikbayiri

7b+ *Geyikbayiri Games*, Geyikbayiri

7b *Pink Power*, Geyikbayiri, 2 próba

7b *Greek Gift*, Geyikbayiri, 2 próba

Bouldery

7A *Elucubration/Le Quark*, Fontainebleau

7A *Action Directe*, Fontainebleau

7A *Maties*, Rocklands

7A *Silky Smooth*, Rocklands

7A *Mighty Steel Leg*, Cape Town

Zawody

3. miejsce, Antygrawitacja, Poznań

7. miejsce, Blokfit Open, Gdańsk

8. miejsce, Transformator, Katowice

Marianna Syrokomska-Kantecka

OS

7b *Zorba le gros*, Kalymnos

Flash

7b+ *Telendos*, Kalymnos

7a *Pompeta*, Sperlonga

RP

7c *Oxus*, Kalymnos,

2 próba

7a+ *Su sardu*, Sperlonga,

2 próba

Olga Galewska

OS

7b *Le Type de la Taverne Ext.*, Kalymnos

7a+ *Steps Ahead*, Kalymnos

7a+ *Une Marie pour*, Tarn

7a *Lycian Alpinist*, Geyikbayiri

7a *Fuck the aue*, Tarn

7a *La cure de rigologie*, Tarn

RP

7b+ *Olympic Wall*, Kalymnos, 2 próba

7b *L'homme qui tombe a Split*, Kalymnos

7a+ *A room with a view*, Kalymnos

7a+ *Yorma Beni*, Geyikbayiri

Ewa Załuska

Flash

VI.4 *Mandolina ogiera*, Rzędkowice

RP

7c *Hobbit*, Osp

7b+ *Petit ruisseau*, Tarn

VI.4 *Sam miód*, Podzamcze

VI.4 *Przeminelo z wiadrem*, Popielarka

7b *Prise de carre*, Tarn

Szymon Łodziński

OS

8b *Priez pour nous L2*, Tarn

8a+ *L'odyssée de l'espace*, Tarn

8a *Les ailes du désir*, Tarn

8a *Jour de Peuf*, Tarn

8a *Les nouvelles plantations du Christ*, Tarn

Flash

8a *Urbanova*, Osp

8a *Giljotina*, Osp

RP

8c *Strelodov*, Osp

8b+ *Missing link*, Osp

8b+ *Carry Poulet*, Tarn

8b/b+ *La voie du shpounze*, Tarn

8b/b+ *Marioneta*, Osp

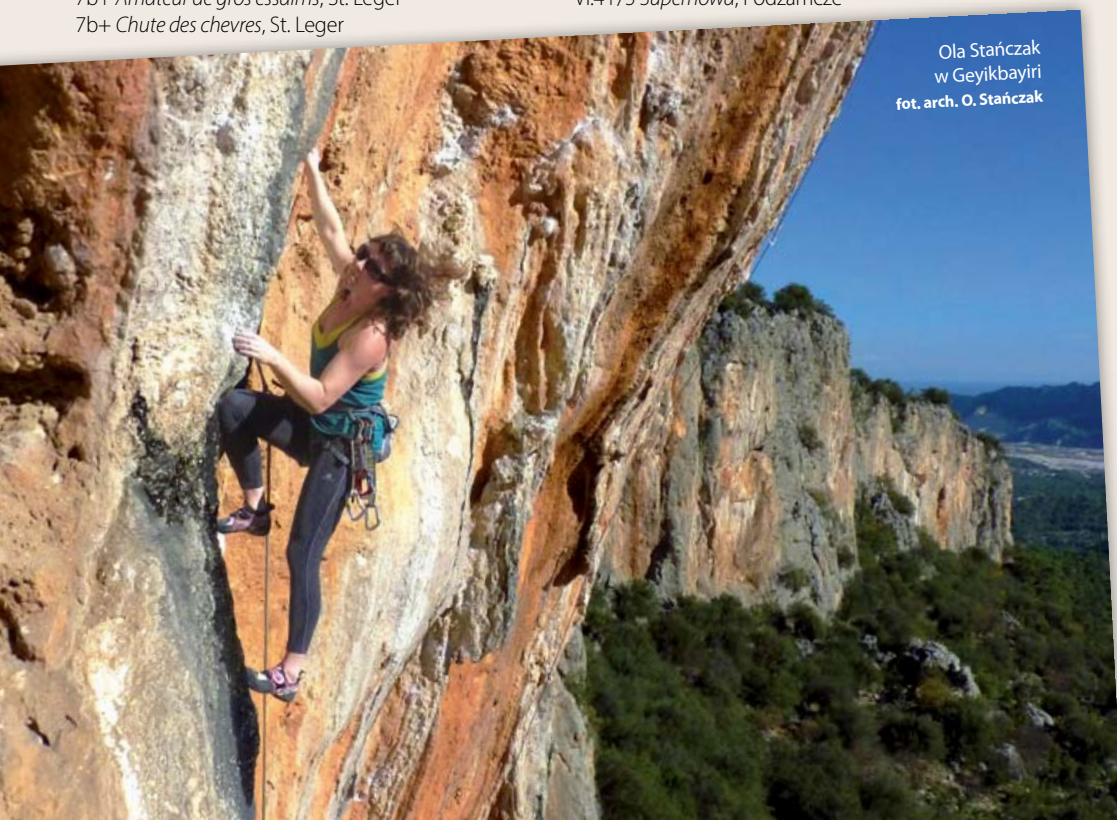
8b/b+ *Marjetica*, Osp

Zawody

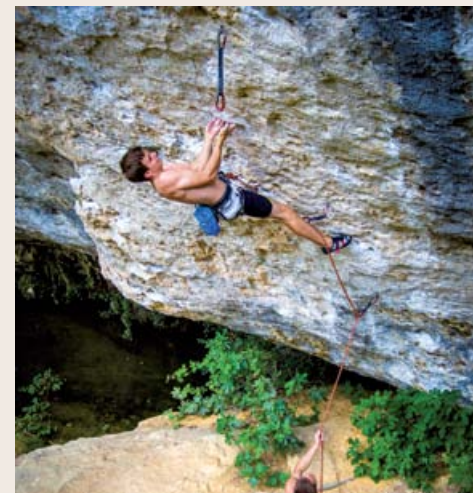
1. miejsce, Puchar Polski w prowadzeniu 2014

1. miejsce, Puchar Polski w prowadzeniu, Toruń

3. miejsce, Puchar Polski w prowadzeniu, Tarnów

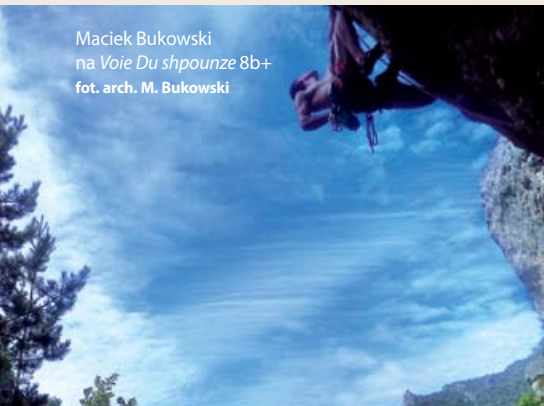


Ola Stańczak
w Geyikbayiri
fot. arch. O. Stańczak



Szymon Łodziński na Rasta Vaut Rien 8a+
fot. arch. S. Łodziński

Maciek Bukowski
na *Voie Du shpounze* 8b+
fot. arch. M. Bukowski



Maciek Bukowski

OS

8a *Les ailes du desir*, Tarn

8a *Les nouvelles plantations du Christ*, Tarn

7 x 7c+

Flash

VI.5/5+ *Eldorado*, Rzędkowice

RP

8c *Pata Negra*, Rodellar

8b+ *Carry Poulet*, Tarn

8b+ *La voie du shpounze*, Tarn

8b+ *Missing Link*, Osp

36 Stefan Madej

OS

8a *Ali Baba*, Sardynia

8a *Andycapp*, Sardynia

RP

VI.7 *Tyrannosaurus Rex*, Podlesice

8b/b+ *Marietia*, Osp

8b *Abregenief*, St. Leger

6 x VI.6

Kuba Jodłowski

OS

8a *Black Mamba*, St. Lager

7c+ *Keep on moving*, Tarn

RP

8b+ *Curry Poulet*, Tarn

VI.5+/6 *Powitanie Wiosny*, Okiennik Wlk.

8a *Kalymnostrobe*, Kalymnos

8a *Quand le blues*, St. Leger

8a *Reve de Papillon*, Buoux

8a *Twist as Lola*, Margalef

8a *No name*, Margalef

Flash

VI.5 *Kucharz z La Manczy*, Mirów

Zawody

1. miejsce, Puchar Polski w Boulderingu

UKA Open, Warszawa

1. miejsce, Blokoblisko, Kalisz

1. miejsce, Murall Challenge, Warszawa

Kuba Główka

Bouldery

8A+ *Spirit*, Zillertal

8A *Fata Morgana*, Fontainebleau

8A *Les Beaux Quartiers*, Fontainebleau

8A *Odium*, Kamień Michniowski

7C+ *Soucis d'Air*, Fontainebleau

7C+ *Big Golden*, Fontainebleau

7C *Vandale*, Fontainebleau

7C *Sale gosse*, Fontainebleau

7C *Le Bon Sens*, Fontainebleau

7C *Le Parfum des Couleurs*, Fontainebleau

Zawody

3. miejsce, Puchar Polski w Boulderingu, Zakopane

4. miejsce, Puchar Polski w Boulderingu, Jaworzno

1. miejsce, Blokfit Open, Gdańsk

Jerzy Laskowski

OS

7b+/c *Alicia*, El Chorro

7b+ *Los Lochos*, Zillertal

7b+ *Roter Baron*, Frankenjura

7b+ *Treibjagd*, Frankenjura

Flash

7c+ *Hitch-hike the plane*, Frankenjura

7c *Chasin' the trane*, Frankenjura

RP

8b *Mrtvaski ples*, Osp

8a+/b *Swimming through a shark attack*, El Chorro

8a+ *Back to work*, Adlitzgraben

8a+ *Little sister*, Zillertal



Jerzy Laskowski
na *Liebe ohne Chance* 7c. Frankenjura
fot. Mateusz Haładaj

Agnieszka Cudna-Ryczer
podczas prowadzenia drogi *Preobrazba* 7c+ w Misji Pec
fot. Wojtek Ryczer



VI.5+ *Kaprys Bogów*, Podlesice
 VI.5+ *Tytanowe implanty*, Rzędkowice
 7 x 8a i 4 x VI.5

Zawody

2. miejsce, Mistrzostwa Polski Juniorów w Boulderingu, Warszawa
 2. miejsce, Puchar Polski Juniorów w Prowadzeniu, Legnica

Bartosz Jarosiewicz**Bouldery**

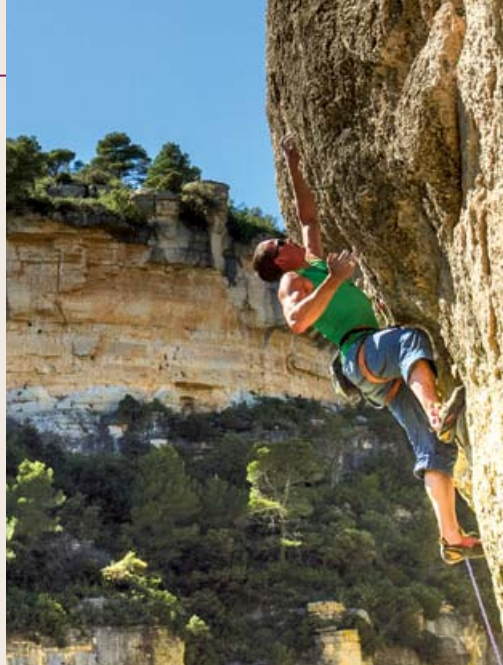
8A *Fata Morgana*, Fontainebleau
 7C+ *Soucis d'Air*, Fontainebleau
 7C+ *Megalithe*, Fontainebleau
 7C+ *Windmill*, Fontainebleau, 1. powtórzenie
 7C *Tristesse*, Fontainebleau
 7C *Alea iacta est*, Fontainebleau
 7C *52 Gerard*, Fontainebleau
 7C *36.15 Power*, Fontainebleau
 7C *Welcome to Tijuana*, Fontainebleau
 7C *Open Air*, Fontainebleau

Zawody

1. miejsce, Antygrawitacja, Poznań
 2. miejsce, Blokfit Open, Gdańsk
 9. miejsce, Puchar Polski w Boulderingu, Zakopane



Rafał Pawiński na 7c+OS w St. Leger fot. Marta Czajkowska



Michał Marines Łodziński na *Zona 0* fot. Mirek Nietupski

Rafał Pawiński**OS**

7c+ *Arisanat local*, Saint Leger
 7c+ *Slayer*, Saint Leger
 7c/7c+ *Metey Sac*, Terradets
 7c *Mandanga*, Tres ponts
 7c *Occident*, Terradets

RP

8a+ *L'Anarkista*, Terradets, 2 próba
 8a+ *L'Adrecador*, Terradets, 2 próba
 8a+ *Ptičja perspektiva*, Osp
 8a+ *Treking*, Terradets
 8a+ *Flix Flax*, Terradets

Michał Marines Łodziński**OS**

7c+ *L'escamarla*, Siurana
 7c *La cena de Isidoro*, Rodellar

RP

8a+ *Malaxe*, St. Leger
 8a+ *Zona 0*, Siurana
 8a *Ca jette.com*, St. Leger, 2 próba
 8a *Un monde sans gauchisme est sans issue*, St. Leger, 2 próba
 8a *Encephalogramme plat*, St. Leger, 2 próba
 8a *Les petites frappes de l'Alpe*, St. Leger, 2 próba
 8a *Tekila*, Osp, 2 próba

Zawody:

15. miejsce, Mistrzostwa Polski w Boulderingu, Kraków

Filip Chrapowicki**OS**

7b+/c *Alicia*, El Chorro
 7b+ *Roter baron*, Frankenjura

Flash

7c+ *Hitach-hike the plane*, Frankenjura
 7b+ *Orang Utan*, Frankenjura

RP

8a+ *Slimline*, Frankenjura
 8a *Rima Libre*, El Chorro
 8a *Totenbrett*, Frankenjura
 8a *Schauer Power*, Frankenjura
 8a *Vogeln Verboten*, Frankenjura

Michał Kulpiński**OS**

7b *Noir Desir*, Tarn
 7b *Cris et compromis*, Tarn

Flash

7c *Murati*, Tarn

RP

8a+ *Rasta vaut rien*, Tarn
 8a *Samsara*, Osp
 7c *Starting bloc*, Tarn
 7c *Hobbit*, Osp

Piotrek Stępnik**RP**

8a+ *Rasta vaut rien*, Tarn
 kilka 7c w szybkim RP

Mikołaj Nowotnik**Bouldery**

7C+ *Keep Fit*, Kamień Michniowski
 7C *Carnage Asis*, Fontainebleau
 7B+ *Iceberg raccourci assis*, Fontainebleau
 7B *El Poussah rallongé*, Fontainebleau
 7A+ *L'Angle Ben's*, Franchard Isatis
 7A+ *Little Karma assis*, Franchard Isatis
 7A+ *El Poussif*, Franchard Isatis

Mikołaj Wolanin**RP**

8a *Samsara*, Osp
 8a *Arbitrage*, Adlitzgraben
 7c+ *Hugo*, Osp
 7c+ *Funfstern*, Zillertal
 VI.5 *Grek Korba*, Podlesice
 VI.5 *Odlot*, Pochylec
 7c *Mozaik*, Osp

Michał Kulpiński
 na *Rasta Vaut Rien* 8a+
 fot. arch. M. Kulpiński

Jacek Waclawczyk**OS**7c *Mamma Africa*, Oudtshorn7c *Lassiette c'est plus*, St. Leger

... i kilkanaście 7b+

RP8a *Black Mamba*, St. Leger8a *Chiquita*, Osp8a *Uzivancija*, Osp8a *Tequila*, Osp7c+ *Mozaik*, Osp7c+ *Snapdragon*, Waterval Boven7c+ *Loslappie link-up*, Waterval BovenVI.5 *Będkowski playboy*,

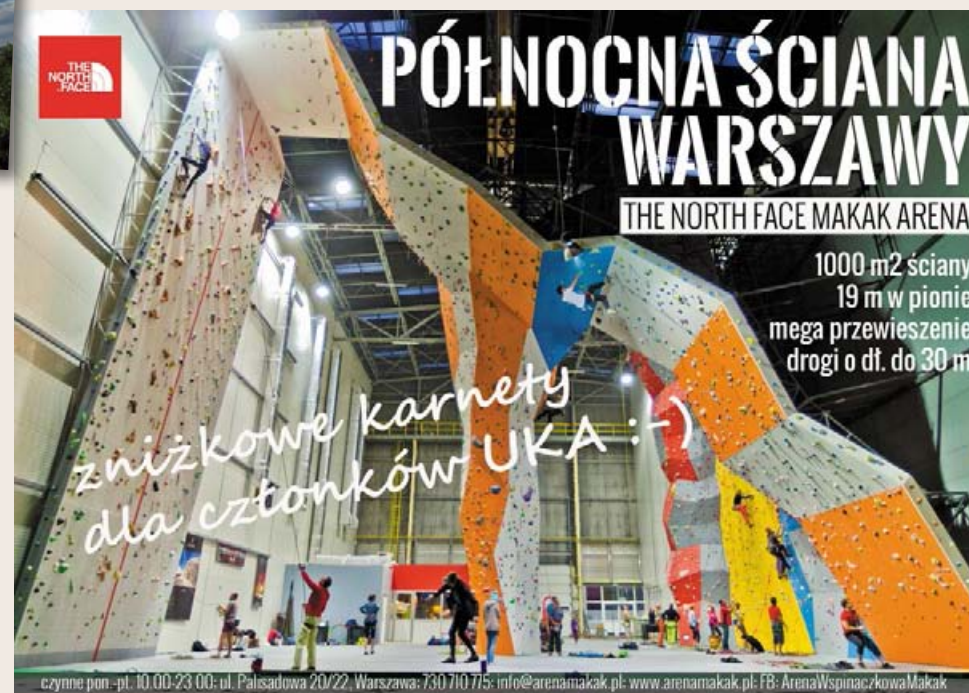
Dol. Będkowska

VI.5 *Murarz IV - Reaktywacja*,

Dol. Będkowska

Ludomir Zalewski**OS**7c *Magnetus*, Kalymnos7b+ *Alfredo Alfredo*, Kalymnos7b+ *Chien Jaune*, Kalymnos**Flash**VI.4+ *Supernova*, Podzamcze7b+ *Tufa King Pumped*, Kalymnos**RP**VI.5+ *Gorączka sobotniej mocy*, PopielarkaVI.5 *Ommadawn Direct*, PodzamczeVI.5 *Bambo 3*, PodlesiceVI.5 *Wzlot*, PochylecVI.5 *Murarz IV - Reaktywacja*, Dol. BędkowskaVI.5 *Brutalny trucht*, Podzamcze7c *Cave Cannam*, Sperlonga**Marcin Kantecki****OS**7c *Oxus*, Kalymnos7b+ *Blue magic*, Kalymnos7b+ *Yanap*, Kalymnos**RP**8a *Orgasm mineral extension*, Kalymnos7c+ *Orgasm mineral*, Kalymnos7c *Hogo Fogo*, Kalymnos7c *Sirena*, Kalymnos**Wojtek Ryczer****RP**7c+ *Preobrezba*, OspVI.5 *Krytyka czystego rozumu*, Okiennik Wlk.7c/c+ *Hugo*, Osp7b+ *Nikita*, Osp

Jerzy Laskowski w Ospie fot. Marta Czajkowska

Tomek Zacharewicz**RP**VI.5 *Prostawanie problemu*, Podlesice**Bouldery**7B+ *Aerosol*, Fontainebleau7B *Dynuś SD*, Rzędkowice7A *Trav-vitae*, Fontainebleau7A *Holey Moley*, Fontainebleau**Michał Dziędzic****RP**7c *I buoni cattivi*, Arco7c *Pipeline*, San Vito7c *Cricket*, Chateauvert**Paweł Orłowski****RP**VI.4+ *Prostawanie sprawdzianu z refleksu*, Podlesice**Dominik Wiśniewski****RP**VI.5 *Będkowski Playboy*, Dol. BędkowskaVI.4+ *Wzlot*, PochylecVI.4+ *Wolant*, Diabelskie MostyVI.4+ *Shazza z Cmentarza*, Góra Birów**Piotrek Białas****Flash**7b *Ora et praeserva*, AdlitzgrabenVI.3+ *Okapik 22 lipca*, Dol. Będkowska**RP**7c+ *5 Sterne*, Zillertal7c *Pinot*, OspVI.4+ *Mędrzy Tralfamandrii*, Dol. BędkowskaVI.4+ *Echa leśne*, Rzędkowice7b+ *Is Danzas*, Sperlonga7b+ *Los Lochos*, Zillertal**Mikołaj Winiarski****OS**VI.3 *Hokej*, Sokoliki**RP**VI.4 *Witajcie w małpiarni*, Sokoliki**Krzysztof Banasik****OS**7c *No money no dance*, Geyikbayiri7b+ *Poil de Hulk*, Verdon7b+ *Black Moon*, Geyikbayiri7b+ *Sabotaj*, Geyikbayiri7b+ *Terazi lastik gimnastik*, Geyikbayiri7b *Odio a cobi*, Mallorca**RP**7c *Ange de l'Oubli*, GeyikbayiriVI.4+/5 *Porozmawiajmy o kobietach*, PodlesiceVI.4+/5 *Prostawanie Oblubienic*, RzędkowiceVI.4+/5 *Zapotrzebowanie na pozory*, ZastudnieVI.4+ *Agent Dołu*, Diabelskie MostyVI.4+ *Zanikający biceps*, Diabelskie MostyVI.4+ *Pi-Ching*, Rzędkowice7b+ *Sand Bag*, Mallorca

czynne pon.-pt. 10.00-23.00; ul. Palisadowa 20/22, Warszawa; 730 710 715; info@arenamakak.pl; www.arenamakak.pl; FB: ArenaWspinaczkowaMakak

Bartek Winiarek – bouldering po zawodach

fol. Leszek Winiarek



Co nowego w Agamie?

Małgorzata Kusztełak

Rok 2014 był dla sekcji UKA Agama bardzo udany. Wspólna pasja, jaką jest wspinaczka, nasze treningi, wyjazdy w skały i na zawody spowodowały, że stanowimy zgraną ekipę wspinaczy. A w tym roku dołączyła do nas jeszcze kolejna grupa wyjątkowo utalentowanych osób, które – jak my wszyscy – pokochały wspinanie.

Najstarsi, którzy jeszcze w zeszłym roku zdobywali medale na zawodach juniorskich, reprezentują nas już w młodzieżowcach i seniorach. Nadal trenują w Agamie, ale pomagają też trenować młodszych. Robią to bardzo dobrze, o czym świadczą wyniki dzieciaków oraz ich wielka radość ze wspinania. Wychowankowie Agamy stanowią już większość naszej kadry trenerskiej ☺!

Treningi na ścianie prowadzi: **Gosia Kusztełak, Tomek Majchrzak, Paweł Hacıski, Kuba Jodłowski, Michał Kulpiński**, a pomagają nam **Tomek Zacharewicz i Maciek Bukowski**. Stałą kadrę na obozach stanowią: **Przemek Kusztełak, Mateusz Szmajda, Zuzia Maciejczyk i Paweł Grocholski**. A w tym roku wspierali nas jeszcze inni starzy Agamowicze – **Szymon Łodziński i Maciek Korzeniak**.

W minionym roku UKA wzięło udział w projekcie Ministerstwa Sportu i Turystyki „Wspinanie to wyzwanie – popularyzacja wspinaczki sportowej wśród dzieci i młodzieży”. Zadanie to było realizowane ze środków Funduszu Rozwoju Kultury Fizycznej w ramach czynności „Projekty upowszechniania sportu dzieci i młodzieży realizowane przez polskie związki sportowe”. Udało się nam „zarazić” wspinaczką nowych pasjonatów, zorganizować wyjazdy treningowe, przeprowadzić pierwsze w historii zawody we „wspinaczkowym triathlonie” dla dzieci oraz utworzyć grupę wspinaczkową dla dzieci niewidomych.

W 2014 roku odbyły się cztery obozy wspinaczkowe: jeden w Rzędkowicach, jeden na Frankenjurze i dwa w Olsztynie. Obozy na naszej Jurze były bardzo intensywne. Wspinaliśmy się od rana do wieczora. Od razu po śniadaniu szliśmy w skały, wracaliśmy dopiero około osiemnastej na błyskawiczny obiad, po którym ruszaliśmy na bouldery lub na zabawy linowe i terenowe. Na obóz na Frankenjurze pojechali najstarsi oraz trenerzy, którzy w porównaniu z młodzieżą wydawali się znacznie bardziej „napaleni na wspinanie”. Było wspaniale. Bardzo zaskoczyła nas różnorodność sektorów, charakter skały i samych dróg.

Jak co roku, i tym razem, nasza sekcja dwa razy zorganizowała ogólnopolskie zawody. W kwietniu rozegrano zawody w boulderingu Juniorboulder. Odbyły się na nowej, największej w Polsce, ścianie wspinaczkowej w Centrum Wspinaczkowym „Makak”. Przyjechali wspinacze z całej Polski, a poziom sportowy za-

wodników zadziwił układaczy dróg, trenerów i widzów. Skoki, połamie płyty, oblaki czy krawadki... wydaje się, że dzieciaki tak samo świetnie czują się w każdej formacji skalnej i nic nie jest w stanie zaskoczyć młodych wspinaczy ☺!

Z okazji Mikołajek, 6 grudnia, odbyły się zawody dla dzieci i młodzieży we „wspinaczkowym triathlonie”. Zawody zorganizowaliśmy pod patronatem Ministerstwa Sportu i Turystyki. Czterdziestu młodych wspinaczy wystartowało w trzech wspinaczkowych konkurencjach: boulderingu, „na czas” i „na trudność”. Trzeba się było wykazać jednocześnie perfekcyjną techniką, boulderską siłą, wielką wytrzymałością (drogi miały około 30 metrów długości) i kosmiczną szybkością. Każda konkurencja była tak samo punktowana. Za zwycięstwo zawodnik otrzymywał 100 pkt., za drugie miejsce 80, za trzecie 60, itd. Uczestnicy zostali podzieleni na pięć kategorii wiekowych, osobno dla chłopców i dla dziewczynek. Najbardziej niesamowite było to, że każdy uczestnik zawodów miał jakąś dyscyplinę, w której wypadł najlepiej. Nie było ani jednej osoby, która w swojej koronnej konkurencji nie zdobyłaby miejsca na podium! Były to pierwsze w Polsce zawody w „triathlonie wspinaczkowym”. Mamy nadzieję, że od tej pory wejdą na stałe do kalendarza imprez wspinaczkowych. Sponsorem wszystkich zawodów był **ProRock Climbing**, który ufundował wspaniałe nagrody, a także **Coffee Lovers**, który zapewnił wyżywienie dla wszystkich zawodników.

Bardzo ważną rzeczą, którą udało się nam zrobić w ubiegłym roku, było utworzenie w Agamie grupy dla dzieci niewidomych i niedowidzących. Dzieci ze szkół w Łaskach z treningu na trening pokonują coraz trudniejsze drogi i zadziwiają swoim zaangażowaniem i hartem ducha. Trenujemy w soboty o 16.30 na Makaku. Zapraszam serdecznie, jeżeli ktoś chciałby zobaczyć, jak sobie radzą. Gdy jeszcze trochę poćwiczą, planujemy zorganizować zawody, podczas których niewidomi wystartują razem z widzowymi wspinaczami, którzy będą mieli zawiązane oczy ☺.

W minionym sezonie nasi najlepsi zawodnicy: **Filip Chrapowicki, Tomek Zacharewicz, Michał Kulpiński i Maciek Bukowski** skoncentrowali się głównie na przejściach skalnych. Były one imponujące (można o nich przeczytać w tej BUCE w podsumowaniu przejść sportowych UKA)! W 2014 roku zawodnicy Agamy wielokrotnie stawali także na podiach zawodów wspinaczkowych, w konsekwencji zajmując wysokie miejsca w klasyfikacji generalnej PZA. Na każdym ważniejszych zawodach, a szczególnie na zawodach rangi Pucharu Polski, Agamę reprezentuje coraz liczniejsza ekipa wspinaczy.

Najlepszym juniorem w naszej sekcji jest **Filip Chrapowicki**. W ubiegłym roku reprezentował Agamę w Pucharze Europy i na zgrupowaniu kadry narodowej w Hiszpanii. W klasyfikacji generalnej Pucharu Polski w prowadzeniu zajął 3. miejsce, startując ze starszymi kolegami. Natomiast nasza najlepsza juniorka – **Olga Lewicka** w minionym roku kilkakrotnie stała na podium i w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski zajęła: 3. miejsce we wspinaczce „na czas” oraz 2. miejsce w boulderingu.

Z pewnością należy także wspomnieć o rewelacyjnym występie **Mikołaja Sienkiewicza**, który – wraz z Olą – startował w konkurencji „na czas” na standardzie. Konkurencja ta polega na jak najszybszym pokonaniu drogi, która jest zawsze identyczna, ułożona z tych samych, tak samo rozmieszczonych chwytów przykręconych na specjalnie skonstruowanej do biegania ścianie. Nasi juniorzy mieli możliwość poćwiczyć „czasówkę” na standardzie tylko trzy razy, a pomimo tego pokonali wielu utytułowanych rywali, którzy ćwiczą tę dyscyplinę na co dzień. Mikołaj wygrał zawody w Warszawie i w klasyfikacji generalnej „na czas” był drugi. Startował też kilkakrotnie w ogólnopolskich, prestiżowych zawodach, zarówno w boulderingu jak i w prowadzeniu, stając na podium.

Juniorzy najchętniej startowali w boulderingu. Najlepszy w tej konkurencji był **Szymon Doradziński**, który zajął w „generalce” 4. miejsce. **Mikołaj Sienkiewicz**, **Franek Jasiński**, **Franek Różycki** i **Wiktor Andino-Velez** uplasowali się na dalszych pozycjach. W kategorii młodzików w zawodach brali udział **Igor Tomuń** i **Szymon Dolecki**. Chłopaki mieli bardzo silną konkurencję. Pomimo tego znacznie poprawili swoje zeszłoroczne wyniki.

Największe sukcesy w zawodach Agama odniosła w najmłodszych kategoriach wiekowych. Poziom jest bardzo wysoki. Miło jest patrzeć, jak pięknie wspinają się dzieciaki, które nie pamiętają czasów, gdy się nie wspięły i chodzą na ściankę, odkąd meble w domu stały się za niskie, by na nie wlaść. Niektórzy nasi zawodnicy mają staż wspinaczkowy przekraczający połowę ich życia! Stając na podium w tak dobrej stawce jest naprawdę ciężko, ale udało się to kilkorgu naszym klubowiczom.

Bartek Winiarek niemal z każdego zawodów wracał ze złotym medalem. Zarówno w boulderingu jak i w prowadzeniu wygrał Puchar Polski! W tej samej kategorii wystąpił też **Filip Polsakiewicz**, który świetnie wypadł w swoich pierwszych zawodach tej rangi w prowadzeniu. Wspaniale startowały dziewczynki – **Marysia Grześkowiak** i **Dominika Majszczuk**, szczególnie w konkurencji „na czas”. Dominika wygrała klasyfikację generalną i tym samym zdobyła Puchar Polski!



Ania Saloni, Juniorboulder 2014
fot. Bartek Lewicki

Wspaniale rozpoczęła sezon **Ania Saloni**, która w pięknym stylu wygrała Juniorboulder w kategorii dziewczynek. Niestety, na skutek nadmiernego treningu pływacko-wspinaczkowego i wiecznej, nieustającej aktywności Ani, nadwyrężony mięsień piersiowy i przeciążony staw ramienny uniemożliwiły jej kolejne starty. Teraz jednak Ania wraca do wspinania, jak zwykle pełna energii ☺.

Prawdziwą niespodzianką były starty **Krzysia Potoka**, niezwykle utalentowanego chłopca, który dołączył do Agamy dopiero w połowie sezonu, a udało mu się pokonać wielu, trenujących już kilka lat, utytułowanych zawodników i zająć 4. miejsce w klasyfikacji generalnej.

W najmłodszej kategorii, w której nie ma jeszcze oficjalnych rankingów, wystąpiło pięciu chłopców: **Antek Gontarz**, **Maciek Klejman**, **Jaś Grześkowiak**, **Antek Rygiel** i **Maciek Kurzeja**. Co prawda, nie byli oni jeszcze klasyfikowani przez PZA, ale ich wyniki są rewelacyjne. Antek Gontarz reprezentuje nasz klub już kilka lat, a w 2014 wielokrotnie stał na podium, często na najwyższym jego stopniu. Maciek Klejman to mistrz wytrzymałości. Ich młodszy koleś startują od niedawna, ale idzie im świetnie. Jaś, najweselszy wspinacz, jakiego znam, z zawodów na zawody jest coraz lepszy i jestem pewna, że wkrótce będzie regularnie stawać na podium. Jednak już teraz wygrywa zawody pogodą ducha i radością wspinania, nawet jak mu gorzej pójdzie. Prawdziwy sportowiec! **Antek Rygiel** i **Maciek Kurzeja** to nasi nowi, niezwykle utalentowani zawodnicy, którzy pewnie zaraz przegonią starszych kolegów, z którymi startują ☺.

Duża grupa Agamowiczów nie startowała wprawdzie w zawodach Pucharu Polski, ale wzięła udział w innych, niemniej ważnych, organizowanych w Warszawie zawodach. Podczas Juniorboulder widać było, jaki potencjał w nich drzemie, jak ślicznie i walecznie się wspinają.

Naszą sekcję sprzętowo wspiera **Mammut**, za co jesteśmy bardzo wdzięczni i za co odpłacamy się reklamą na klubowych koszulkach. Zawody organizowane przez UKA Agamę już od wielu lat wspierają: **ProRock**, **Coffee Lovers** i **Mammut**.

Dzięki!!!

Krzyś Potok na najwyższym miejscu na podium
fot. M. Potok



Antek Gontarz, Grześ Urgacz, Antek Rygiel na podium
Wspinaczkowego Triathlonu 2014 fot. Robert Tomuń



Agama na jurajskim obozie fot. L. Winiarek



Jura?

Tak, ale...

Stefan na Pochylcu.
Droga Nie Dla Psa Kielbasa (VI.7)
fot. Wojciech Ryczer

Ze Stefanem Madejem rozmawia Jakub Radziejowski

Stefan to jedno z „dzieci Agamy”, naszej klubowej sekcji młodzieżowej, którą od lat opiekują się Gosia Kuszta i Przemek Kuszta. Jest jednym z tych, którzy mimo wciąż młodego wieku, mogą się pochwalić stażem wspinaczkowym równym stażowi niejednego czterdziestolatka.

W ostatnich kilku sezonach Stefan przeszedł szereg bardzo trudnych jurajskich dróg i obecnie, z wszystkich klubowiczów, ma w swoim wykazie największą liczbę dróg od stopnia VI.6 w górę. Co ciekawe, w odróżnieniu od innych warszawskich sportowców, Stefana najczęściej spotkać można w okolicach Podlesia, a nie we Francji, Hiszpanii czy we Włoszech....

Stefan, przyznam, że głównym motywem, od którego chcę zacząć, jest nieco inne podejście, jakie prezentujesz. Gdzie indziej wybierasz cele niż wszyscy...

Nie wszyscy ...

No dobrze... niż większość mocnych zawodników, spędzających wspinaczkowy czas na Zachodzie. Także, kiedy weźmiemy naszą klubową czołówkę, ich życiówki są robione w rejonach skalnych Europy. Dlaczego Ty wybierasz Jurę? Czy jest to kwestia wygody i fajniejszego wspinania? A może brakuje Ci czasu na dłuższe wyjazdy lub też „West” Ci nie leży?

Jest zupełnie inaczej, niż się wydaje i niż wygląda z boku. Tak naprawdę, ja nie wybieram Jury, bo trenuję pod drogi i cele w Europie. Procentowo, około 70% treningu „pod skały” podporządkowuję wspinaniu na „Weście”...

To czemu lepsze wyniki masz na Jurze?

Z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego, że więcej tam jeżdżę. Po drugie, ewidentnie bardziej mi pasuje takie wspinanie. Z tym, że wydaje mi się, że jeżdżąc od lat, wyszkoliłem się w tym rodzaju wspinania.

Od kwietnia do listopada bywam na Jurze co weekend. Myślę, że co roku jestem tam ponad 20 razy. Nawet kiedy jestem chory, to też jadę do Podlesia. W mieście się człowiek truje... (śmiech). Z tym, że gdybym miał na Jurę daleko, a „westowe” wspinanie pod nosem, to oczywiście, że wspiniałbym się o wiele więcej tam.

Czyli jednak wolałbyś jeździć na Zachód, szkoda... A już myślałem, że jesteś Jurofilem. Może jednak jest coś takiego w charakterze wspinania na Jurze, co lubisz?

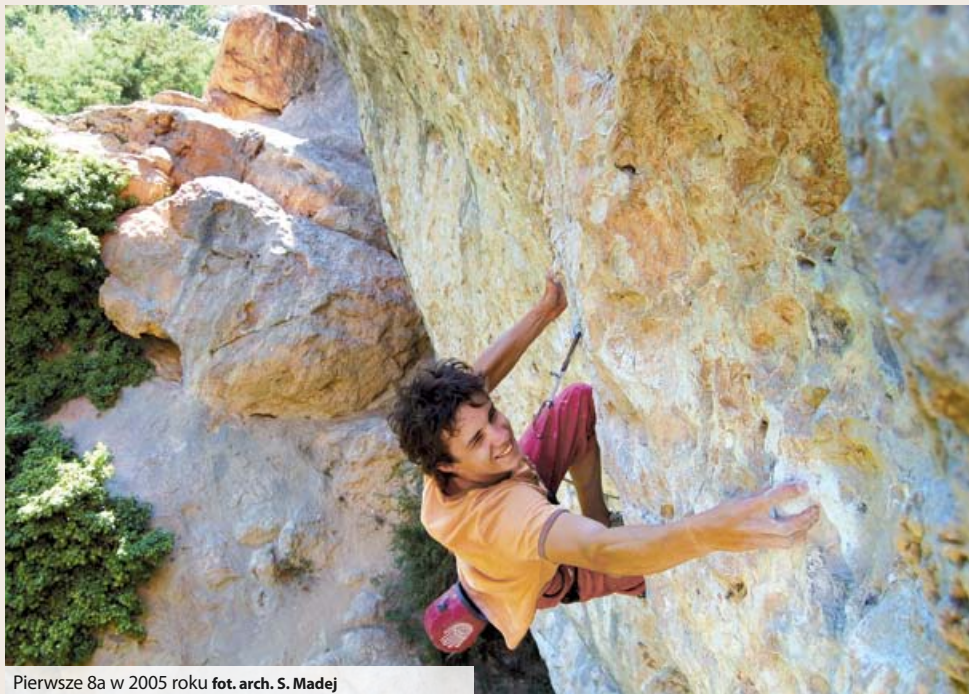
Ciężko mi teraz oddzielić samo wspinanie od otoczki, bo jeżdżę na Jurę trochę tak, jak moi rodzice na działkę. Czuję się tam u siebie. Miejscowi mnie kojarzą, ciągle spotykam znajomych, a przez to mam mnóstwo pozytywnych skojarzeń, tak z drogami, jak i miejscami. Poza tym, kiedy robisz życiówkę, to emocje są niesamowite. A że trochę tych trudnych dróg tam zrobiłem, to ładunek emocjonalny jest ogromny. Nie potrafię oddzielić samego wspinania od całej reszty.

Z drugiej strony, jestem pewien, że większą frajdę, jeśli chodzi o samo wspinanie, o ruch, sprawia mi wspinanie na „Weście”... Nie mam go jednak pod ręką,

a że naprawdę bardzo lubię się wspiąć, to jeżdżę tam, gdzie mam najbliżej.



Pijane Trójkąty fot. Wojciech Ryczer



Pierwsze 8a w 2005 roku fot. arch. S. Madej

Inne polskie rejony: Sokoliki, Podkarpacie... Czy próbowałeś tam trudnych dróg?

W Sokolikach byłem raz podczas zajęć GMUKI (Grupy Młodzieżowej UKA – od red.), a na Podkarpaciu nie byłem. Gdyby zamienić miejscami Jurę i Sokoliki, a do tego w Sokolikach byłaby taka liczba dróg i skał jak na Jurze, to pewnie wspinałbym się przede wszystkim w Sokolikach.

No i smutna puenta pierwszej części rozmowy jest taka, że Jura to nie jest jakaś wielka miłość tylko kwestia odległości...

Teraz to już jest wielka miłość, ale wynika z tego, że jest blisko, a nie że jest cudowna. Jest w porządku, ale nie powala. Ja wiem, że niektórzy myślą, że uważam Jurę za najlepsze miejsce na świecie. Nie, nic z tego. Specyficzny rejon, specyficzne drogi. Można polubić.

... czyli taka brzydka panna na wydaniu ta nasza Jura. Ja to jednak lubię jurajskie wspinanie. Wiem, że przeciętna droga jest brzydsza niż przeciętna na „Weście”, ale jak już trafisz na ładną drogę, to ją zapamiętujesz z racji urody i niepowtarzalnych sekwencji. W skalnych ogródkach Europy chyba o to trudniej?

Na pewno łatwiej je zapamiętać, bo jak masz 18 ruchów i każdy jest istotny, to zostaje w głowie. A na „Weście”, kiedy masz do czynienia z trzydziestometrową drogą, na której kluczowy jest sześciornuchowy crux, to nie ma co pamiętać. Dużo wiosłowania...

Czy są w takim razie na Zachodzie konkretne cele, którym planujesz poświęcić więcej czasu?

I tak i nie. Mam taki pomysł, by skupić się na Rodelarze, bo tam najczęściej jeżdżę w wakacje, ale nie jest to mój główny plan. Gdybym w Rode posiedział dłużej, to pewnie by mi się udało zrobić 8c, ale na teraz moim głównym celem jest być coraz mocniejszym. Bo jak jesteś mocny, to 8c zrobisz wszędzie. Tak jak niedawno Szymon Łodziński. Pojechał do Ospu i zrobił 8c raz dwa, bo jest po prostu na tym poziomie. Zawsze unikałem skupiania się na cyfrze, czy na konkretnej drodze, chciałem po prostu być coraz lepszy.

Przebyte drogi mają
tylko potwierdzać
poziom, na jakim
się znajduję.

A jak to się ma do zawodów? Ostatnio startujesz trochę więcej w zawodach z liną.

W boulderowych zawodach startuję, od kiedy pamiętam. Traktuję to jako dobrą zabawę i jednocześnie trening. Zawody z liną nie dają już tak dużej przyjemności, bo zazwyczaj do przejścia są jedna do czterech dróg. Traktuję je bardziej jako... sprawdzenie formy, osiągnięcie jakiegoś wyniku. Podobnie jak z drogami w skałach.

Czy rywalizacja jest dla Ciebie elementem istotnym? Czy występuje on między Tobą a Twoimi kolegami?

Tak, oczywiście, ale wydaje mi się, że jest mega zdrowa i że nie jest najważniejsza. To jest bardziej motywacja przez rywalizację. Nie jest celem samym w sobie, tylko środkiem.

Dochodzi czasem do spięć?

Bardzo istotne jest to, jaki charakter mają osoby, pomiędzy którymi pojawia się rywalizacja. Gdy ktoś ma łagodny charakter, to mniej boli, nawet kiedy się przegrywa. Jodłowski (Kuba Jodłowski – od red.) zawsze wydawał mi się być taką osobą, z którą się przyjemnie przegrywa. Ma w sobie coś takiego..., połączenie skromności ze specyficznym sposobem bycia. Po prostu cieszysz się z jego sukcesu.

Wróć na moment do Jury. Powiedz coś o przełomowych momentach, wspinaczkach. Kiedy uwierzyłeś, że możesz robić naprawdę trudne rzeczy?

Myślę, że u mnie ten punkt zwrotny jest bardzo wyraźny i że jest to chwila, w której Janek Sokołowski zaproponował mi wstawki w *Potęę Trójkątów* (VI.6+ w Podzamczu – od red.) Byłem wtedy na poziomie „spokojnego” VI.5+. Miałem co prawda zrobione *Powitanie wiosny* (VI.5+/6 na Okienniku Skarżyskim – od red.), ale to jest dość popularna i przyjazna droga. Nie byłem przekonany, ale zacząłem się wstawiać i okazało się, że *Trójkąty* są realne. To mi uświadomiło, że najważniejszy jest przełom wewnętrzny - to, co masz w głowie. Zrobienie *Potęgi* było kropką nad „i”, natomiast najważniejszy był proces, który trwał od pierwszej wstawki do finalnego prowadzenia. Wtedy też stwierdziłem, że muszę się wstawiać w trudniejsze rzeczy i mierzyć wyżej.

Drogi poniżej stopnia VI.6 to trudności, które można pokonać dobrze i dużo się wspinając. Natomiast jest to rzeczywiście wyraźna granica i powyżej tej cyfry jest znacznie trudniej.

Rozumiem, że naturalną konsekwencją były kolejne cztery sześć siódemki. Najtrudniejsza z nich to...

...nie wiem. Chyba *Kielbasa*... (*Nie dla psa kielbaso* na Pochylcu, jedna z pierwszych w Polsce dróg w stopniu VI.7 – od red.). Jest mega ciągową. Teren za trudne VI.6, dwie klamki w przewieszeniu i boulder za 7B+.

Czy to jest trudniejszy boulder niż kulminacja trudności na *Tyranie* (*Tyranozaurus Rex* na Górze Kołoczek, także jedno z pierwszych VI.7 – od red.)?

Na *Tyranie* kulminacja trudności to jeden, półtora ruchu. Nawet nie dwa, bo to jest ruch i przestawienie nóg. A na *Kielbasie* ten boulder ma co najmniej 5 ruchów. Ciężko to porównać. Z wyliczeń niby wynika, że na *Tyranie* jest trudniejszy, bo poza nim na drodze niewiele się dzieje. A na *Kielbasie* sztuka to dojść w miarę świeżym do klam (ja nie potrafiłem) i na nich się zrestować, czego musiałem się nauczyć. Uczyłem się odpoczynku w przewieszeniu, skupiałem się na tym, żeby oddychać przeponą, bo wcześniej nie miałem przygód z takimi „westowymi”, jak by nie patrzeć, drogami. Pierwszy krok ku doskonałości (VI.7 w Podzamczu) z kolei wydał mi się dość łatwy. Może to kwestia zasięgu w kluczowym miejscu.

Dla mojego pokolenia największymi mitami były właśnie *Tyran*, *Nieznosna lekkość bytu* (niegdyś VI.7 w Jaskini Mamutowej), drogi na Pochylcu – nic trudniejszego wtedy nie było. Gdy ktoś je robił stawał się niemalże półbogiem. A co dla Was, dla pokolenia dzieci z Agamy, jest takim mitem? A może nie ma już granic i nieosiągalnych mitów? Może Łukasz Dudek pokazał, że wszystko się da? Czy obawiasz się, że możesz nigdy nie zrobić VI.8 albo 9a?

Ciężko powiedzieć. Przez te wszystkie lata wspinania na Jurze nabrałem takiej, trochę brzydko mówiąc, pychy, że wszystko się da. To jest podejście, że jak nie puszczę, to doładuję i zrobię później. I w tym sensie na Jurze nie widzę granicy. Z kolei na „Weście” to jest bardziej klarowne i wydaje mi się, że dla mnie granicą może być 9a. Że wyżej to już trzeba być cyborgiem. W sumie to się uzupełnia, bo na Jurze nie ma więcej niż 9a (śmiech), czyli to jest ta sama granica.

Czyli masz w planach wstawki w najtrudniejsze jurajskie drogi, np. w najnowsze Dudkowe VI.8?

Nie stawiam sobie w głowie blokady, że „to to nigdy”. Jeszcze półtora roku temu tak myślałem o *Tyranie* i się przekonałem, że to była głupota. To kwestia podejścia. I mocy ☺

Kiedy zastanawiasz się nad najtrudniejszymi drogami na Jurze, nad czymś, co chciałbyś zrobić, ze względu na historię, mit, skałę, charakter drogi czy nazwę, to w kierunku jakiej drogi kierujesz myśli?

Made in Poland (VI.8 w Podzamczu). To jest bardziej odpowiedź na pytanie, co fajnie byłoby zrobić. Jednocześnie nie uznaję tego za najbliższy cel. Kiedy myślę o czymś bardziej realnym, na „niedługo”, to chciałbym zrobić *Fumara* (VI.7 w Jaskini Mamutowej – od red.). W Mamutowej w ogóle mało się wspinałem i poza *Chomeinim* (niegdyś VI.6 - od red.) nic trudniejszego nie robiłem. Zresztą tam się obecnie sporo pozmieniało i jest zdecydowanie trudniej (śmiech). Np. *Nieznośna* ma już 9a...

Myślisz o niej?

Raczej nie. Płytką wyjściowa na *Chomeinim* (wspólna z *Nieznośną* – od red.) jest sztuczna i - jak pewnie słyszałeś - jest wykuta pod specyficzny rozmiar palców. Moje nie do końca się tam mieszczą. Zresztą, ta droga to jedna z brzydszych dróg, jakie robiłem na Jurze. Cztery wykute chwytty...

Świetnie, że o tym wspominasz, bo właśnie o to Cię chciałem zapytać. Większość trudnych dróg w Polsce jest poprawiona, prawda? Jak nie ma ograniczników, to są podkute albo wzmocnione chwytty. Czy jest to dla Ciebie problem?

Obecnie? Zdecydowanie nie. To mógłby być problem, gdyby to nadal trwało..., ale specjalnie się też nad tym nie rozwodzę, bo to jest...

...pieśń przeszłości...

...tak. Wiesz, teoretycznie kucie jest złe i z tym się zgadzam. Nie chciałbym, żeby teraz ktoś przyszedł i kuł, ale z drugiej strony są na Jurze ściany, o których myślę, że szkoda, że Piotr Korczak się tam 20 lat temu nie pojawił. Taki paradoks...

A nie myślałeś o tym w ten sposób, że część z tych dróg została obecnie przebyta bez dodatkowych chwytów, bez zworników, czyli że jednak się dało. Nie czujesz żalu, że nikt tego nie zostawił kolejnym pokoleniom?

Szczerze? O tym akurat nie myślałem, bo to trzeba by zmierzyć przyjemność, jaką się ma ze zrobienia dróg kutech, a potem się zastanowić, jaką by się miało ze zrobienia części (bo przecież wszystkich by się nie dało) z nich jako nowych. Ciężka kalkulacja. Trudno się do tego odnosić, bo rzeczywiście na dzień dzisiejszy kucie jest złe i nie chcę, żeby ktoś teraz kuł, ale wiele, wiele

podkuty, wykutych dróg, które robiłem jest... zajebysty. A jakie byłyby bez kucia, to nie wiem...

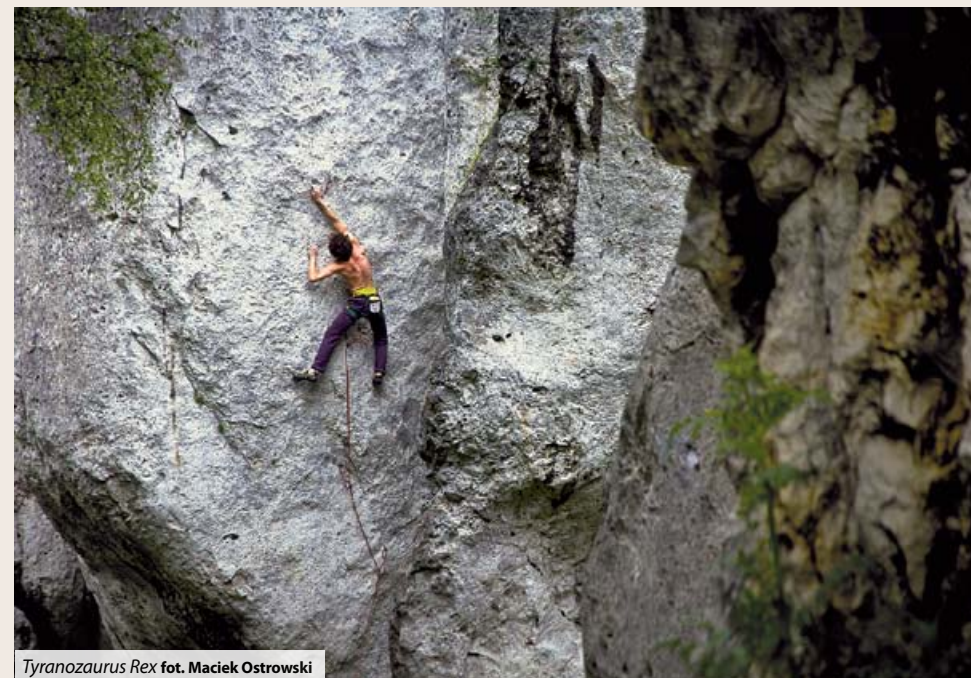
No to w drugą stronę – kucie to jest ułatwianie, umożliwianie przejścia, a ograniczniki to z kolei sztuczne utrudnianie. Czy to jest uzasadnione w polskich skałach, bo mamy ich mało i są małe, czy też jednak w żadnym razie nie powinniśmy ich uznawać?

Umowne ograniczniki akceptuję jak najbardziej, nie musimy ich stosować. Na Cimach *Made in Poland* to jest droga, która ma ogranicznik. W momencie, gdy przechodzisz przez *Mandalę życia* (VI.5 - od red.), można przejść w bok, odpocząć, po czym wrócić na właściwą linię. W sumie na wielu drogach jest tak, że trzymasz się mniej więcej linii spitów.

Jak idziesz
na Zachodzie drogą,
która trzy metry obok
ma wielką jaskinię,
w której możesz
postawić łóżko,
to tam nie wchodzisz,
prawda?
A nie ma żadnej
kreski czy linii.

Kielbasa na Pochylcu też ma ograniczniki, choć sam boulder nie. Dochodzisz pod niego *Ekspozyturą Szatana* (VI.6+ - od red.), która ma ich sporo. Zaakceptowałem to, stwierdziłem, że mimo wszystko tworzy to fajną linię. Ale np. w *Powerplay* (VI.7 na Pochylcu) nie będę się raczej wstawiał, bo to jest gra niewarta świeczki.

Pamiętam aferę, kiedy zaczęto przywracać trudności w Mamutowej, likwidując sztuczne chwytty. Pamiętam też, że była taka sytuacja, w której Łukasz Muller przeszedł *Nieznośną* i stanął w rozkroku, albo złapał się czegoś, na czym można było tylko stanąć, czy na odwrót. Od razu zaczął się raban. Dla mnie - człowieka, który całe życie wspiął się głównie w górach, a wspinanie w skałach traktował na pewno mniej ambicjonalnie od Was – przyznam, że to niezrozumiałe.



Tyranozaurus Rex fot. Maciek Ostrowski

Moim zdaniem dobre podejście zaprezentował Marcin Wszolek, gdy powtarzał *Batalion skała* (VI.7) na Pochylcu. Autor dał wycenę VI.7+, a Marcin po powtórzeniu napisał, że skorzystał z jakiejś dodatkowej klamy, która według niego jest bardziej logiczna, i teraz dla takiej linii proponuje trudność o pół stopnia mniejszą. A jeśli Łukasz stwierdził, że to nie zmienia trudności, to – wiesz – każdy sobie sędzią.

Ale żeby było jasne, na pewno jestem przeciwny malowaniu skał. I kuciu obecnie też jestem przeciwny.

Ale przecież cały czas dochodzą do nas informacje o poprawianiu dróg, ostatnio np. w Dolinie Brzozkwi?

Tak, to niestety prawda. Sam zgadzam się na wzmocnianie chwytów, które mogą się ukruszyć. Jak masz krawadkę, która na pewno się urwie, gdy tylko przyjdzie cięższy koleś, to moim zdaniem można ją w jakiś, w miarę kosmetyczny, sposób wzmocnić. Wtedy nie mam nic przeciwko. Natomiast jeśli ktoś by stwierdził, że tu by się przydała dwójka, to w dzisiejszych czasach jestem zdecydowanie na nie.

Prowokacyjnie stawiając temat, dlaczego teraz jesteś na nie, a niegdyś kucie akceptujesz?

Jak to się mówi o historii... Jej się nie ocenia. Musiałbym się wtedy tam znaleźć, żeby to ocenić. Jeśli teraz 95 % ludzi uważałoby, że kucie jest ok i Ty byś coś wykulał, to dlaczego miałbym mówić, że to nie jest w porządku? Wydaje mi się, że jak teraz jest ogólne przekonanie, że nie kujemy, no to nie kujemy i już.

No dobrze, ale mnie chodzi o Twoje przekonanie. Czy gdyby 95% ludzi uważało obecnie, że kradzież jest ok, to też byś tak uważał? Czy jednak byłbyś przeciwny? Jest to oczywiście przenośnia.

Ewidencja mnie prowokujesz (śmiech). Używałem już słowa paradoks. Tak samo jest z kuciem. Gdyby to zrobić idealnie, to powstało by mnóstwo świetnych dróg. Niestety ludzie nie są perfekcyjni i każde kucie niesło by za sobą jakieś negatywne konsekwencje. W idealnym świecie było by miejsce dla kutech dróg, w naszym niestety nie ma.

Dobra zmieniamy temat, bo trudno mi to jednak pojąć. Są wspinacze, którzy błyskawicznie mają wyniki. Dla mnie kimś takim są Łukasz Muller, Rafał Porębski, Kuba Jodłowski. Czyś te talenty. Są też ludzie, którzy dochodzą do rewelacyjnych wyników bardzo ciężką pracą,

poprzez tysiące godzin spędzonych na panelu, na kampusie. W której grupie sam byś się umiejscowił?

W tej drugiej niestety. Z talentami to jest tak, że często po pierwszym, drugim sezonie robią VI.5, a po dwóch czy trzech „powinni macać” ósemki c. Ja swoje pierwsze VI.5 zrobiłem po 5 latach, a VI.7 po 8-9 latach.

Ciężka praca to brzmi jednak zbyt martyrologicznie.

Chyba bardziej chodzi o determinację i konsekwencję. Ta druga jest nawet ważniejsza.

A skąd się wziął we wspinaniu?

Znajomy mojej mamy z pracy się wspiął i zaproponował jej, że możemy pojechać całą rodziną w skały. I tak pojechaliśmy chyba do Kobylan. Wtedy zrobiłem pół drogi na wędkę. Potem przez dwa lata, raz na miesiąc, chodziłem z moim ojcem do BUWu, Hokus Pokus i do Gimnazjum na Ursynowie. Do Agamy trafiłem na przełomie 2002 i 2003 roku. Trafiłbym pewnie wcześniej, ale nie mogłem się zorientować, kiedy mają zajęcia. To był chyba taki moment, w którym zacząłem się wspinać. Choć „na serio” (śmiech) wspinać zacząłem się jednak parę lat później.

Ciekawostką jest to, że tym gościem, który nas wtedy zabrał w skały, był „Kajman”, czyli Robert Nejman. To był 1999 rok, miałem 10 lat.

Najważniejsi ludzie, których spotkałeś w środowisku wspinaczkowym?

Chronologicznie to na pewno Przemek Klimek i Gosia Kusztalak. Oni mnie wstępnie wspinaczkowo ukształtowali. Potem, choć w sumie to było równocześnie, pokolenie Agamy – szczególnie Jodłós, Czajna (Paweł Brzozowski), Maciek Korzeniak. Potem jeszcze wiele osób. Od paru lat moja dziewczyna, Ewa. Jakbym zaczął wymieniać, to ktoś by się mógł poczuć urażony, że go niechcący pominąłem. To jest mnóstwo osób – ci, którzy jeżdżą ze mną w skały, trenują, wspinają się. Wszyscy oni mnie kształtują.

Kiedy młody chłopak zaczyna grać w piłkę i marzy o wielkich meczach i pięknych bramkach, to ma swojego Ronaldo. A czy młody chłopak, jak zaczyna się wspinać sportowo, też ma swojego idola?

Kiedys kimś takim był dla mnie Marcin Wszolek. Niby nie jest ode mnie wiele starszy, bo tylko cztery lata, ale przecież on miał 15 lat, gdy został Mistrzem Świata juniorów. Szymon Łodziński kiedys powiedział, że Marcin Wszolek dostał tytuł Mistrza Polski dożywotnio. Ma taką aurę gwiazdy, choć to śmiesznie brzmi. Imponował mi zawsze, zresztą nadal mi imponuje, nic tu się nie zmieniło. Poza tym to standardowo – Ondra, Sharma...

A pozasportowo? Ktoś, z kim się wychowywałeś jako wspinacz? Mówimy tu o innych wartościach niż trudny OS.

Chyba chłopaki z Agamy. To był taki okres, kiedy się kształtowaliśmy jako faceci. Poznaliśmy się, kiedy mieliśmy 14-16 lat, i przez kolejne 3-4 lata naprawdę dużo czasu ze sobą spędzaliśmy. To na pewno wpłynęło na nasze charaktery.

Twe mocne strony jako wspinacza?

Podobno dobrze stoję na nogach (śmiech). Nie mam problemów, przynajmniej podczas wspinania, z psychą. Nie odczuwam strachu przed odpadnięciem. Nie myślę o porażce. Koncentruję się na samym wspinaniu.

Słabe strony?

Jestem mało silny... (śmiech)

A kto jest najsilniejszym człowiekiem w Polsce w tej chwili? Poza Pudzianem?

Niedawno bym powiedział, że Biff (Bartek Filipowicz). Facet w formie dawał trzy szmaty na małym kampusie...

Nie Olek Romanowski?

Nie, nie. Można powiedzieć, że Olo jest najlepszy, ale nie najsilniejszy. Biff zawstydział wszystkich...

Kiedyś, w latach osiemdziesiątych, najlepsi wspinacze sportowi – Marcisz, Korczak, Zaczkowski, nawet warszawska szkoła boulderowa – wszyscy wspinali się także w górach. A niektórzy z nich robili tam przełomowe przejścia. Dzisiaj to zupełnie inaczej wygląda: panel i ewentualnie skały. A jak w góry, to tylko na Mnicha i to na ospitowane drogi. Pamiętam, że kiedyś się poja-

wiłeś w Moku, byłeś w GMUCE. Czy to jest projekt odłożony na przyszłość, czy w ogóle Cię to teraz nie interesuje? Nie mówię tu o Metallice (VI.5 na Mnichu), bo to jest stricte sportowa droga, tylko bardziej o tym, czy masz w planach wspinanie górskie?

Na przyszłość odłożyłem wspinanie wielowyciągowe, ale w stylu na wpół sportowej alpejskiej trylogii czy Hotelu Supramonte. A o takim, jak byś to pewnie powiedział, „prawdziwym” góskim wspinaniu nie myślę. Oczywiście nie zamykam sobie furtki, bo przecież może mi przyjść do głowy, że chciałbym zrobić coś zimą na Kotle Kazalnicy. Ale nie myślę o tym, żeby sobie sprawić parę nomiców i monopointy i uderzyć w dużą alpejską ścianę.

Chcę może spróbować drytoolu z czystej ciekawości, ale to bardziej na zasadzie wspinania stricte sportowego, tylko że z dziabkami i rakami.

Układasz sporo ciekawych dróg na warszawskich ściankach. Możesz przybliżyć trochę pracę routesettera? O czym musi myśleć człowiek, który układa drogi na panelu dla innych?

Fajnie, że Ci się podobają. Dobry routesetter powinien umieć przykręcić każdy rodzaj drogi. Większość moich dróg to „zamówienia” od przełożonych. Często to oni określają trudność, jaką chcieliby żebym nakręcił, natomiast charakter kształtują zazwyczaj dostępne chwyt i formacja. Oczywiście trzeba pamiętać o różnym wroście osób atakujących twoje dzieło.

No i - last but not least - uroda linii.

W końcu routesetterzy to artyści :-)

Co robisz poza wspinaniem?

Wspinam się, uczę ludzi się wspinać i robię trochę zdjęć. Choć dopiero raczkuję w tym temacie.

Skończyłem Finanse na SGH. Nie robię nic w tym kierunku i niespecjalnie chcę iść do korporacji. Może do tego dojrzej, może zmieni mi się punkt widzenia, ale na razie dobrze się czuję z tym, jak jest. Chciałbym połączyć życie ze wspinania z życiem z fotografii, choć

wiem, że to jest ambitny plan. Najważniejsze, że realizuje się w tej pracy, sprawia mi ona ogromną satysfakcję.

Masz wychowanków, którzy odnoszą sukcesy?

Mam nadzieję, że każdy mój podopieczny, który podniesie poziom, choćby o 1 procent, uważa to za sukces. A to, czy to będzie 6a, czy 8a, nie jest dla mnie tak bardzo istotne...

Trzymam kciuki za kolejny sezon, sukcesy wychowanków i dziękuję za rozmowę.



fot. arch. S. Madej

Stefan Madej, ur. 1988, wspinia się od 2000.

Najtrudniejsze drogi:

- ★ Tyranozaurus Rex VI.7
- ★ Pijane Trójkąty VI.7
- ★ Nie Dla Psa Kielbasa VI.7
- ★ Pierwszy Krok Ku Doskonałości VI.7

Największy sukces na zawodach: 3. miejsce w klas. generalnej Pucharu Polski w prowadzeniu, 2014

Blog: www.stefanmadej.wordpress.com

Sponsorzy: Alpin Sklep, Marmot

UKA OPEN

okiem organizatora

tekst: Marek Kalciński
zdjęcia: Szymon Aksienonek

54 Już po raz trzeci, razem z Bloco, współorganizowaliśmy zawody boulderskie. O ile za pierwszym razem była to dla mnie lekka niewiadoma, o tyle teraz, bogaci w doświadczenia, mogliśmy dopiąć wszystko na długo przed zawodami. Mogliśmy, lecz zawody były organizowane na czynnym obiekcie i większość zadań można było wykonać dopiero w godzinach po jego zamknięciu.

Tym razem UKA OPEN uzyskało status zawodów Pucharu Polski, co wiązało się z dodatkowymi obowiązkami. Najważniejszą zmianą była konieczność zorganizowania półfinału oraz zachowania przerw pomiędzy fazami zawodów (np. eliminacje i finał nie mogły być organizowane w tym samym dniu).

Najtrudniejsze zadanie, jak zwykle, mieli chwytni – chcieli skonstruować przystawki, które byłyby estetyczne, niepowtarzalne, wywoływałyby zachwyt zawodników i oklaski widowni, a przy okazji doprowadziły do wyłonienia zwycięzcy (teoretycznie ich główny cel). Zgodnie z założeniem każdego zawodów na Bloco, zadaniem routesetterów było przygotowanie czterdziestu przystawek eliminacyjnych o całym przekroju trudności, tak, aby każdy startujący przez sześć godzin powspinał się na miarę swoich możliwości, oraz taki dobór najtrudniejszych problemów, aby do półfinałów przeszło mniej niż dwudziestu zawodników (z zawodnikami takiego problemu przeważnie nie ma). Udało

im się to bezbłędnie – równo dwudziestu zawodników zaliczyło wszystkie problemy.

Wisienką na torcie pracy routesetterkiej było przygotowanie ośmiu przystawek finałowych, lecz w związku z rozgrywaniem półfinałów chwytni mieli o wiele więcej roboty, w postaci dodatkowych ośmiu wyszukanych baldów. Licząc po sztuce, wyszłoby, iż jest to niewiele więcej, lecz czasowo te szesnaście problemów stanowiło 70% całej pracy. Masa roboty.

I tak, Tomek Toma Oleksy przyjechał już w środę około południa. Wspólnie z miejscowymi (Andrzejem Mechaniozem Mecherzyńskim-Wiktorem, Jakubem Ziółkiem Ziółkowskim) zaczęli kręcić problemy na części oczyszczonych wcześniej paneli. Przerwali pracę około trzeciej w nocy. Po krótkim odpoczynku, ponownie wystartowali w czwartek z rana, by już nieprzerwanie, aż do rozpoczęcia zawodów, kończyć swoje dzieło. Jakby nie rachować, wyszło minimum 40 godzin pracy na łebka.

Wolontariuszki i wolontariusze klubowi (a było ich w tym roku wielu) wkroczyli do pracy w środę wieczorem, tuż przed zamknięciem ściany. Zdjęliśmy chwyt z pozostałych paneli i wyczyściliśmy wszystkie na błysk. Z zawodów na zawody tych chwytów zrobiło się coraz więcej, lecz my, coraz bardziej doświadczeni, wyposażeni w więcej chemii, daliśmy radę w podobnym czasie co poprzednio. Była krótka przerwa na pizzę i około





drugiej w nocy robota została skończona. Kilka tysięcy chwyków w cztery godziny!

W czwartek ze świeżutko umytych chwyków można było konstruować przystawki, a my mieliśmy już niewiele do roboty – trzeba było ogarnąć salę i DJ-kę, przywieźć i rozstawić oświetlenie, zakupić prowiant, przygotować karty startowe, zrobić ogólny porządek. Zgodnie z zasadą... zostawiłem to na piątek. Nie było co rozwlekać na dwa dni roboty, którą można zrobić w jeden.

W piątek kwadrans przed oficjalnym otwarciem biura już ustawiła się kolejka do zapisów, a koszulek jeszcze nie było. Coś z tymi koszulkami mamy na bakier. Rok wcześniej, przed UKA 50/50, Sajgon tuż przed startem odbijał kilka paczek z magazynu spedytora, a teraz nie mieliśmy ani jednej! Całe szczęście, dojechały 15 minut później – chyba nie wszystkie pudła, ale nie było już czasu liczyć. Pierwszy stres mieliśmy za sobą.

Eliminacje rozpoczęły się już bez większych problemów. Chwykowi zdążyli z robotą. Szybka nauka obsługi kasy fiskalnej, terminala kart płatniczych – i wolontariusze dawali już radę ze wszystkim. Nawet Bobby Burger pojawił się ze swoim *food truckiem* (mimo iż mieli obstawiać głównie sobotnie finały). W piątek wystartowała większość zawodników z czołówki Pucharu. Najmocniejsi na pokonanie czterdziestu przystawek eliminacyjnych potrzebowali półtorej godziny (z sześciu dostępnych) i nie wyglądali, aby ich to osłabiło. Równie dobrze mogli startować tuż przed półfinałami. Rozgrzali się.

W sobotę przed drugą częścią eliminacji niektórzy zawodnicy zjawili się jeszcze przed siódmą (a start był o ósmę!). Jak otwierałem Bloco, to przed bramą zgromadziła się już niezła grupka – i tak musieli poczekać na rozkręcenie interesu. W tym dniu w eliminacjach wystartowało znacznie więcej zawodników, jednak nie było aż takiego zagęszczenia jak na poprzednich zawodach.

Najwięcej roboty było jak zwykle w przerwach, które tym razem były dwie – po eliminacjach i przed finałami. Samo przekręcenie przystawek z tyłoma paczkami zajmowało dużo czasu – dwie godziny to było naprawdę niezbędne minimum. Do tego należało posprzątać salę, odprawić sędziów, szczerkowców i obsługę światła, przygotować strefę, rozgrzewalnię, podium dla widzów, stanowiska dla kamer i oświetlenie.

I to właśnie oświetlenie dostarczyło najwięcej atrakcji. Tym razem mieliśmy pięć lamp halogenowych – dwie z prawej, dwie z lewej i jedną w centrum. Praktycznie, do obsługi zawodów potrzebne są jedynie dwie z każdej strony. Wszedłem na górę, aby odpalić je testowo, i stwierdziłem, iż prawe reflektory świeciły już

kilka godzin (zaciemnione). Włączyłem je, aby przed finałami ostudzić obudowy – można się było poparzyć. Poleciałem sprawdzić pozostałe. Wdrapałem się w zacięciu z lewej strony, włączyłem testowo, poinstruowałem Kubę, jak się to ustrojstwo obsługuje – i trach! Jak nic poszedł halogen. Skoczyłem na dół w poszukiwaniu zapasowej żarówki. Ktoś gdzieś położył, lecz nikt nie wiedział gdzie. Dobra! Mieliśmy jeszcze centralny reflektor – machniom! Przekładka, odpalamy, poświecił pięć minut – i trach! Szybka kalkulacja i zmartwienie. Od biedy dalibyśmy radę z trzema, ale musielibyśmy zrobić kilkuminutową przerwę na przełożenie klamoty na drugą stronę. Całe szczęście, opatrność czuwała nad nami – znalazła się zapasowa żarówka. A już zaczynałem rozkminiać logistykę tyrolki, aby zrobić szybszą przekładkę. To by publika miała ubaw! Następnym razem na pewno zakupimy więcej zapasowych żarówek i dodatkowo zabiorę moją czołówkę biegową (moc chyba porównywalna z tym halogenem).

Finały odbyły się bez najmniejszych wpadki. Widzowie wypełnili całe Bloco. Przystawki były efektowne i zanotowano wiele topów i flashy. Wyłonienie najlepszej finalistki wyglądało dość prosto, lecz zawodnicy topowali na wszystkich przystawkach i na oko trudno było określić, kto wygrał. Chwila oczekiwania, losowanie wśród wszystkich startujących nagród ufundowanych przez Yeti, ustawienie pudła – i nastąpiło szybkie wręczenie nagród Pucharu Polski PZA. Dla porządku dodam, iż zawody wygrali Sylwia Buczek oraz Kuba Jodłowski (nasz klubowy zawodnik!).

Przez cały dzień towarzyszył nam Bobby Burger, koledzy z obsługi medycznej interweniowali jedynie kilka razy, a wszystko można było śledzić on-line. Jak zwykle, chwykowi, obsługa Bloco, sędziowie oraz wolontariusze i wolontariusze z Klubu wykonali kawał dobrej roboty. Jeszcze raz dziękuję wszystkim. Zawodnicy stawili się licznie, wszyscy wspinali się na granicy swoich możliwości, a z głosów dochodzących z wielu stron wiem, że impreza im się podobała. Mam nadzieję, iż publiczność była równie zadowolona z widowiska.

Do zobaczenia na następnych zawodach!



zdjęcia: Szymon Aksienionek



Cały czas jest miejsce na udoskonalenie swoich poczynąń

Z Kubą Główką
rozmawia Łukasz Korzeniewski

Coraz więcej mamy w naszym kraju ścianek wspinaczkowych, w związku z czym, coraz więcej jest też rozgrywanych zawodów wspinaczkowych. Jedne organizowane są dla profesjonalistów i wymiataczy, inne, jak choćby Warszawska Liga Boulderowa, dla amatorów. Myślę jednak, że każdy, bez względu na poziom sportowy, może w swoim planie przygotowań (o ile takowy ma) wprowadzić ulepszenia i poprawki. Jestem trenerem kolarstwa, a jednym z częstszych zadań, jakie stawiam mi moi zawodnicy, jest dobre przygotowanie do wymarzonych startów. Wspinanie od kolarstwa różni się tak wieloma aspektami, że sam nie czuję się kompetentny aby rozprawić o przygotowaniu do zawodów wspinaczkowych. Moje doświadczenie startowe sprowadza się do udziału w wigilijnych zawodach klubowych, przygotowanie – do spontanicznej obecności na kilku warszawskich panelach, a taktyka to przede wszystkim zaproszenie na piwo grona najbliższych znajomych, by mieć nad nimi jakąś przewagę dzięki wypiciu jednego kufla mniej.

Jestem za to pewien, że mój rozmówca jest jedną z nielicznych osób, które o przygotowaniach wiedzą prawie wszystko, a jego wiedza jest poparta olbrzymim doświadczeniem. Prezentuję Wam dzisiaj ten obszerny wywiad z przekonaniem, że nawet mocni zawodnicy wyciągną z niego coś dla siebie.



fot. Stefan Madej

Mamy luty... Jednak powinniśmy zacząć od tego, co wydarzy się w maju.

W maju są Mistrzostwa Europy w Innsbrucku. Składa się o tyle nietypowo, że jest to od razu najważniejsza impreza. Nie ma wcześniej żadnego startu „na przetarcie”. To będzie pierwsze spotkanie pucharowe po zeszłorocznych MŚ w Monachium.

A jakieś krajowe zawody?

W zasadzie nie ma, poza nieoficjalnymi Bloco Masters w marcu. Ale dla kadrowiczów takie zawody nigdy się nie przekładają na „prawdziwe” starty. Na zawodach międzynarodowych główny nacisk położony jest na dwie pierwsze rundy rozgrywane w formule onsajtowej – 5 minut wspinania i 5 minut restu. A na zawodach krajowych i towarzyskich praktycznie nie ma tej formuły. Nie pełnią więc one roli stricte przygotowaw-

czej, bo w ich trakcie nie sprawdzisz tego, jak zachowasz się później w zawodach docelowych.

Rozumiem, że teraz nie jesteś w najwyższej formie.

Właściwie to nie jestem w żadnej formie (śmiech). Chociaż w tym roku dość wcześnie zacząłem – od początku stycznia coś robię. Po kilku latach rozumiałem, że forma formą, siła siłą, ale braki w technice trzeba kiedyś nadrobić. W myśl zasady trenera Udo Neumanna, który twierdzi, że najważniejsze w treningu boulderym to znaleźć coś, co Ci nie wychodzi i powtarzać aż będzie dla Ciebie łatwe. Więc spędzam dużo czasu na pokiełkowaniu ścian, starając się zyskać tam dostateczną pewność siebie.

Czyli punktujesz słabości.

Tak, o tym nawet profesjonalni zawodnicy często zapominają. Nie wystarczy zrobić wielką moc, ale też trzeba znaleźć czas, żeby zwalczyć swoje słabości. Tym, co dalej ma działać się w moim treningu, jest przede wszystkim wejście w reżim, kiedy dużo się wspinam. Fundamentem jest dla mnie duża liczba ruchów i fakt, żeby mnie to nie przerażało. Żeby nie być „zmielony” i mógł się ruszać kolejnego dnia.

Następnie jest czas na budowanie siły. Czyli różnego rodzaju ćwiczenia na siłę palców, ramion i całego ciała. Praktycznie wszystkie ćwiczenia siłowe, jakie można sobie wyobrazić.

Ćwiczysz na panelu czy na przyrządach?

Mieszam. Np. siłę palców, na początek, robię przede wszystkim na panelu, a na drążku podciągam się. Siłę chwytu robię raczej na boulderach. Wybieram sobie specyficzne chwyt i staram się poprawić pracę rąk na obłakach, ściskach czy krawędkach. Do tego dokładam uzupełniające i wzmacniające całe ciało ćwiczenia na drążku, np. wagę. Poza tym ostatnio spędzałem więcej czasu na słabach i pionowych ścianach, więc teraz będę trochę więcej chodził po przewisach i oswajał z tym, że ciało musi wtedy trochę inaczej pracować.

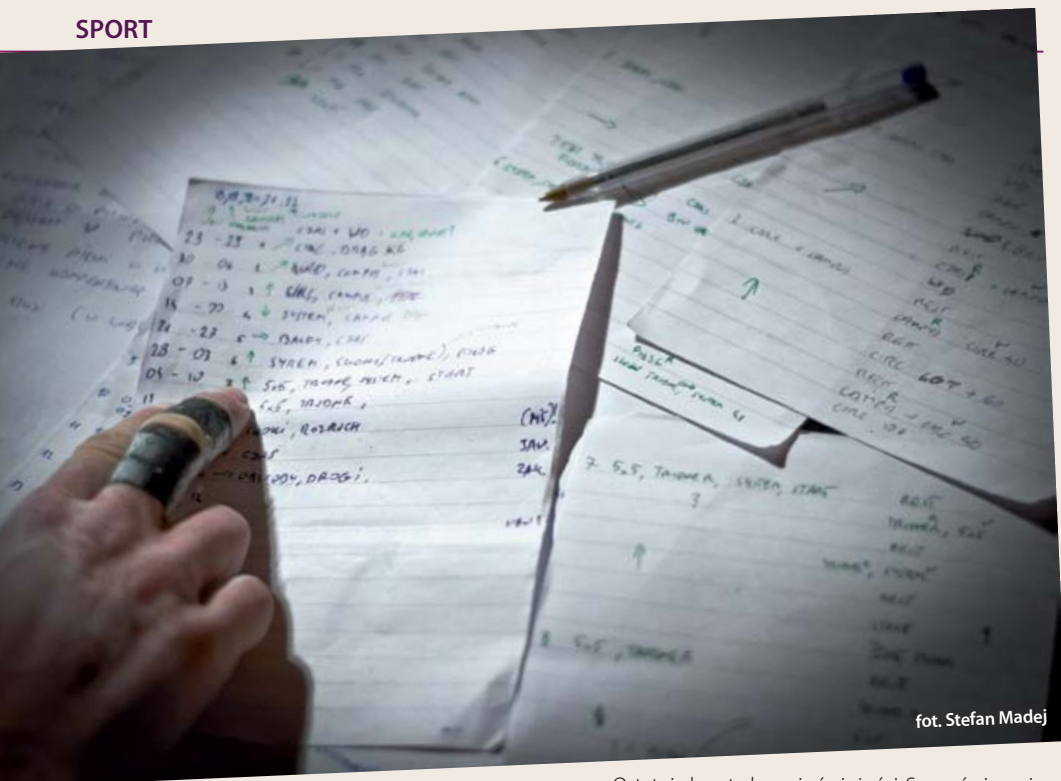
Trzeba jeszcze uwzględnić, że te wszystkie okresy treningowe zachodzą na siebie. Gdy w okresie „rozbiegowym” wykonuję ćwiczenia stricte techniczne, to cały czas wracam do nich na późniejszych treningach, żeby mi to nie zniknęło. Teraz skończyłem robić objętość, ale to nie znaczy, że za miesiąc ta objętość jeszcze się nie pojawi. I to samo dotyczy ćwiczeń siłowych. To nie jest tak, że nagle zaczynam ćwiczyć na kampusie i drążku. Po prostu stopniowo wprowadzam elementy siłowe.

Jak zrobię generalną siłę, to wejdę w siłę specyficzną, czyli wtedy pojawi się kampus, na którym będę poprawiał siłę kontaktową oraz dynamikę i będę trenował moc ukierunkowaną na krótki, pojedynczy ruch. Po tym nastąpi okres przełożenia tej mocy na wytrzymałość. Zanim wejdę w ćwiczenia stricte zawodnicze, wciąż jeszcze na systemie i kampusie, ale nie na „zrywanie” i moc, tylko bardziej na wykonanie np. 10 powtórzeń na kampusie. To niezbędne aby być w stanie wykonać kilka ruchów z rzędu, a nie tylko jeden bardzo mocno.

I wtedy wchodzimy w okres ćwiczeń ukierunkowanych na start. To jest tak naprawdę kluczowe dla zawodników. Bo każdy, wspinając się, automatycznie buduje jakąś bazę treningową. Ale nie widzę wielu szans, żeby ktoś, nie traktując tego bardzo, bardzo serio, faktycznie poświęcił na to zadanie dużo energii. Każdy w pewnym momencie robi równie moc, choć to też nie zawsze da się odpowiednio zaplanować.

fot. Stefan Madej





fot. Stefan Madej

62 Czyli mniej lub bardziej spontanicznie, po prostu wspinając się, możesz jakąś formę wypracować?

Oczywiście. Natomiast jest taki moment, w którym zaczynasz myśleć o startach. I – dysponując określonym poziomem siły i mocy – powinieneś wtedy poświęcić konkretny czas na ćwiczenia ukierunkowane ściśle pod to, co ma się wydarzyć na zawodach. Ja od połowy marca będę ćwiczył powtórzenia na boulderach w rytmie zawodniczym. Przez 5 minut wspin po boulderze, np. 5 razy z rzędu, potem przez 5 minut przerwa – dokładnie tak, jak będzie wymagał tego ode mnie regulamin zawodów. Nie będą to symulacje startów, tylko treningi oddające starty.

Na zawodach, jak zrobię boulder w pierwszej próbie, to już go więcej nie zrobię. A podczas tych treningów robię go przez 5 minut tak, jakbym go mimo wszystko nie zrobił. Oczywiście starając się go zrobić za każdym razem. Należy też dodać, że takie sesje często są „przejęte”, tj. w eliminacjach mam pięć boulderów, a na treningach robię po 7-8 albo robię je dwa dni z rzędu, żeby mieć później zapas na zawodach. I to właśnie jest główny okres przygotowań pod zawody boulderowe.

Ostatni okres to łapanie świeżości. Same ćwiczenia też muszą mieć odpowiedni rozkład. Wiadomo, że nie ciągnę ich aż do maja na wysokiej intensywności. W którymś momencie zaczynam schodzić z intensywności, tudzież nią „faluję”, staram się urozmaicać. Dwa tygodnie takiego samego ćwiczenia – to nie o to chodzi.

A co z regeneracją?

Jestem poddawany różnym bodźcom treningowym, więc tygodnie regeneracji nie są tak regularne, jak to bywa w innych dyscyplinach. Wynika to również z doświadczeń z poprzednich lat. Pamiętam, co robiłem rok, dwa lata wstecz. Mam zapiski, gdzie mi dobrze poszło, a gdzie nie. I wiadomo, że odtwarzam te cykle, w których efekty były lepsze. Chociaż czynników, które wpływają na te efekty jest naprawdę dużo.

Trzeba być elastycznym...

To podstawa. Jeśli przydarzy się choroba czy – w moim przypadku – praca, wyjazd służbowy, trudniejszy tydzień, wtedy robię dużo mniej treningów, bo jestem po prostu zmęczony. Ważne jest, żeby w którymś momencie zejść z dużych obciążeń. Ostatni tydzień to łapanie świeżości. To wcale nie znaczy, że się nie wspi-

nam w tym tygodniu, chociaż niektórym akurat pasuje, że przez cztery dni łapią głód wspinania i potem im super idzie. Ja często wspinam się prawie do samego końca, ale z zupełnie inną intensywnością. W ostatnim tygodniu przed wyjazdem na zawody potrafię przyjąć na ścianę nawet trzy razy, ale jednego dnia robię kilka dróg z liną, drugiego kilka baniek, a trzeciego w ogóle się nie wspinam, tylko np. trawersuję.

Ale trudność dróg już nie jest zabójcza?

Nie, staram się w ogóle nie dokładać obciążeń. Ale jeżeli w ostatnich miesiącach cały czas było dużo wspinania, to nie chcę robić szoku dla mojego ciała i zupełnie przestać się wspinąć. To byłoby aż dziwne.

To dość logiczne, że w okresie, gdy rośnie intensywność i objętość, jesteś na pewno „przymulony”, a potem rośnie świeżość, więc równocześnie dynamika idzie w górę.

Tak, ale doświadczenia mam różne. Ok, zrobiłem ostatnie treningi i potem mam tę sesję „na bańkach”, ale widzę, że mi „nie żrą”. Oczywiście mogą robić coś źle

technicznie, ale czasem zdarza się, że nadal jestem „zamułony”. I wtedy jest to dla mnie sygnał: odpuść, poruszaj się po ścianie, nie spinaj się, bo to też potrafi wejść na psychę. Myślisz sobie, miała być moc – jeszcze jej nie ma, a do zawodów już tylko 3-4 dni.

I wtedy robisz coś łatwego, np. szare na Bloco (śmiech).

Zdarza się, że nawet szare okazują się kosmosem. Może mi nie wychodzić, ale – kurczę – nie tuż przed zawodami. Wtedy trzeba być elastycznym i uspokoić głowę. Nie napalać się, zrobić jeszcze jeden dzień restu. A na zawodach, gdy dochodzi adrenalina, to też wszystko zaczyna inaczej wyglądać. Ponadto, w którymś momencie trzeba sobie powiedzieć: tyle zrobiłem i tak się czuję, to mi wchodzi, a to nie. I z tym jadę na zawody i na nich obieram do tego strategię. Muszę wiedzieć, czy napalam się na to, że jestem tak silny i na pewno wszystko utrzymam, czy raczej liczę na to, że wstrzelę się w tę jedną próbę. Wyczuć, czy mam więcej wytrzymałości i chcę atakować na zmęczeniu, czy potrzebuję pełnej świeżości i do każdego bouldera będę się wstawiał np. tylko dwa razy, bo więcej nie ma sensu.



fot. Stefan Madej

Opowiedz teraz coś o swojej diecie.

O diecie nic ci specjalnego nie powiem. Staram się zdrowo odżywiać przez cały rok. W okresie startowym nie mam stałego jadłospisu, ale nie wybieram też żadnych zaskakujących pozycji w menu. To zawsze zależy od tego, gdzie i o której godzinie startuję. W dniu zawodów zjedz tyle, żeby się dobrze czuć. Najlepiej to, na co masz ochotę, ale raczej coś lekkiego. Jak zjesz zdrowy, smaczny i zrównoważony posiłek, to potem czujesz się dobrze i nic ci nie siedzi na żołądku.

Jakieś inne restrykcje w okresie przed zawodami?

Nic specjalnego mi się nie nasuwa. Może - zadbać o skórę, co oznacza, że czasem trzeba wziąć pilnik i spiliować nieco opuszki. Z podstawowych rzeczy, o których łatwo zapomnieć, to obciąć paznokcie odpowiednio wcześniej, a nie tuż przed startem.

Zakładamy idealną sytuację – możesz sobie pozwolić na wcześniejszy wyjazd na zawody. Na ile dni wcześniej wyjeżdżasz i co wtedy robisz?

Wybieram relaks i niemyślenie o zawodach... Z samym wyjazdem na zawody jest różnie. Wszystko zależy od miejsca rozgrywania zawodów, sposobu dojazdu

(samochód, samolot), tego gdzie mam hotel. Fajnie jest mieć na miejscu przynajmniej jeden dzień luzu, żeby zorientować się, gdzie będą zawody, i oswoić z danym miejscem. Nie mieć takiej „spiny”, że przyjeżdżasz w ostatniej chwili i musisz gonić. I ten ostatni dzień to spacer czy przebieżka, ale też bez przegięć, bo można sobie zrobić małą krzywdę.

Zdarzyło się, że leciałem do Holandii na PŚ i były ogromne korki. Bardzo nie chciałem się spóźnić na samolot, więc biegłem na lotnisko z plecakiem ok. 3-4 kilometry. Normalnie tego nie robię, więc następnego dnia miałem straszne zakwasy. Na zawodach już jakoś bardzo mi nie dokuczały, ale super też się nie czułem. Tak więc, dobrze jest mieć spokój w głowie, szczególnie, jeśli ktoś dużo o tym myśli, nie stresować się. A następnego dnia zebrać wszystko co potrzeba...

A co potrzeba?

Standard: wygodny i sprawdzony strój. Fajnie jest mieć wygodne buty – i to te, w których chce się wspiąć na tych zawodach (śmiech). I nie mogą to być nówki-sztuki. Muszę kilka razy w nich się powspinać, ale nie są to też moje treningowe buty. Oszczędzam je i wybieram dla nich optymalny moment, aby mogły posłużyć przez kilka startów.

A do treningów masz ten sam model butów?

Nie, trenuję w innych. Ale – co istotne – tych „startowych” używam czasem tydzień czy dwa przed zawodami, żeby sobie przypomnieć, jak się w nich wspina i dobrze je poczuć.

Mamy strój, mamy buty...

Na zawody boulderskie – woreczek na magnesję. Oczywiście z magnesją w środku (śmiech). Wygodne są duże worki, ale nie można zapomnieć – a przynajmniej ja tak uważam – o małym woreczku, który przyniesiesz do pasa w momencie, gdy pod boulderem okaże się, że może to być potrzebne.

Bardzo pomocny jest zegarek. Wiadomo, że na międzynarodowych zawodach jest to bardzo ściśle przestrzegane, więc warto mieć coś, co powie ci, ile masz jeszcze czasu na przygotowanie. I jeszcze woda – czasami organizator ją dostarcza, ale wolę być przygotowany i mieć swoją. Jak już się bardzo chcę się postarać, to biorę ze sobą szmatkę, którą mogę wytrzeć buty lub chwyt.

Albo otrzeć pot z czoła...

(śmiech) A propos wycierania potu – często biorę dwie koszulki do wspinania. Przed startem długo się rozgrzewam (zaczynam ok. 1,5 godziny wcześniej).

Więc po rozgrzewce zmieniam koszulkę na świeżą, zawsze nieco lepiej się w niej czuję.

I na finał – przeważnie biała koszulka UKA.

To oczywiście. Muszę zainwestować w nową, bo moja obecna już się trochę zużyła (śmiech). Ale to też jest kwestia, że dobrze się w niej czuję.

Jakaś muzyka na uszy? Czasem muzyka DJ-ów potrafi przeszkadzać.

To prawda. Czasem nawet słuchawki nie pomagają. Jeżeli naprawdę przywiązuję dużą wagę do startu, to mam muzykę na uszach właściwie od początku rozgrzewki. A w czasie samego startu – to zależy, jak się układa. Myślę, czy jest mi potrzebna, czy nie. Jak wychodzę na boulder i robię go szybko, to wracam do strefy i zakładam słuchawki. Jak walczę z boulderem do końca i jestem rozdygotany, to staram się tylko jak najlepiej wypocząć i nie walczę z muzyką. Ale żeby się trochę odciąć od świata, od znajomych, którzy mogą czegoś od ciebie chcieć, to pomaga.

czy masz stały schemat rozgrzewki? Włączasz ćwiczenia ogólnorozwojowe, rozciąganie?

Generalnie zaczynam od ćwiczeń ogólnych, potem wpłatom coraz więcej elementów wspinaczkowych. W zeszłym sezonie bardzo dokładnie to dopracowałem. Wiedziałem, że rozgrzewam się najpierw w dresie, robię to i tamto, potem zrzucam bluzę, piję wodę, zjadam batona, robię kolejne rzeczy, przerwę na rozciąganie, pakowanie rzeczy, itd. Wiedziałem, jak chcę się czuć w każdym momencie rozgrzewki, po przeprowadzeniu poszczególnych ćwiczeń. Warto na to poświęcić czas w okresie przygotowań, nauczyć się tego.

Warto też ustalić w jakiej formule startujesz (flesz, OS). Jeżeli masz zrobić 20 boulderów w 1,5 godziny, to zastanów się, w jaki sposób chcesz się rozgrzać, żeby, wchodząc na pierwszy z problemów, być już gotowym

do jego zrobienia, a nie do dodatkowego „dogrzewania się”. Natomiast w formule ze strefą, gdzie masz tylko 5 boulderów i od pierwszego musisz być gotowy, to już nie jest takie oczywiste. Trzeba zastanowić się, kiedy możesz skutecznie atakować swoje najtrudniejsze wstawki.

Masz swoje sposoby żeby odpoczywać pomiędzy wstawkami?

Jeśli o to chodzi, to strzeptywanie buty, które fajnie działa i w górę, i w dół. To znaczy machanie nie tylko w dół, ale też nad głowę. A druga rzecz dotycząca przerw to „podgrzewanie się” przed kolejnymi wstawkami. Często są to podskoki, może ciut rozciągania, ale raczej nóg niż rąk. I jak potrzebuję się do-

brze nakręcić, to rękoma rozciągam uszy. Działa, daje wrażenie pełnej gotowości.

I jeszcze jeden aspekt – stara szkoła Andrzeja Mecherzyńskiego -Wiktora, która się doskonale sprawdza i od której już chyba nie odejdę. Na start, do strefy, do woreczka na magnesję lub do

bocznej kieszonki zawsze biorę snickersa. Wychodzę pod swój boulder, ale kątem oka widzę, co się dzieje obok. Oczywiście nie podglądasz innych, ale wiesz, gdzie jest twój następny boulder, i zdajesz sobie sprawę, czy to będzie pion, przewis z dalekimi ruchami czy krawadki, na których trzeba mocno zapiąć. I jak wiesz, że twój następny to typowy „siłowy cham”, to wróc do strefy, zjedz pół snickersa i na pewno Ci to nie zaszkodzi (śmiech).

Czy pomaga Ci support i obecność bliskich osób? Lepiej się czujesz, mając duże wsparcie publiki?

Tak, bardzo mi to pomaga. Super startuje mi się na Bloco. Siłą rzeczy, na „domowych” zawodach jest zawsze fajnie. W ogóle dobrze jest nie czuć się osamotnionym, wiedzieć, że ktoś bliski jest w pobliżu.

Chyba nie warto eksperymentować w dniu zawodów... Zarówno z dietą, jak i z innymi aspektami – nowe buty czy twix zamiast snickersa.



fot. Stefan Madej

Mój plan przygotowań do Innsbrucka (ME) w tym roku to, zaczynając od pierwszego tygodnia stycznia 2015:

- T1-T4** praca nad słabymi elementami techniki boulderskiej
- T5-T7** zwiększanie objętości treningowej, coraz więcej wspinania, przyzwyczajenie do obciążenia i regeneracji oraz budowanie siły ogólnej (drażek)
- T8-T11** kształtowanie siły specjalnej (małe chwyt, oblaki, duży przewis, itp.)
- T12-T14** utrwalenie siły i mocy w interwałach (system, kampus)
- T15-T18** przygotowanie wytrzymałości w trybie startowym, powtórzenia o charakterze i trudnościach takich (lub większych) jak podczas startu
- T19** przygotowanie do startu i start

Oczywiście wszystko jest przeplatane pod kątem różnorodności ćwiczeń, obciążeń, intensywności i bodźców. To, co wynika z listy powyżej, to tylko sygnał, na co jest nacisk w danym okresie.

Tak, jeżeli chcesz coś wprowadzić, to sprawdź to na wcześniejszych, mniej ważnych, zawodach albo na jakimś treningu, podczas którego zobaczysz działanie i oswoisz się z nim.

Skały vs. panel?

Dla mnie dużo łatwiej na panelu (z perspektywy warszawskiej) jest przygotować się pod zawody niż pod naturalne bouldery na moim najwyższym poziomie. Na panelu mogę robić dokładnie to, co podczas startu i to ćwiczyć, symulować, sprawdzać i poprawiać. A pod skały nie umiem się tak przygotować. Musiałbym w nich spędzać dużo więcej czasu.

Niemniej, jest taki moment w przygotowaniach, gdzieś w okolicach robienia mocy, przed sesjami, które mają symulować starty, w którym warto pojechać na tydzień, dwa w skały. Można to połączyć z planowym restem, z przyjemnością i resetowaniem głowy. Kiedyś bardzo dobrze zrobił mi wyjazd do Magic Woods. Nie porobiłem swoich życiówek, bo to nie był jeszcze moment optymalnej dyspozycji. Byłem zmęczony, ale potem na zawodach nieźle mi to zagrało. W skałach jest jednak tak, że można zmusić się do takiego wysiłku i do takich ćwiczeń, za które ciężko zabrać się na ścianie.

Na pewno jest to też dość dobra odskocznia mentalna.

Tak, ponadto warto jest mieć więcej niż jeden cel. Jeśli to są jedne jedyne zawody, to po nich wyskocz gdzieś w skały. Z jednej strony to odskocznia, a z drugiej przed startem schodzi z ciebie presja, że jedynym celem jest start, na którym zawsze może powinąć się noga. Potem pojedziesz w skały i wiesz, że cały wysiłek, który włożyłeś w przygotowania, nie jest podporządkowany tylko jednej wycieczce do jakiegoś miasta ☺.

Z dużą pewnością można stwierdzić, że szczyt formy nie będzie trwał tylko jeden dzień, więc to jest dobry sposób na jego wykorzystanie.

Tak, ale czasami w ogóle nie trafisz, bo jest też coś takiego jak forma dnia. W całym okresie przygotowawczym ważne jest patrzeć na to, jak ci idzie, na jakim jesteś etapie, kiedy czułeś się silny. To może ci dać potem odpowiedź: ok, po takich treningach i takim reście (bądź jego braku) czułem się jeszcze lepiej. Nigdy nie da się tego w 100% skontrolować, ale im więcej obserwujesz swój organizm, tym łatwiej jest ci się potem odnaleźć.

Po starcie następuje analiza zawodów czy raczej bierzesz prysznic i wypijasz piwo?

Nad samym startem rozmyślałem zawsze, taki odruch. W głowie siedzi to, jak poszło i gdzie były błędy, niedociągnięcia, co można było zrobić lepiej. A z drugiej strony, staram się „odmulić” – czyli właśnie przysnąć, piwo... Trzeba to łączyć, bo inaczej można się zamęczyć psychicznie. Niestety, w okolicach startu, bardzo rozluźniam się, jeśli chodzi o motywację do nadzorowania swojego treningu. Jakoś się do planu odnoszę, ale nie zapisuję wtedy, co zrobiłem a czego nie. Z okresu okołostartowego zawsze mam najsłabsze notatki. Nigdy dokładnie nie wiem, co tak naprawdę zrobiłem.

A masz coś takiego jak formularze przed i postartowe? Np. lista rzeczy do zabrania, ustalenie taktyki, ranking najgroźniejszych rywali, plan najważniejszych czynności, a po starcie – ocena przebiegu i relacja z wyszczególnieniem najważniejszych momentów.

Nie mam, ale muszę o tym pomyśleć, bo to fajna rzecz (śmiech). Pokazałeś właśnie, że brakuje u nas osoby trenera. Ja zdaję sobie z tego sprawę, jestem samoukiem zawodniczym i trenerskim. Nigdy nie byłem przez nikogo trenowany. Podejrzewam, że w okresie startowym brakuje mi trenera, który by mnie zmusił do pewnych rzeczy, a po drugie, przeanalizował ze mną te zapiski – po starcie czy na bieżąco w trakcie przygotowań. Na pewno by się to przydało. Ale chętnie zobaczę Twoje formularze – cały czas jest miejsce na udoskonalenie swoich poczyną...

Pozostaje więc życzyć Ci powodzenia w przygotowaniach i jak najlepszego wyniku w Innsbrucku.

Innsbruck to piękne miasto. Liczę na wynik, który da motywację do dalszej pracy (śmiech).

Jakub Główka, 31 lat

staż wspinaczkowy – 15 lat

staż startowy – 12 lat

największe sukcesy sportowe:

★ **Vice-mistrz Polski w boulderingu (Kraków 2011),**

★ **Vice-mistrz Polski w prowadzeniu (Warszawa 2012)**

największe sukcesy w skałach – **wszystkie przede mną!**

liczba startów w zawodach seniorskich PZA pucharowych/mistrzowskich – **43**

liczba startów w zawodach międzynarodowych IFSC – **13**



Uniwersytet
Kardynała Stefana Wyszyńskiego
w Warszawie



- ✓ Jeden z chętniej wybieranych uniwersytetów państwowych w Polsce
- ✓ Doświadczona kadra akademicka i świetne zaplecze naukowe
- ✓ Ponad 16 000 studentów na 10 wydziałach i 35 kierunkach
- ✓ 2 kampusy z nowoczesnym zapleczem dydaktyczno-laboratoryjnym

Polub nas na f

www.rekrutacja.uksw.edu.pl

Ściana wspinaczkowa OBOZOWA

www.obozowa.waw.pl
tel. 0 - 697 837 198

On Sight Centrum Wspinaczkowe
Hala Sportowa "Kolo"
ul. Obozowa 60
01-423 Warszawa

otwarte codziennie:
pon-piat - 8.00-22.00
sob-niedz - 10.00-22.00





Górski Profesor

Wojciech Bajak

Maciek Popko w 2009 roku
fot. Adam Trzaska

WJego dorobku znajdowały się zarówno wybitne prace naukowe jak i pełne rozmachu publikacje górskie. Międzynarodowej sławie w dziedzinie hetytologii towarzyszył nimb autora śmiałych skalnych dróg. Najwyższy krajowy tytuł naukowy stał zaś obok miana założyciela Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego. Tak różnorodną spuściznę pozostawił zmarły w listopadzie Maciej Popko.

Profesora uczył Palant

– Nie mają w mieście benefisów, nie pisze o nich lokalna prasa, nie ma ich w świadomości ludzi żyjących w Częstochowie. (...) Żyją poza rodzinnym miastem, ale przecież są stąd – pisał Janusz Pawlikowski w artykule „Sławni częstochowianie, których nie znacie”, zamieszczonym w „Życiu Częstochowskim”. W gronie zacnych postaci znalazł się również biogram Macieja Popki – w Częstochowie może i zapomnianego, za to w Tatrach uznanego za jednego z najważniejszych wspinaczy lat 50., 60. i 70.

Urodził się w mieście u stóp Jasnej Góry w 1936 r. Tu też zdał maturę w miejscowym liceum im. Romualda Traugutta. Jednak potem poświęcił swój żywot już zupełnie innym górcom.

Był zapewne jednym z nielicznych profesorów na świecie, który śmiało mógł powiedzieć, że jego mistrzem stał się... Palant. To właśnie sławny Jan Długosz, obdarzony tym mało wdzięcznym przezwiskiem, wprowadzał w tatrzański świat dwudziestoletniego Macieja Popkę. Razem zrobili w 1956 r. m.in. III przejście środkiem północnej ściany Żabiej Turni Mięguszwieckiej, czy V powtórzenie drogi Dziędzielewicz na zachodniej ścianie Kościelca.

Długosz wywierał też na Popce wielkie wrażenie swoją osobowością. – *Urzekano życie w Morskim Oku, niepowtarzalna subkultura stworzona przez towarzystwo takich ludzi jak Długosz.* – wspominał swego Mistrza Maciej Popko na łamach „Tygodnika Powszechnego” w 2005 r. Ich najwybitniejszym wspólnym dziełem stało się pierwsze przejście Kotła Kazalnicy (tzw. Sanktuarium) od dołu. Dokonali tego w 1958 r. w czasie 6 godzin.

Szybki Bill

Uznanie środowiska zdobył jeszcze zanim zrobił nową drogę z Długoszem. Uwagę redaktorów „Taternika” zwrócił pierwszy raz w 1957 r., dzięki zimowemu przejściu płn.-wsch. filara Mięguszwieckiego Szczytu Wielkiego, dokonanego wraz z Henrykiem Furmanikiem w czasie zaledwie jednego dnia.

Szybkość okazała się potem jednym ze znaków rozpoznawczych wspinaczkowego warsztatu Macieja Popki. Z Januszem Jeleńskim zrobił drogę Łapiński-Paszucha na Kazalnicy Mięguszwieckiej w 1959 r. w 13 godzin.

Po sąsiedztwie, na Lewej Kazalnicy, w czasie II zimowego przejścia tej drogi ze Zbigniewem Jurkowskim zadziwił nawet samego Tadeusza Orłowskiego. Wybitny taternik w towarzystwie Juliusza Żuławskiego, ogłądał znad Czarnego Stawu walkę nieznanych mu dwóch młodzieńców na pionowym urwisku. Turę ukończyli oni w znakomitym czasie 13 godzin! Orłowski nazwał to „nadludzkim przedsięwzięciem”.

Po raz trzeci na urwisku wznoszącym się ponad Czarnym Stawem zaimponował tempem w duecie ze swoim imiennikiem Maciejem Pogorzelskim. Latem 1963 r. zostali oni autorami pierwszego w historii wejścia filarem Kazalnicy Mięguszwieckiej w ciągu jednego dnia.

Dwa sezony wcześniej podczas obozu treningowego dla uczestników zagranicznych wyjazdów razem z Maciejem Gryczyńskim w ciągu kilkunastu godzin pokonali drogę Wrześniaków na południowej ścianie Zamarłej Turni, drogę Motyki na zachodniej flance Kozich Czub oraz Komin Pokutników na Buczynowej Strażnicy i po południu wrócili do schroniska nad Morskim Okiem!

Mięgusze Popki

Do jego ulubionych masywów wspinaczkowych należał mur Mięguszwieckich Szczytów. Oprócz pierwszej drogi Sanktuarium od dołu i różnych rekordów szybkości w pokonywaniu Kazalnicy latem, czy zimą, wiele sukcesów odniósł również na urwiskach opadających z drugiego najwyższego szczytu Tatr Polskich oraz sąsiednich kulminacji.

Zimą 1963 r. wraz ze Zbigniewem Jurkowskim i Januszem Kurczabem przypuścił atak na prawy skraj wschodniej ściany Mięguszwieckiego Szczytu Wielkiego, dotąd jeszcze niezdobity o tej porze roku. Na wyprawę zabrali pełen zestaw biwakowy. Przeciąganie ciężkich plecaków mocno hamowało ich poczynania i musieli zanocować w ścianie. – *Bez większego obciążenia można ją przebyć w ciągu 1 dnia* – twierdził sam Popko. Następnego dnia wspinaczkę dokończyli nie-

długo po południu. – *Ze względu na interesującą trudności i wspaniałą scenię droga wejście niechybnie do repertuaru częściej powtarzanych w zimie.* – skomentował wyczyn wspinacz.

Po Świętach Bożego Narodzenia w 1969 r. z Krzysztofem Wieteską dokonał pierwszego zimowego przejścia płn.-wsch. grzędy Mięguszwieckiego Szczytu Czarnego bez omijania dolnych urwisk opadających do Czarnego Stawu i zlewających się z urwiskami Kotła Kazalnicy. Szedł właściwie po swoich śladach. Wraz z Krystyną Sałygą-Dąbkowską brał bowiem udział w wytyczaniu tej drogi latem 1957 r. Musiał wtedy zresztą utrzymać 8-metrowy lot partnerki, która odpadła od ściany. Z Ryszardem Wroną w 1971 r. poprowadził linię środkową częścią północnych urwisk tego szczytu, wiodącą z Bańdziocha. Nazwano ją potem „Filarzem Popki”.

Któregoś razu on, jeden z większych znawców tego masywu, ocenił w dyskusji z ratownikami możliwości ściągnięcia człowieka na lewej stronie Kazalnicy Mięguszwieckiej. – *Gdyby tam się coś wydarzyło, to już zupełna klęska. Przecież goprowcy nie ściągną stamtąd nikogo.* – twierdził. Zbiegiem okoliczności dzień później, 22 sierpnia 1964 r., Pogotowie otrzymało zawiadomienie właśnie z tej ściany. Tym razem, jak rzadko, Maciej Popko wyraźnie się pomylił – rannego wspinacza oraz jego towarzysza uratowano.

Niedługo potem i on sam zasilł szeregi tej organizacji. Brał nawet udział w jednej z najsłynniejszych wypraw lat 70. Na tak dobrze znanym Popce Sanktuarium, zginął młody łódzki taternik Hubert Hankiewicz: „*Ścieżką prowadzącą z Przełęczy pod Chłopciami schodzi nad staw Maciek Popko, taternik i ratownik-ochotnik: – Co się stało? – Sanktuarium! (...) Pójdiesz z nami? – Jestem po całym dniu wspinania, ale jeśli trzeba...*” – przytacza odpowiedź znakomitego wspinacza, Michała Jagiełło w kultowym „Wołaniu w góry”.

Na skałach i... limbach

W jego taternickiej koronie znajdowały się także klejnoty zdobyte poza Mięguszwieckimi. Wielkim osiągnięciem letnim wspinacza rodem z Częstochowy była direttissima wschodnich urwisk Mniszka, zrobiona w 1962 r. Partnerował mu w wytyczaniu tej skrajnie trudnej drogi Józef Nyka. – *Duże trudności klasyczne i podciągowe w litej skale czynią z tej drogi jedną z najciekawszych w okolicy.* – skomentował „Taternik” ten sukces.

Dużą sławę przyniosło mu także pierwsze przejście Orlej Ściany, wznoszącej się ponad Doliną Roztoki. Wcześniej pionowa skała stanowiła cel ataków wielu doświadczonych taterników. Droga ta została potem



W 1962 roku na Mnichu, wariant do *Sprężyny*
 fot. Józef Nyka

zaliczona do skrajnie trudnych wyzwań we wspinaczce skalnej. Prowadziła w niezwykle oryginalnej scenarii – wśród skalnych platform, porośniętych limbami. Przez przewieszkę w górnych partiach bohaterowie tej tury przedostali się... wspinając się po zwisających gałęziach drzew!

Nietypowo, bo na pograniczu sezonu zimowego i letniego, w maju 1960 r. z Lucjanem Sadusiem Maciej Popko zdobył też jako pierwszy w historii nadzwyczaj trudny płn.-wsch. filar Pośredniej Bednarzowej Turni w Grani Hrubego.

Walentyńki z Młynarzem

W zimie sporym sukcesem w jego dorobku było premierowe przejście płn.-wsch. filara Żabiego Szczytu Wyżniego z 30 I 1961 r. Towarzyszyli mu w tej wyprawie Andrzej Dreszer oraz Cezary Mielczarek.

Rok wcześniej, w dzień św. Walentego wraz z Janem Mostowskim dokonał pierwszego zimowego przejścia północnej ściany Małego Młynarza. Największym przeciwnikiem Popki i „Mosta” okazał się pionowy lodospad spadający z jednego z progów podszczytowej depresji. W tym miejscu na duet wspinaczy spadła seria lawinek pyłowych, wyzwolona obfitymi opadami śniegu. Ponad liczący trzy metry nawis zmarzliny wy-

dostali się dopiero po 3,5 godzinach walki. Drogę ukończyli już po zmroku.

Dosyć długo Maciej Popko cieszył się również nimbem pierwszego zimowego zdobywcy północnej ściany Hrubego Wierchu po wyprawie ze Stanisławem Bielem z 21 kwietnia 1961 r. Dopiero pięć lat później okazało się, że przed nimi drogę tę zrobili już Słowacy. Szybko doczekała się ona także powtórzenia. Toteż Popko oraz jego towarzysz okazali się autorami dopiero trzeciego przejścia tych urwisk o tej porze roku.

Za to w tym rejonie Tatr, wraz z Gerardem Małaczyskim, Lucjanem Sadusiem i Ryszardem Zawadzkim został autorem premierowego wejścia zimowego na Skrajną Bednarzową Ławkę (26 IV 1962). Na trzecim z pięciu progów zeszyli na nich dwie stosunkowo spore lawiny. Na szczęście obyło się bez obrażeń. Rok później natomiast Popko dokonał wraz z Jackiem Hanasiewiczem oraz Andrzejem Mrozem pierwszego wejścia o tej porze roku lewą depresją wschodnich urwisk Rysów.

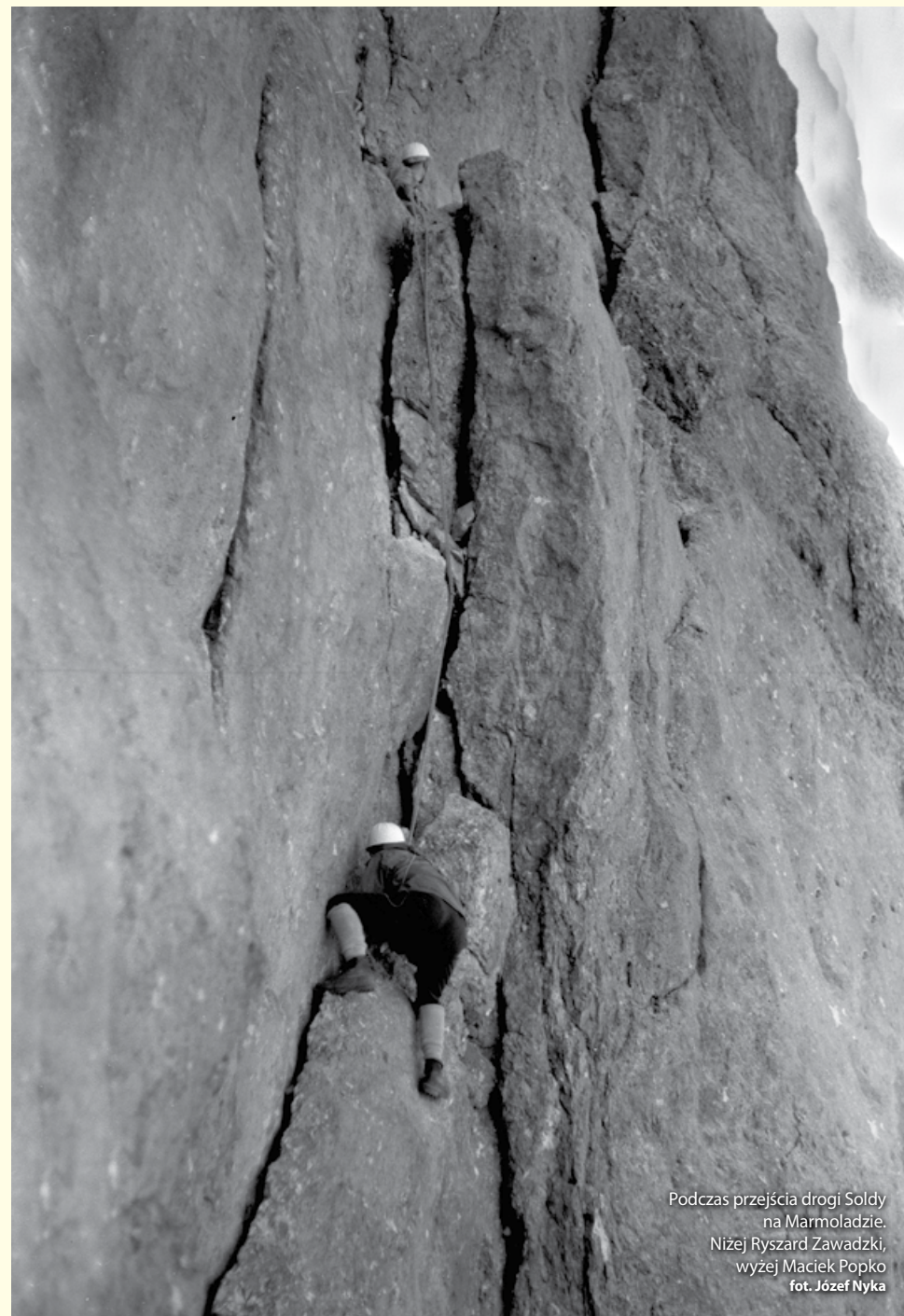
Oprócz tego zainaugurował też polską działalność w zimie na lewej części płn.-wsch. ściany Ciężkiego Szczytu, a także na dwóch drogach Galerii Gankowej. Na prawym filarze, śladami Arno Puškaša – z Danutą Topczewską, swą kursantką, pierwszą kobietą, która pokonała tę drogę zimą, oraz na położonej nieopodal linii wytyczonej przez Tadeusza Orłowskiego. W towarzystwie Henryka Furmanika pokonał ją w czasie 5,5 godziny.

Mażeńskie drogi

Na tatrzańskich ścianach przeżył właściwie całe wspinaczkowe pokolenie. Zaczynał w połowie lat 50., a do 1974 r. wciąż znajdował się w czołówce śmiałków. Zaliczył m.in. pierwsze wejścia prawym żebrem zachodniej ściany Świstowego Szczytu – z Tomaszem Łubieńskim (27 VIII 1973 r.) oraz pd.-zach. ścianą Granackiego Mnicha, razem z Markiem Zierhofferem – synem Stanisława, z którym wspinał się dwie dekady wcześniej!

Wiązał się liną z wieloma przedstawicielami różnych pokoleń i środowisk wspinaczkowych. Dopiero na początku lat 70. utworzył stały zespół ze swoją żoną, Marią Mikołajczyk. Razem, w kwietniu 1971 r. przeszli grań polskich Tatr Zachodnich od Juraniowej Przełęczy do Kopy Magury. W czasie tej tury na ostrzu grzbietu mieli nietypowe towarzystwo – na śniegu trafiali ciągle na świeże tropy rysia.

W 1974 r. dokonali pierwszych wejść: lewym filarem płn.-wsch. ściany Małego Kościoła (12 IV 1974 r.), i zimą prawym filarem południowej ściany Strzeleckiej Turni (14 IV 1974). Poprowadzili także nową drogą płn.-wsch. filarem przez Grań Dziadków na Wielki Kościół.



Podczas przejścia drogi Soldy na Marmoladzie. Niżej Ryszard Zawadzki, wyżej Maciej Popko
 fot. Józef Nyka

Marmoladowe spaghetti bez dżemu

Już w 1958 r. Maciej Popko uczestniczył w zagraicznym obozie na Kaukazie. Podczas tego wyjazdu zaliczył wejście zachodnią granią na Gumaczi, drogą od przełęczy Koj Awgan Ausz na Wia Tau, czy wschodnim grzbietem na Szczyt Szczurowskiego. Z sierpniowego wyjazdu 1961 r. przywiózł zaś wejścia północną granią na Bzeduch i środkowym filarem północnej ściany Nakra Tau. W czasie tej wyprawy przeżył też olbrzymie załamanie pogody na Czatyn Tau, skąd z trudem wycofał się ze swoim zespołem. Jeden z jego towarzyszy, Marian Bała w rozmowie z Grzegorzem Głazkiem uznał tę przygodę za swoje najcięższe górskie przeżycie. Na Skalkach Pastuchowa Popko i kierownik wyjazdu, Tadeusz Nowicki doznali odmrożenia nóg, przez co musieli zrezygnować ze wspinaczki.

W 1962 roku znalazł się natomiast na wyprawie w Dolomitach. Z Józefem Nyką, Adamem Szurkiem i Ryszardem Zawadzkiem dokonali wysoko cenionego przejścia pd.-zach. ściany Marmolady, dzięki czemu stali się autorami pierwszego polskiego *sisto grade sup*.

Oprócz sukcesu Maciej Popko przeżył też na tym wyjeździe niemiłą przygodę kulinarną. Turyści z Włoch w schronisku nie rozumieli gustu smakowego Polaka, kalającego – ich zdaniem – dżemem spaghetti. Wyrwali więc mu garnek i przyrządzili makaron po swojemu.

W czasie tego wyjazdu przeszedł też klasyczną drogę na południowych urwiskach Marmolady, a także Cima Grande północną ścianą (Comici-Dimai) i Cima Ovest pln.-wsch. filarem (Demuthkante).

Maciej Popko w 1965 r. przebywał na stażu w słynnej ENSA w Chamonix, gdzie rozgrzewkowo zdobył północną ścianę Aiguille de Bionnassay, a potem północną ścianę Triolet. Były to pierwsze polskie przejścia tych urwisk. Zostało ono zresztą uznane za najtrudniejszą drogę lodową zrobioną owego roku przez uczestników tego międzynarodowego obozu.

Kolumb z Cilo

Najmocniej jednak z osobą Macieja Popki kojarzone są wyprawy w egzotyczne góry. Pierwszy raz maszynom wznoszącym się w Grecji i Turcji przyjrzał się podczas autostopowej wyprawy do tych krajów w 1966 r. Jego uwagę zwróciły szczególnie masywy Tauru i Wrót Cylijskich z wysokimi wapiennymi ścianami.

Rok później dokonał drugiego polskiego wejścia na najwyższy turecki szczyt – Ararat. Jednocześnie zajmował się też eksploracją słabo poznanego regionu Cilo Dağı. W 1968 r. wziął udział w premierowym zdobyciu lewego filara pd.-wsch. ściany szczytu Geniszskaja, a także w poprowadzeniu drogi dziewiczym, wschodnim żebrem Keskin Tepe. Popko z Krzysztofem Wieteską

dokonał dopiero drugiego wejścia na wierzchołek tej góry. Był on nie tylko autorem przejść, ale także nadał nazwy obu szczytom.

Zajmował się również organizacją wyprawy stołecznego Koła Wysokogórskiego oraz Akademickiej Sekcji Wspinaczkowej przy Uniwersytecie Warszawskim w góry Iranu w 1970 r. – *Jego uporczywym staraniami w góry Iranu w 1970 r. – Jego uporczywym staraniami zawdzięczamy nie tylko możliwość wyjazdu, ale i to, że nasz pobyt w Iranie zdołaliśmy wypełnić tak intensywną działalnością wspinaczkową* – napisał kierownik obozu, Andrzej Marczak. Popki zabrakło ostatecznie w składzie z powodu braku zgody na wyrobienie paszportu.

Sam natomiast zaliczył znaczące pierwsze wejścia w czasie wyprawy w Hindukusz w 1975 r. W duecie z Marią Mikołajczyk stali się pierwszymi zdobywcami Kuhi Purwakszan, co stanowiło ich rekord pod względem osiągniętej wysokości w całej karierze. Razem osiągnęli też szczyt mierzący 5325 m n.p.m., który potem nazwali Koh-e Wedel. Sam natomiast wszedł na szczyt 5950 m n.p.m. Jeszcze w 2004 r., w wieku 68 lat wraz ze swą żoną zdobywał czterotysięczniki w irańskiej dolinie Sar Czał.

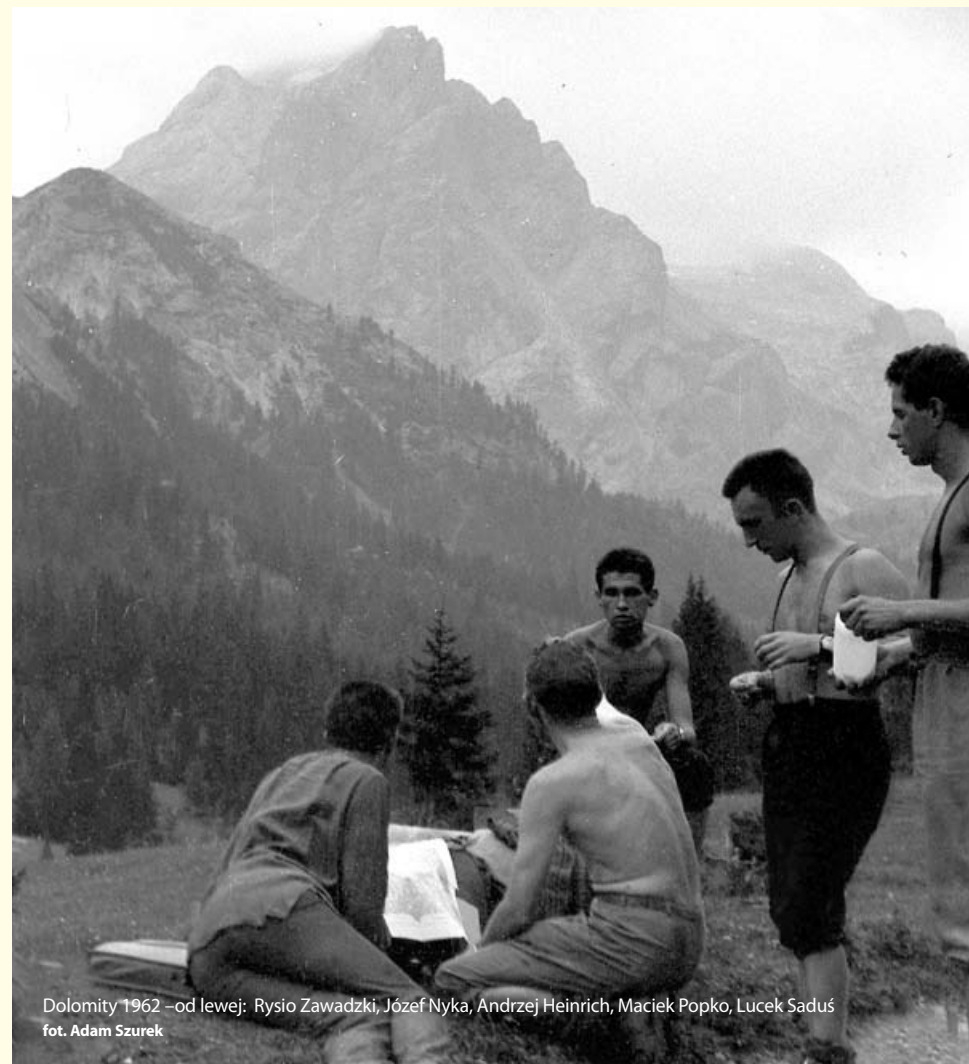
Jego Klub, Jego Alpinizm

Maciej Popko należał do grona najaktywniejszych twórców „Taternika” w latach 60. i 70. Jego dorobek publicystyczny zawierał krótkie notatki z własnych wspinaczek, zestawienia najlepszych osiągnięć sezonu, relacje z dalekich wypraw, a także wspaniałe artykuły naukowe o historii i nazewnictwie gór Azji. Był autorem pięciu nazw szczytów w Turcji i trzech, nadanych w dolinie Purwakszan.

Znał się na tym jak nikt inny w Polsce. Nie tylko dzięki wieloletniej praktyce wspinaczkowej, ale też z powodu pracy zawodowej. Uchodził za jednego z największych światowych specjalistów od Hetytów – starożytnego ludu Anatolii. W uznaniu jego dorobku Rada Państwa przyznała mu w 1987 r. tytuł profesorski.

Górskie biblioteki wzbogacił także książką „Góry pod półksiężycem”, opisującą wyprawy w egzotyczne pasma Turcji. Stał też na czele komitetu redakcyjnego kultowego poradnika wspinaczki, stanowiącego często jedyne źródło wiedzy dla młodych adeptów tego sportu. Książka pt. „Alpinizm” zyskała nawet żargonową nazwę – „Alpinizm Popki”.

Dzięki swym zdolnościom językowym zajmował się też tłumaczeniami dla „Taternika”. Spod jego pióra wyszła ogromna liczba recenzji zagranicznych dzieł górskich, niedostępnych po polsku, a także streszczeń artykułów z prasy całego świata. Oprócz bibliografii i historii szczególnie mocno interesowały go sprawy sprzętu. Na łamach pisma redagowanego przez Józefa



Dolomity 1962 – od lewej: Rysio Zawadzki, Józef Nyka, Andrzej Heinrich, Maciek Popko, Lucek Sadus
fot. Adam Szurek

Nykę pochwalili się nawet ultralekkim plecakiem własnego pomysłu, a kilka lat wcześniej opisywał pierwsze prototypy raków używane przez starożytne ludy.

Niecodziennym uzupełnieniem dorobku publicystycznego Macieja Popki jest wiersz „Ballada o naszym Majorze” – nieoficjalny hymn szkolenia żołnierzy 6. Pomorskiej Dywizji Powietrzono-Desantowej, w czasie którego sławny taternik zajmował się trenowaniem spadochroniarzy w podkrakowskich skałkach. Upust literackim talentom dał też w dwóch niedawnych publikacjach: „Wampir” z A/ZERO nr 11/2006 i „W srebrnym pyle” z 12-go numeru „BUKA”.

Wielkim dziełem pracowitego życia Profesora jest także sam Uniwersytecki Klub Alpinistyczny, przekształcony z utworzonej z jego inicjatywy Sekcji Wysokogórskiej przy Komisji Turystyki Rady Uczelnianej ZSP UW. Należał też m.in. do członków grona pierwszej Komisji Dyscyplinarnej PZA, zaś w Stołecznym Klubie Tatrzańskim przewodził Sekcji Alpinizmu.

Profesor Maciej Popko zmarł 22 listopada 2014 r., pozostawiając po sobie bogaty dorobek górski.

„Jako tyn Janosik pódem po dziedzinie – choćbyk jo zaginął, imię nie zaginie”.



fot. Jola Milczarek



Puchar Świata w Norymberdze fot. Jola Milczarek

Jakub Rozbicki / vengaclimbing.com

Leszek Milczarek

Rocznik 1958, jeden z trzech najlepszych wspinaczy sportowych lat 80. **Człowiek ikona, inspirator, uznany za posiadacza najsilniejszych palców w Polsce** (a może i wówczas na świecie?). Lechu dokonał szeregu spektakularnych przejść w naszych skałach, a jego *Wszystko na Sprzedaż* jest wciąż ekstremą podzamczańskich ostańców i jedną z najbardziej honorownych dróg na naszej Jurze. O Lechu wiedziałem niewiele. Nasza rozmowa bardzo przybliżyła mi historię jego kariery, w której nie tylko sport i wynik, ale to co we wspinaniu kluczowe, czyli inni ludzie – stanowi esencję działania i samorealizacji.

Zapraszam do lektury. Przed Wami **Leszek Milczarek!**

Początki

Miałem kolegów, którzy jeździli w góry na narty, ekipa z liceum nr 30 na Woli. Kiedy wszyscy zdali maturę, a byliśmy bardzo zintegrowani, wyjechaliśmy na sześciotygodniowy wyjazd wakacyjny: 2 tygodnie na Mazurach, 2 tygodnie nad morzem, a potem w góry. Nigdy wcześniej nie widziałem gór, wołałem plażę. To był 1977 rok – wyjazd turystyczny. Oczywiście sport uprawiałem wcześniej, trenowałem dosyć ostro piłkę nożną, najpierw w trampkarzach w Gwardii Warszawa, potem w Klubie Drukarz na Pradze – to był wówczas świetny klub. Potem troszeczkę grałem w Legii, tam próbowałem się dostać do juniorów, ale to już była końcówka liceum. W Drukarzu rokowania miałem świetne, grałem w ataku na prawym skrzydle, ale niestety kosztem szkoły, w ogóle się nie uczyłem, w końcu mama powiedziała: „STOP”. Musiałem się wziąć za naukę, miałem same dwójki i ledwo zdawałem do kolejnej klasy. Jak się skończyła piłka nożna, to mi czegoś brakowało.

Kiedy zobaczyłem
góry
to po prostu
oszalałem
na ich punkcie!

Urzekła mnie monumentalność Tatr. Chodziliśmy po Orlej Perci, turystyka pełną gębą. Dwa lata później pojechałem znowu w góry i złapałem bakcyła, pomógł mi w tym przypadkowo spotkany turysta w pociągu. Miał na sobie szpanerskie Zawraty – buty określające wówczas profesjonalnego człowieka gór. Niesamowicie mi zaimponował. Bardzo mgliście myślałem wtedy o wspinaniu. Pamiętam jak zobaczyłem gdzieś tam na Hali Gąsienicowej taterników w akcji, nikt wcześniej, ani już później mi tak nie zaimponował jak oni. Byłem wtedy na Politechnice, ale nie chciało mi się chodzić na uczelnię. Ponieważ trzeba było wtedy uciekać przed wojskiem, zdałem do Białegostoku. A by skończyć ostatecznie jakieś studia wyładowałem na WAT-cie. Na drugim roku zapisałem się na kurs skałkowy w Podlesicach. To było w 1981. Na bunkrach wcześniej szkolił mnie Jasiu Wolf z żoną, *Mrówką*, która mi strasznie imponowała. Później trafiłem do samego Janusza Kurcaba. Chciałem pójść na kurs tatrzański, ale to mi jakoś nie wyszło... W sumie to zacząłem się wspinać późno – miałem wtedy 22 lata...

Bunkry

W tamtych czasach „skałki warszawskie” mieściły się na bunkrach w Janówku. Gdy przychodził weekend to trzy składy pociągów podmiejskich były zaprane wspinaczami. Jednorazowo wspinano się kilkadziesiąt osób. Pamiętam, że bogami byli wówczas Marek Kołodziejczyk i Mirek Nowotnik (*Orzechowa*). Snuł się też tam taki przypadkowany koleś, do którego zagadadywałem, ale mnie zlewał. Pomyślałem sobie – „co za buc”. Później ów jegomość powiedział, że myślał o mnie dokładnie to samo, co ja o nim. Tak właśnie po raz pierwszy spotkałem Marka Fabianowskiego (*Fabka*). Później jakoś się zgadaliśmy, spotykaliśmy się też w tygodniu na bunkrach i pojechaliśmy razem w skały. Jakoś tak zaikrzyło. W 1982 roku stwierdziliśmy, że zrobienie postępu nie będzie możliwe bez sensownego treningu. *Fabek* chodził już wcześniej na siłownię i starał się podchodzić profesjonalnie do pakowania, ściągał jakieś ruskie książki, laził po bibliotekach i studiował teorię sportu. Postanowiliśmy, że trzeba wreszcie zacząć jakoś sensownie trenować i zaczęliśmy chodzić na Skrę. Był tam wtedy taki system drabinek, na których się katowaliśmy. Trening był paskudny – nie lubiłem go, choć na pewno progres zrobiliśmy straszny. Dochodziło do takich sytuacji, że *Fabek* wymiotował w czasie treningu. To była masakra i ostra jazda.

Leszek na zawodach na Okienniku Skarżyskim
fot. Hanna Nowotnik

Skałki

Jakoś na początku lat 80 Jasiu Fijałkowski zrobił na wędkę *Lekcję Tańca*. W 1983 roku pojechaliśmy na Wielkanoc z *Fabkiem* do Podlesic. Śnieg, spaliśmy w jakiejś dziurze, jak sobie teraz o tym pomyślę, to nie mogę w to uwierzyć. Wspinaliśmy się po drodze *Jaś nie doczekał* – na skale ze *Spadającymi Gwiazdami*. Myślmy sobie – mocne VI.2 w okapie – jesteśmy nieźli. Tymczasem za winklem usłyszeliśmy głosy. Patrzymy, a tu wędka na *Lekcji Tańca* i dwóch koleś – jeden większy,



Leszek i Andrzej Marcisz patentują na Klagemauerze (Frankejura) fot. Hanna Nowotnik

76 drugi drobniejszy. Wspina się większy i odpada w połowie. Tymczasem mniejszy mówi – „właśnie to zrobiłem”, a nam kopary opadły do ziemi. Zrobić coś takiego w tamtych czasach? Podejrzanie gość wyglądał, coś mnie tknęło i pytam – „To ty jesteś Szalony Piotrek?”

I tak poznaliśmy *Szalonego* (Piotr Korczak). Był z *Odwłokiem* (Tomek Opozda). Nam się wydawało, że jesteśmy już gigantami, staraliśmy się dobić do czołówki warszawskiej, a tu taki kosmos. Szalony był dla nas wtedy ogromnym autorytetem. Czym prędzej rzuciliśmy wędkę, a tu trudności abstrakcyjne – byliśmy totalnie załamani swoim poziomem. W rewanżu *Fabek* dał pierwszą szmatę na gałęzi. Ja się jeszcze bardziej załamałem. Wspinałem się też wówczas z Piotrkim Panufnikiem i Jarkiem Kowalikiem. Pojawiał się też w tamtym czasie Leszek Wojas, który sensownie podchodził do robienia dróg zgodnie ze szkołą francuską – patentował i robił je w czystym RP.



Mistrzostwa Warszawy na ścianie w LO im. Cervantesa na Zakrzewskiej fot. arch. L. Milczarek

Tatry

Potem jeździłem sporo w skały z Krzyskiem Pilawskim i z nim też robiłem pierwsze drogi w Tatrach. Zrobiliśmy *Kant Hakowy* na Mnichu i coś tam na Kazalnicy. Tatry i granit mnie przerażały, podchodzisz pod Kazalnicę, a tam rozbite zegarki pod ścianą, jakiś złom, poza tym asekuracja tragiczna. Pamiętam jaki odpadłem na jakiejś starej pętli, a pętla się rozjechała, myślałem, że dostanę zawału! Raczej byłem kiepski w operowaniu sprzętem – nie wierzyłem we wbijane własnoręcznie haki. Krzysiek był wspinaczem potężnym, ale miał bardzo dobrą technikę. Wspinaliśmy się na podobnym poziomie, natomiast on technicznie był lepszy.

Skok formy

W 1985 odnotowałem wyraźny skok formy. Zaczęliśmy się z *Fabkiem* wspinać w skałkach z obciążeniem. Ładowaliśmy do plecaków kamienie i się z tym wspinaliśmy. To spowodowało duży skok formy. Pamiętam, że zrobiłem z tym *Pająki* w Podlesicach – nieźły wyczyn. Wspinaliśmy się w korkerach. Pierwsze buty wspinaczkowe zobaczyliśmy, kiedy przyjechali na naszą Jurę Angole – mieli buty na gumie *super friction*. Pierwsze buty z prawdziwego zdarzenia miał u nas Jacek Zaczkowski, takie Asolo za kostkę. Jacek twierdził, że to jest przepaść jakościowa. Tuż po nim kupiłem taki sam model, to były jakieś monstrualne wtedy pieniądze – kilkadziesiąt dolarów, kilka pensji miesięcznych. Pamiętam, że wysiadłem z pociągu w Trento i w pierwszym możliwym sklepie kupiłem te buty wydając absolutnie wszystkie pieniądze, jakie wtedy miałem. Na zawodach mi to jeszcze nie pomogło, bo miałem je pierwszy raz na nogach.

Zawody na Weście

W 1986 roku załapałem się na zawody do Bardoneci, trzeba było zrobić 3 drogi. Pierwsze dwie zrobiłem, ale na trzeciej siadła mi psycha i w okapie odpuszcilem. Gdybym to zrobił, byłby półfinał, a tam były wtedy wszystkie sławy: Edlinger, Glowacz, Bracia Le Mene-strell, Horhager.

Namiet koło nas miała rozbity Lynn Hill. Zrobiła na nas niesamowite wrażenie. Była bardzo miła i przyjacielsko nastawiona. Pamiętam, że wspinając się przed zawodami w ramach rozruchu na skale koło namiotów, zapytała Andrzeja Marcisza o kluczowe miejsce: „Czy tam jest klama?” Andrzej odpowiedział, że tak. Ona skończyła, nie wiedząc do czego sięga – i złała. Dla nas to było zupełnie inne podejście do wspinania. U nas wszystko musiało być statyczne i pod pełną kontrolą. Na tych zawodach było wtedy bardzo dużo sponsorów. Wydaje mi się, że oni myśleli, że to będzie jakaś monstrualna hossa i zarobią duże pieniądze na sprzęcie. Inne czasy, zupełnie inny moment niż dzisiaj.

Pamiętam też zawody w Grenoble. Bo-dajże w roku 1988. Pojechaliśmy tam całkiem nieźle przygotowani siłowo, ale... niestety odstawaliśmy wyraźnie od wspinaczy z zachodu. Po prostu nie było gdzie trenować. Przychodziła zima, wyjazdy w skały nie były możliwe, a sztucznych ścian nie było. Całkiem nieźle szło nam natomiast na czasówkach. Andrzej Marcisz zajął wtedy drugie miejsce tuż za Godoffem, ja natomiast byłem ósmy, więc całkiem nieźle. Nasze przygotowanie do zawodów trwało dwa tygodnie przed startem, coś tam się robiło, ale generalnie nie było to wszystko zbyt profesjonalne. Potem miałem sporo przerw...

Trip Karniowicki

Wynajęliśmy z *Fabkiem* pokój w hotelu w Karniowicach i siedzieliśmy tam cały miesiąc. W pokoju zamontowaliśmy deskę do ładowania. W tajemnicy wywierciliśmy dziury w ścianie przywiezioną z Warszawy wiertarką i po całym dniu w skałach dawałaliśmy do pieca jeszcze na tej desce. Pamiętam, że nie wpuszczaliśmy sprzętaczek przez miesiąc, ależ tam mieliśmy bajzel. Jakby ktoś zobaczył deskę – byłaby afera! To była wiosna, każdego dnia jeździliśmy w różne rejony – Kobylany, Bolechowice, Będkowie – i ładowaliśmy absolutnie codziennie! Sporo nam to wszystko czasu zajęło. Pamiętam, że Mamutową odwiedziliśmy ostatniego dnia i nie byliśmy też na Polniku, mimo że te *Pawiany* już chyba były zrobione. Pamiętam też,

że *Szalony* patentował *Przybycie Tytanów* w Bolechowicach (VI.5+). Do tej pory to *Szalony* jeździł na Jurę Północną powtarzać i przeceniać drogi. Tym razem to my przyjechaliśmy pod Kraków powtórzyć jego drogi. Miałem wtedy super formę, świetnie mi szło, powtarzałem wszystko po kolei, w bardzo krótkim czasie. Dzień, dwa i było czyste RP. Pamiętam, że *Szalony* typał na mnie i się wkurzał, że mi tak dobrze idzie. Nigdy nie miałem jednak zapędów „podkaszania” innym ich dróg, grzecznie czekałem, aż zrobi i spokojnie, na drugi dzień robiłem drugie przejście. Pamiętam, że w „Taterniku” była krótka notka, że „Milczarek powtórzył drogi *Szalonego*”. W znakomitej większości były to pierwsze powtórzenia jego dróg. Podaliśmy sobie z *Fabkiem* łapę: „Warszawska krucjata na południu zakończona sukcesem”. *Fabek* nie powtarzał dróg z takim powodzeniem, pomimo strasznej siły. Był typem boulderowca ze słabą wiarą w siebie, nie lubił też, jak ktoś na niego patrzy w czasie wspinania. Spalał się, mimo że spokojnie mógł powtarzać to samo bez najmniejszego problemu.



Puchar Polski na Stegnach fot. arch. L. Milczarek

Atmosfera

Mimo sportowej rywalizacji byliśmy ze wszystkimi w bardzo przyjacielskich relacjach. *Szalony* z Marci-szem przychodzili do nas do pokoju na ploty. Potem mieszkaliśmy przez jakiś czas u Andrzeja w Krakowie. Lubiliśmy też bardzo ludzi z Łodzi i Śląska. Ci słynni skałkowcy – Piotrek Korczak, Andrzej Marcisz, Marek Płonka – to byli wspinacze młodszy ode mnie, ale jednak moi idole. Wcześniej zaczęli, ja robiłem ich drogi traktując je bardzo świątobliwie. Wyjątkiem był tu mój inny idol – Jasiu Fijałkowski – starszy o kilka lat.

Znowu forma – Podzamcze

Bulder (Paweł Hacıski) zbudował taką małą, lekko przewieszoną i fajną ściankę w Warszawie z bardzo małymi listewkami. Zrobiłem na niej jakiś straszny „pałér” w palcach. Zupełnie nie wiem, jak to się stało, ale moc miałem potworną. Usłyszałem wtedy, że *Szalony* otworzył w Podzamczu nową epokę, zrobił „mega siekiery” – drogi nowej generacji: na Cimach i na Zakonniku.

W Podzamczu nie wiedziałem, że mam taką super formę. Na Zakonniku wszystkie drogi zrobiłem praktycznie od strzału, wydały mi się bardzo przystępne. Potem udałem się na Wielką Cime. Rzuciłem wędkę na *Krucjatę Trzeźwości* (VI.6). Zrobiłem od razu kluczowe miejsce, dwa dni i droga zrobiona. Podobnie było na *Wulkanach Miłości* (VI.5+/6). Wreszcie pomyślałem – „kurczę, chyba czas się jakoś zabrać za robienie czegoś swojego”. Poszedłem obejrzeć skałę z tyłu Cim i zobaczyłem przewieszkę na Demonie – rzuciłem wędkę. Ktoś tam gadał, że to podkute – bzdura. To po prostu stara hakówka, jedną dziurę na starcie trochę zeszlifowałem, żeby nie cięła skóry. Tę drogę zrobiłem w pół dnia na wędkę. Wbiłem spity, ale bałem się prowadzić, nigdy jakoś nie miałem zaufania do tego co wbiąłem, nie starczało mi psychy. Pamiętam, że *Szalony* też się wtedy wstawiał, ale nie mógł zrobić miejsc – to była na tamte czasy naprawdę trudna droga. Wciąż zresztą jest syta. W tym samym czasie *Fabek* wyjeżdżał do Stanów i wszystkiego się pozbywał. Tak powstała pierwsza nazwa – *Wszystko na Sprzedaż*. Jakoś nie zrobiłem jej wtedy z dołem, żałowałem, bo to nie była akurat wtedy dla mnie, ze względu na zadziwiająco dobrą formę, jakąś mega trudna droga. Parę lat później pierwsze przejście zrobił Mateusz Kilarski i dał nową nazwę – *Prawie Wszystko na Sprzedaż*. Jej obecna wycena to VI.7+.

Dużo ciekawych rzeczy zadziało się też wtedy na Kapie. Jacek Zaczowski zrobił tam kilka dróg, ale wszystkie bardzo łatwe, bo to były klamy. Skałka bardzo nam się podobała, jedyna taka przypominająca wspinanie na Frankenjurze. Wzięliśmy więc z *Fabkiem* wiadro cementu i zalepiliśmy większość klam zostawiając małe chwyt. Tak powstało 7 *Batów* (VI.6). Jacek miał chyba trochę pretensji, ale to jest fajny gość, jak się zobaczyliśmy, to już wszystko było OK. Powstała po prostu fajna droga, zresztą Mateusz Kilarski zrobił potem po lewej trudny wariant.

Ten pobyt w Podzamczu uznaję chyba za swój największy sukces wspinaczkowy. Miałem wtedy super wagę (59 kg przy wzroście 174 cm). Z dużą łatwością robiłem wszystkie przejścia.

Z perspektywy czasu trochę żałuję, że nie wspinałem się jeszcze ostro przez kolejne 2-3 lata...

Z drugiej strony cała ekipa, z którą się wspinałem wyjechała za granicę. To jest sport koleżeński, zawsze potrzeba kogoś do asekuracji... To była taka zaprzyjaźniona ekipa warszawska – 6-7 osób. Niesamowita wartość, bliskie relacje i wzajemna przyjaźń.

Frankenjur

Na Zachód głównie jeździliśmy na Frankenjurę. Między nami, a tamtejszą czołówką była jednak niesamowita przepaść. Próbowaliśmy drogi Güllischa – on robił już wtedy X+, ja spokojnie prowadziłem X- i to nawet ze sporym zapasem, ale X było już poza zasięgiem. Być może trzeba było się rozwspinać porządnie u nas na Jurze i dopiero próbować tamtejszych ekstremów. Na to jednak nigdy nie było za bardzo czasu. Chociaż kiedy robiłem *Wszystko na Sprzedaż*, to miałem taką formę, że zrobienie X byłoby realne. Na tyle z resztą wyceniałem właśnie tę drogę w tamtym czasie.

Igrzyska Solidarności

W 1990 roku odbyło się niesamowite wydarzenie, jeśli chodzi o oprawę medialną – zawody wspinaczkowe na sztucznej ścianie postawionej przy molo w Sopocie. Była naprawdę świetna atmosfera, żadnych podziałów, super integracja środowiska. Byli himalaści, sportowcy, alpinści, taternicy – pełna Solidarność. Wygrał *Szalony*, drugi był Marcisz, ja zająłem 3 miejsce. Potem miałem 8 lat przerwy od wspinania – poszedłem do pracy, urodziła się Edyta, nie wspinałem się wcale. Jakoś tak wyszło.

Powrót

Robert Nejman powiedział: „Lechu, chodź, pojedziemy w skały”. I pojechaliśmy. To było dla mnie straszne przeżycie. Pojechaliśmy w Słoneczne pod Kraków. Masakra. Nie byłem w stanie poprowadzić VI.1. Znowu się przestałem wspinać. Potem przypadkiem natknąłem się na numer „Gór” z rewelacyjnym zdjęciem na okładce. Wspinał się Michał Górzyński (*Mięśniak*) na bunkrach. Znowu mi się zachciało. Sentyment się odezwał: „moje kochane bunkry” – pomyślałem. Zelektryzowała mnie też informacja o przejściu *Tyrannosaurus* (VI.7) w Podlesicach, tym bardziej, że miałem ogromny sentyment do Gdańska i murków w Brętowie. Zrobi-

łem tam sporo swoich wariantów. Bardzo też lubilem to miejsce – klimacik jedyny w swoim rodzaju.

Kiedyś i dziś

Kiedyś wyjazdy na zachód to były przykre epizody. Czuliśmy się jak ludzie drugiej kategorii. Nie było nas stać nawet na kupienie bagietki – jedzenie brało się ze sobą. Natomiast inna była motywacja. Wtedy naprawdę musiałeś bardzo chcieć to robić, to wymagało poświęceń. Teraz wszystko jest prostsze. Myślę, że dzisiaj nadal dużo jest ludzi z prawdziwą pasją, ale na pewno więcej również *stricte* sportowców niż wtedy. W dzisiejszych czasach nasza młodzież to już globalna i międzynarodowa społeczność, niczym nie odstająca od reszty cywilizowanego świata. To akurat jest w porządku.

We wspinaniu bawił mnie sam ruch, ale także relacje z ludźmi. To było bardzo ważne: wspólne wyjazdy i przyjaźń.

Wspinanie to również sport, w którym łatwo jest wyznaczać konkretne cele i je realizować, co z kolei może się też przekładać na normalne życie: sukcesy zawodowe, biznesowe... Może mi to pomogło również w sukcesach tego typu... Podejmowanie decyzji, ryzyko, sam nie wiem...

Mentorzy i inspiratorzy

Duży wpływ na moje pojmowanie gór i środowiska miał Janusz Kurczab. Środowisko w tamtym czasie składało się z bardzo wykształconych i intelektualnie rozwiniętych ludzi. Wieczorem siedziało się przy ognisku, piliśmy herbatę (bynajmniej nie piwo) i dyskutowaliśmy o ciekawych rzeczach: nauce, filozofii... Wielką



Od prawej: Leszek, Andrzej Marcisz i prawdopodobnie Robert Rogoż fot. Hania Nowotnik

frajdą było przynależność do takich ludzi. Lubię ludzi wykształconych. Od strony sportowej – Wolfgang Güllisch i Kurt Albert. Poznałem ich osobiście w czasie pobytu na Frankenjurze. Trenowaliśmy razem. Niesamowici ludzie. Skromni, życzliwi, koleżeńscy, z ogromną klasą. Z naszych wspinaczy Piotr Korczak i Andrzej Marcisz. Ten drugi niesamowicie się wspinał, nie był tak przypadkowy jak *Szalony*, ale za to był odważny – to mi u niego bardzo imponowało. W Warszawie inspirował mnie Mirek Nowotnik, przepięknie się wspinał. Jeszcze *Ruda*, czyli Monika Niedbalska – co za elegancja, klasa i styl. Ci wszyscy ludzie byli dla mnie bardzo ważni i wywarli ogromny wpływ na moje wspinanie.

Przesłanie

Dobre relacje są ważne. Nawet w tak trywialnym procesie jak asekuracja kogoś w czasie patentowania jego topowej drogi. Wspinanie jest sportem, gdzie ludzie odgrywają ogromną rolę. Jeśli jest zgoda, radość ze wspólnego przebywania w grupie, przyjaźń – to wówczas łatwiej jest osiągać sukcesy sportowe. Wszystko można osiągnąć ciężką pracą, pasją i motywacją. Pamiętajcie oczywiście o innych ludziach wokół nas.



UKA w górach Świata

– podsumowanie AD 2014/2015

Maciej Kowalczyk

Wojtek Ryczer
na Aiguille du Moine
fot. M. Dziedzic

– **Dziadku, dziadku – opowiedz mi jeszcze jakąś historię przed snem! Proszę!**

– A czy to może być historia o wspinaniu?

– **Dziadku, przecież ty nie znasz innych historii...**

– Dobrze wnusiu, zatem słuchaj... był rok 65. 1965. Dwóch dzielnych argentyńskich chłwatów postanowiło zdobyć jedną z najpiękniejszych gór swojego kraju. A być może nawet świata! Fitz Roy – potężna skalna piramida znajduje się w odległej Patagonii. Do tamtej pory została zdobyta tylko raz – trzynastę lat wcześniej na wierzchołku udało się stanąć dwóm Francuzom: Guidowi Magnone i Lionelowi Terray. Argentyńscy wspinacze, Comesaña i Fonrouge wybierają jednak inną drogę – wielki kuluar przecinający idealną linią niemal całą ścianę. W ciągu dwóch dni przechodzą drogę, która od tamtego dnia nazywana będzie *Supercanaletą*. Pomyśl wnusiu, że mieli oni wtedy zaledwie dwadzieścia lat, a przejście odbyło się w stylu alpejskim. Jakiej odwagi to wymagało!

– **Też się tam kiedyś wespnę. Dziadku, a czy Polacy włązili już na tę górę kiedyś?**

– Włązili, a jakże – pierwsze polskie wejście odbyło się jednocześnie nową drogą. Piątka wspinaczy: Lutyński, Burzyński, Falco-Dąsał, Kochańczyk i Kozaczekiewicz potrzebowali aż miesiąca, żeby ustanowić *Via Polaca*, a do dziś ta droga nie ma powtórzenia.

– **E, miesiąc to za długo, wolę się chyba wspiąć Supercanaletą. Czy ktoś już z naszego UKA tam był?**

– Naturalnie wnusiu! Gdzie nie było UKA! Ha! Pierwsze polskie przejście tej drogi to zasługa Agi Tyszkiewicz i Marcina Wernika.

– **Ten Wujek Wernik z wielką siwą brodą! Naprawdę?**

– Oj wnusiu, jesteście jeszcze mały – to było bardzo dawno temu – na samym początku 2015 roku i wujek Wernik nie był wtedy jeszcze tak stary! To był piękny rok i wiele wtedy było przejść, oj wiele. To nie to, co dzisiaj młodzie! Wtedy wujki Ryczer i Książek razem z kolegą z Wrocławia przeszli też *Coltona* na Żorasach. Czy ty wiesz czym są Grandes Jorasses?!

– **Dziadku, jestem już trochę śpiący.**

– Pierwsza próba na tej drodze odbyła się w 1972. Mimo tego, że podjął ją sam Chris Bonington, skończyła się niepowodzeniem, aż po siedemnastu biwakach. Angole nie mieli wtedy jeszcze frontalnych raków, ale za to mieli cholerne jaja... Przepraszam wnuczku, nie powtarzaj tego przy mamusi. Cztery lata później linię tę pokonali, w ciągu jednej doby, dwaj młodzi śmiałkowie: Nick Colton i Alex MacIntyre. A pierwszymi Polakami, którzy poszli w ich ślady byli Staszek Piecuch i An-

drzej Dutkiewicz. Nie byli to oczywiście pierwsi rodacy na Żorasach, bo już w 1959 zespół Leszek Utracki i Staszek Biel przeszli słynnego Walkera. Oj wnusiu powinieś przeczytać „Notatnik Alpejski”, w którym Utracki opisuje ten ważny dla Polaków sezon w Alpach!

– **Dziadku, tam jest zimno i strasznie, opowiedz mi lepiej o jakiś skałkach, żebym nie miał koszarów.**

– Zgoda, opowiem ci o dwóch dużych skałkach w Ameryce, w Dolinie Yosemite. Do tych dwóch skałek trzeba jeszcze dodać dwóch panów: Roya i Warrena Hardinga. Pierwszy z nich podchodził do wspinania bardzo poważnie i miał dużo zasad, których nigdy nie łamał. Ten drugi miał ich dużo mniej, bo tylko dwie: trzeba robić wielkie ściany i dobrze się przy tym bawić. Łamał przy tym często reguły Robbinsa i dlatego panowie się nie lubili. W dodatku każdy z nich chciał być najlepszym wspinaczem.

W 1957 Robbins przeszedł w ciągu pięciu dni jedną ze skałek: północną ścianę Half Dome i ogłosił, że dzięki temu jest najlepszy. Nie było to w smak Hardingowi, który żeby być jeszcze lepszym postanowił przejść słynnego El Capitana. Od pierwszych prób do zdobycia szczytu minęło aż 18 miesięcy, a ich droga nazwana została *The Nose*. Robbins zrobił ją w ciągu 7 dni bez poręczowania i stwierdził, że dzięki temu znowu jest najlepszy, a w dodatku krytykował Hardinga za to, że ten użył zbyt dużo boltów. Żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości Robbins wytyczył na El Capitanie drugą drogę, *Salathe Wall*, na której zgodnie ze swoimi zasadami starał się użyć jak najmniejszej liczby stałych punktów. Oczywiście ogłosił, że jest najlepszy. Później, *Salathe* została zrobiona klasycznie – w roku 1988 dokonali tego Paul Piana i Todd Skinner.

Wnusiu, w tym sezonie, o którym Ci opowiadałem, Maciek Ciesielski razem z Czarkiem Modrzejewskim z Torunia, próbowali przejść czysto klasycznie wariację do *Salathe*, która nazywa się *Free Rider*. Niestety nie udało im się to w pełni, ale była to dobra próba i przeszli dużo trudnych wyciągów jak np. straszny *Monster Crack*! W Dolinie byli wtedy też Bartek Kurowski i Maciek Kowalczyk i wspinali się z kolegami z KW na tych obu skałkach, o których Ci opowiadałem. Co prawda tylko hakowo, więc nie mogli ogłosić, że są najlepsi, ale i tak mieli z tego na pewno frajdę!

– **Dziadku, a czy jeszcze coś się wtedy działo ciekawego w innych miejscach?**

– Wnusiu, naturalnie! Był obóz w Chamonix, na którym padły dobre przejścia, nasi klubowicze działali też w Dolomitach, Verdon, a nawet Jordani! Zajrzyj sobie do tej starej BUKI, to wszystkiego się dowiesz. A tymczasem chodźmy już spać...



Na drodze Colton-MacIntyre na Grandes Jorasses fot. Wojtek Ryczer

Wykaz przejść górskich 2014 i 2014/15

Legenda

ŁKW – Łódzki Klub Wysokogórski
KWW – KW Warszawa
KWK – KW Katowice
KWT – KW Toruń
WKW – Wrocławski Klub Wysokogórski

Maciej Ciesielski, Kasia Okuszek (n)

Pointe 3038 de Trelaporte, *California Dream* (7a OS)
Pointe Adolphe Rey, 2 drogi (7a OS)

Maciej Ciesielski z klientem

Grand Capucin *O sole Mio* (6b+ OS)
Tour Ronde *Rebuffat* (lodowe 4/5)

CHAMONIX

LATO

Agnieszka Tyszkiewicz, Marcin Wernik

Pointe Lachenal, *Voie Contamine* (6b OS)
Grepon, *Le soleil a rendez-vous avec la lune* (6a+/6b 850m, OS), z **Wojtkiem Michalskim** (KWW)

Jakub Tkaczuk, Dominik Wiśniewski

Aiguille du Midi, *Voie Rebuffat* (6a+/b OS)
Nantillons, *Bienvenue au Georges V* (6a+ 1xA0, reszta OS)
5h
Tour Verte, *Le Piege* (6b+ 1xA0, reszta OS)

Piotr Sochacki, Marek Głasek

Aiguille de Roc, *Diedre des Mousquetaires/Pilier S* (5c OS)

Wojtek Ryczer, Michał Dziedzic

Pointe 3038 de Trelaporte, *California Dream* (7a OS)
Tour Rouge, *Drakula* (6c OS)
Aiguille Du Moine – turnia 306, *La Voix du Druide* (6c, FL)

CHAMONIX

ZIMA

Wojtek Ryczer, Marcin Księżak, Rafał Zajac (WKW)

Grandes Jorasses, *Colton-MacIntyre* (WI5 M6, 1200m, OS) 10.03.2015

DOLOMITY

Łukasz Kowalik, Jan Palczewski

Torre Grande, *Rysa Dimai* (V+ OS)
Col Dei Bos, *Alvera* (V+ OS)
Piccolo Lagazuoi, *Via M. Speziale* (VI OS)

Mikołaj Winiarski, Paweł Hałdaś (KWK)

Tofana di Rozes, *Constantini-Apollonio* (VII+, 500 m, OS)
Tofana di Rozes, *Il vecchio leone e la giovane fiona*, (VIII-/VIII 300m, OS)

GORGES DU VERDON

Krzysiek Banasik

L'escales, *Demon* (7a+ FL), z **Agatą Wiśniewską** (KWT)
L'escales, *Le rideaux de Gwendal* (7b+ OS), z **Pawłem Jarosiewiczem** (UKA) i **Adamem Pustelnikiem** (ŁKW)
Prises uniques (7a 1xAF, reszta OS), z **Adamem Pustelnikiem** (ŁKW) i **Maciem Gajewskim**

HOLLENTAL

Mateusz Kluźniak, Michał Sęk

Vordere Klobenwand, *Nix Fur Suderer* (VI+ RP)
Vordere StadlWand, *Welcome to Stadlvan* (VII– RP)
Blehmauer, *King Kong Karl* (VI+ OS)
Rafał Nawrot, Paweł Juszczyński
Grossofen, *Joe Stickler Gedachtnisweg* (VI+ RP)

PATAGONIA

Agnieszka Tyszkiewicz, Marcin Wernik

Fitz Roy, *Supercanaletta* (V+ M6/6+, 80°, 2200 m, AF)
1-3.01.2015, war. zimowe

SPORTGASTEIN

Wojtek Ryczer, Rafał Burczyński

Excalibur (WI4+ OS)

ARCO (Dolina Sarca)

Rafał Nawrot, Paweł Juszczyński

Monte Colodri, *Via Tyszkiewicz* (VII+ RP)
Monte Casale, *Hasta Siempre Comandante* (6b RP)
Monte Colodri, *Barbara* (VI OS)
Piccolo Dain, *Pilastro Massud* (6c RP)
Cima alle Coste, *Destinazione Paradiso* (VII+ A1)

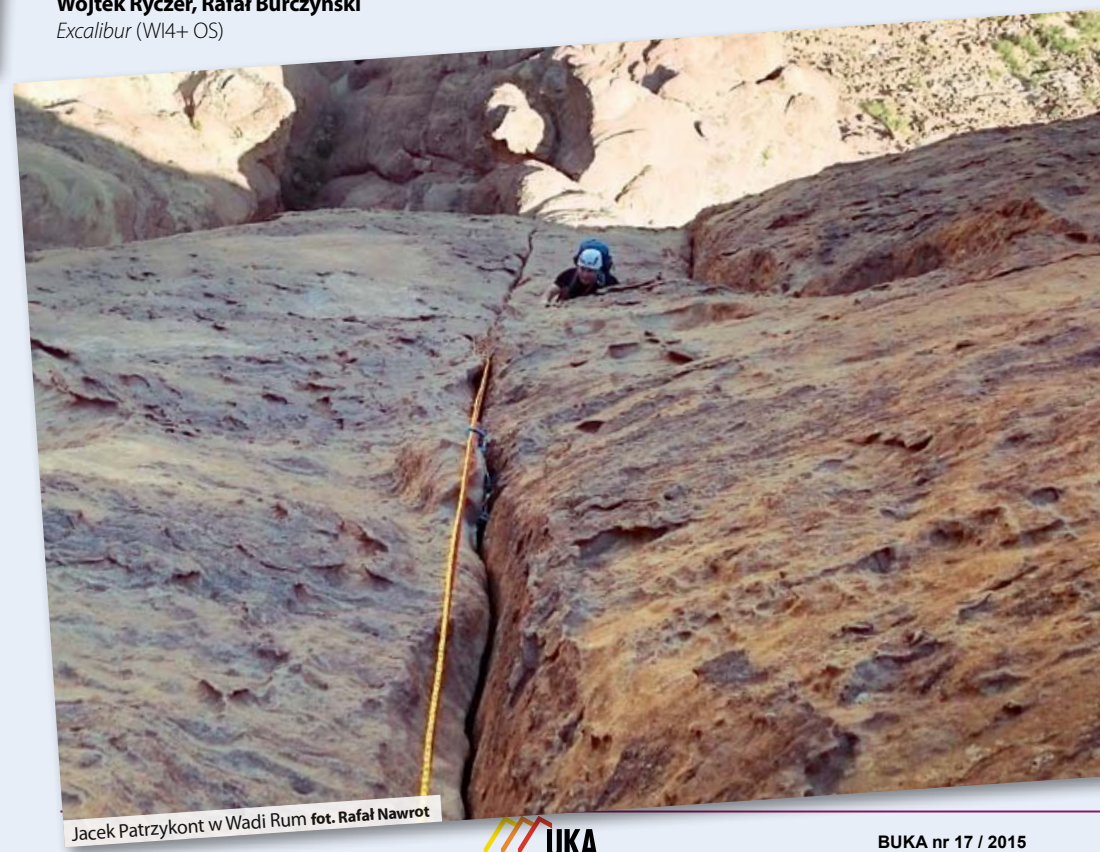
TOULOMNE MEADOWS

Bartek Kurowski, Michał Przybyło (KWW)

Daff Dome, *Crescent Arch* (5.10a OS)
Drug Dome, *OZ + Gram Traverse* (5.10d 1xAF, reszta OS)
Fairview Dome, *Lucky Streaks* (5.10c 1xAF, reszta OS)

Maciej Kowalczyk, Mateusz Zabłocki (KWW)

Daff Dome, *Crescent Arch* (5.10a OS)
Daff Dome, *West Crack* (5.9 OS)
Drug Dome, *OZ + Gram Traverse* (5.10d OS)
Fairview Dome, *Lucky Streaks* (5.10c OS)
Fairview Dome, *Regular Route* (5.9 OS)
Lembert Dome, *Crying time again* (5.10a OS)



Jacek Patrzykont w Wadi Rum fot. Rafał Nawrot



Bartek Kurowski na East Buttress na El Capitanie fot. M. Przybyło

YOSEMITE

Maciek Ciesielski, Czarek Modrzejewski (KWT)

El Capitan, *Free Rider* (5.12 C1, 25 wyciągów klasycznie)

Bartek Kurowski, Michał Przybyło (KWW)

El Capitan, *East Buttress* (5.10b OS)

El Capitan, *The Nose* (5.9 C1, trzy dni)

Half Dome, *Regular Northwest Face* (5.10a C1)

Leaning Tower, *West Face* (5.7 C2F)

Manure Pile Buttress, *Nutcracker* (5.9 OS)

Middle Cathedral, *Central Pillar of Frenzy* (5.9 OS)

Middle Cathedral, *East Buttress* (5.10c RP)

Royal Arches, *Serenity Crack + Sons of Yesterday* (5.10d OS)

Royal Arches + North Dome, *Royal Arches + Crest Jewel* (5.10b OS)

Sentinel Rock, *Steck – Salathe* (5.10b OS)

Washington Column, *South Face* (5.10b C1)

Maciej Kowalczyk, Mateusz Zabłocki (KWW)

El Capitan, *East Buttress* (5.10b OS)

El Capitan, *Salathe Wall* (5.10b C2, trzy dni)

El Capitan, *The Nose* (5.9 C1, trzy dni)

Half Dome, *Regular Northwest Face* (5.10a C1)

Half Dome, *Snake Dike* (5.7 OS), z Sarah Solnit

Manure Pile Buttress, *Nutcracker* (5.9 OS)

Royal Arches, *Serenity Crack + Sons of Yesterday* (5.10d OS)

Sentinel Rock, *Steck – Salathe* (5.10b OS)

WADI RUM

Rafał Nawrot, Jacek Patrzykont

Jebel Rum, *Pillar of Wisdom* (6b 1xA0, reszta OS)

VALLE DELL'ORCO

Krzysiek Banasik, Kuba Borkowski

Sergeant, *Diedro del mister* (6b OS),

Krzysiek Banasik, W.P. Smith

Fornolosa, *Diritto all'Ozio* (6c OS)



Wspinaczka w Dolomitach fot. Łukasz Kowalik

Hiszpanie na Marchand de la Sable, Tour Ronde
fot. Wojtek Ryczer



Dent du Requin o wschodzie słońca
fot. Wojtek Ryczer

GÓRY

CZYTAJ NA
URZĄDZENIACH
MOBILNYCH



dostępne na:



Igraszki z Fickiem

Marcin Wernik



fot. A. Tyszkiewicz

Mia Patagonia fot. M. Wernik

Ładny cel. Poważny. Może Kalifornijska?

W tych warunkach może być trudniejsza. Ale przemyślimy to jeszcze.

Zaczynamy mieć wątpliwości. Nauczyłem się słuchać rad Kuby, prawie zawsze ma rację. Dyskutujemy z Agą co robić, rozsądek podpowiada, że Kalifornijska po ostatnim opadzie śniegu może być niewkaszalna. Ostatecznie rozmowa z patagońskim guru Rolando Rolo Garibottim przekonuje nas, żeby iść na Supercanaletę.

**Kości zostały rzucone,
wychodzimy następnego
dnia.**

★★★

Spadam. Albo raczej zsuwam się po granitowym filarze, starając się z wszystkich sił zatrzymać. Po kilku metrach staję w śniegu. Kurtka puchowa poszła w strzępy. Uspokajam oddech i krzyczę do Agi, że to chyba nie tutaj. Nie mogę znaleźć właściwej drogi. Wariant, który prawdopodobnie przewspinali Amerykanie wygląda na dość ryzykowny. W głowie zaczyna kielkować myśl, że to się może skończyć wycofem. Kiedy po-

★★★

Kilka dni wcześniej

Mail od Kuby: *Jak tam wysunięta placówka UKA w Chalten? Forma skalno-biegacka rośnie? Widziałem, że ma się otworzyć spore okno.*

Okno wygląda na duże, chcemy iść na Supercanaletę.

prawiam sprzęt słyszę, jak coś upada mi pod nogi. Odwracam głowę i widzę jak pożyczony GoPro oddala się w dół. Jak to możliwe? Przecież miałem je w zamkniętej kieszeni? Wściekłość ogarnia mnie całego. Mam dość, pieprzę to wspinanie, zjeżdżamy w dół. Znów wyjdzie, że trzeba było posłuchać rady Kuby. Cofam się do Agi, dyskutujemy co dalej robić. Chwila uspokojenia i podejmuję decyzję, że spróbuję jeszcze raz. Przelamując ogarniający mnie lęk przechodzę wariant Amerykanów, trzymam do samego końca, ale w końcu wychodzę w łatwiejszy teren.

★★★

Drugi dzień wspinania, ostatni wyciąg przed granią szczytową. Powinno być łatwo, ale wyjściowy komini pokryty jest śniegiem o konsystencji cukru. Po lewej mam offwidthową rysę i próbuję się w nią wklinać ramieniem. Stoję na zębach raków chyba tylko siłą woli i rozpaczliwie szukam zaczepienia dla dziabki. Boję się. Czuję, że zaraz mogę rozpocząć niekontrolowany lot w dół, który może się zakończyć źle. Wężowym ruchem przesuwam się o centymetry do góry. Udaje mi się zaczepić minimalnie ostrze czekana ale wiem, że w każdej chwili może wypaść. Znów kolejne centymetry do góry. I znów. Mija wieczność, w końcu wyczerpany wychodzę na grani. Stąd jeszcze tylko

★★★

Patrzę w dół ze szczytu. Schemat pokazuje, że musimy zejść 200 metrów w dół do zjazdów. Wygląda stromo i trudno. Tu muszą być jakieś zjazdy, nie chce mi się wierzyć, że w słabej pogodzie da się tu zejść. Schodzę powoli i szukam, ale nic nie znajduję. Zejście jest trudne, do tego zaczyna bardzo mocno wiać. Po kilkudziesięciu metrach nie wiem dokąd iść. Czekam na Agę. Kiedy dochodzi do mnie, wieje tak, że stojąc od siebie kilka metrów prawie się nie słyszymy. Do tego zaczynam słabo widzieć, czuję ból w podrażnionych słońcem i wiatrem oczach. Ze strachem na ramieniu pokonuję kolejne metry w dół i w końcu znajduję jakąś pętlę zjazdową. Poprawiam stanowisko i ruszamy w dół.

★★★

Wisię na końcu liny jakieś pięć, sześć metrów nad lodowcem. Nie udało mi się dobrać do półki, a lina jednak nie sięgnęła ziemi. Krzyczę do Agi, że jesteśmy „w dupie”. Skacz - słyszę w odpowiedzi. Patrzę w dół i staram się ocenić odległość. Mam świadomość, że po ostatnich opadach śniegu pode mną powinna być miękka zaspas.

**Boję się.
W końcu wypuszczam
prusa i lecę w dół.
Ładuję w miękkim śniegu
i oddycham z ulgą.**



Supercanaleta fot. M. Wernik

Krzyczę do Agi, żeby spróbowała znaleźć jakieś stanowisko po prawej, jednakże przewieszony teren nie daje szans. Z przerażeniem czekam, aż wykona ten sam manewr co ja. W końcu spada w zaspę koło mnie. Udało się, stąd już tylko łatwy teren w dół. Przekopujemy się do grani, którą schodzimy na przełęcz. Jeszcze tylko kilka zjazdów kulałem i w ostatnich promieniach słońca docieramy na lodowiec. W ciemnościach błądzimy po śladach próbując znaleźć właściwą drogę. Co kilkadziesiąt metrów przewracam się w śnieg, to straszliwy ból w plecach od ciężkiego plecaka nie pozwala mi iść. Błądzimy całą noc, ostatecznie nadrabiając drogi do ścieżki, którą podchodziliśmy kilka dni wcześniej.

★★★

Gratulacje. Ja w takich warunkach nie poszedłbym na Supercanaletę – uśmiechnięty Rolo ściska mi rękę. Ale wiesz, ja mam inną sytuację, mam czas i mógłbym sobie wrócić za dwa tygodnie, kiedy warunki będą lepsze. Śmieję się w duchu, że kiedy rozmawialiśmy przed wyjściem to mówił nam, że to dobry cel, najwyżej się wycofamy. Mimo zmęczenia czuję się zadowolony z siebie. Większość wyjść zakończyła się wycofami, a nam się udało. Mimo trudności, mimo przeciwności, wytrwaliśmy do końca. Te dni były magiczne, czuliśmy jak Ficek bawi się z nami pokazując swoją siłę, ostatecznie pozwalając nam cieszyć się szczytem.

★★★

Nasz wyjazd nie odbyłby się bez wsparcia **Polskiego Związku Alpinizmu** i wielu osób, które nam pomogły. Wielkie dzięki, byliście z nami na szczycie!



Na szczycie fot. A. Tyszkiewicz

Agnieszka Tyszkiewicz, Marcin Wernik

Supercanaleta, Fitz Roy, 2200 m.,
trudności przewodnikowe V+, 80 stopni.
Pierwsze polskie przejście, w warunkach zimowych,
trudności do M6/6+, styl kilka razy AF.

UKA-owska Patagonia

Przy okazji sukcesu Agnieszki i Marcina warto wspomnieć, że wśród polskich zdobywców patagońskich turni rejonu El Chalten, jest silna reprezentacja obecnych członków UKA.

Jest się czym chwalić – więc w skrócie:

- ★ spośród 5 polskich wejść na Fitz Roya nasi klubowicze uczestniczyli w 3 (w tym jedyne wejście *Supercanaleta* i jedyne klasyczne – *Franco-Argentino*),
- ★ spośród trzech wejść na Aguja Poincenot drogą Whillansa, członkowie UKA brali udział w 2,
- ★ spośród 2 wejść na Aguja de l'S – w jednym,
- ★ spośród 3 wejść na Aguja Guilaumet – w 2, w tym raz nową drogą,
- ★ nasi klubowicze brali udział w obu wejściach na Aguja Saint-Exupéry- Filarem Buscainiego oraz jedynym dotychczasowym na Aguja Mermoz (nowe warianty)
- ★ z 3 wejść na Cerro Torre, z potwierdzonym wejściem na tzw. Grzyb – w jednym, jednocześnie jedynym zachodnią ścianą,
- ★ spośród 2 wspinaczek na El Mocho – w jednej.

Wśród turni masywu El Chalten nie ma zdobytej przez Polaków turni, której nie zdobyliby także członkowie UKA!

(od red.)

Squeeze babe!

Bartosz Kurowski

King Swing na Nosie
fot. arch. M. Przybyło

– To gdzie idziemy na wspin?
– Może dawaj *Steck-Salathe*, co tam będziemy się czaić.

– No dobra.

Zaglądam do topo. Droga *Steck-Salathe* na Sentinel Rock, lokalny klasyk – sprawdzian umiejętności wspinania w formacjach szerokich i jeszcze szerszych. Lepiej opanuj technikę *squeeze chimney** przed wstawianiem się w tę drogę. Nie wiem co to jest *squeeze chimney*, ale jakem taternik, kominów się nie boję.

– Miki, boje się! – krzyczę na dół, w czeluść. Głośno, jak twardziel. Bardzo mi zależy na tym, żeby mój dialog z partnerem wspinaczkowym był urozmaicony. Dlatego aby nie przynudzać, używam innego zwrotu niż „super czujnie”.

– Dawaj „lapsie”! – Miki okazuje dobre serce i uchyła wrota skarbcza empatii. Komin wyczuwa moje intencje i również zaczyna urozmaicać trudności – teraz odjął mi nieco stopni. Moja dotychczasowa technika polegała na znalezieniu stopnia, wstawieniu tam nogi i „wygięciu” do góry. Dość intuicyjna sprawa. Teraz wszystko skomplikowało się, bo jedyny stopień jaki znalazłem, jest na wysokości głowy. Dla pikanterii – kolejną wpinkę mogę zrobić dopiero po wykonaniu ruchu, a poprzednią jest wielki camalot. Wielki, ale wiele otuchy nie dodający. Wciśnięty w jedynie miejsce,

gdzie dało się cokolwiek włożyć, czyli przewężenie ścian w głębi kominu, hen, hen... nisko. Wolę nie myśleć o locie, ale wizję wessania do środka zwięzającego się kominu i przemienienia przezeń w totalną miazgę i... oj tam, oj tam. Stanie w miejscu do niczego mnie nie przybliży, więc zbieram się na ile mogę, rozpięram i wrzucam nogę na stopień, przyjmując pozycję poziomą. Ach, gdybym miał siły mentalne na wspinaczkę na tarcie w tym momencie! Brnąc jeszcze przez kolejne kryzysy, dostaję się do stanowiska.

Zawsze miałem wrażenie, że po przejściu tak wymagającego wyciągu człowiek powinien dostać nagrodę. Ciasto czekoladowe, miłą towarzyszkę na wieczór albo łatwe „popylanie” do końca drogi. Lecz ta słodka przygoda** nie kończy się i teraz ma nadejść kolejny sprawdzian.

Stajemy teraz pod formacją nazywaną *squeeze chimney*, lecz nie wiemy, a przynajmniej ja nie wiem – ki diabeł. Parafrazując klasyka – „świat cię poznał, lecz ja cię nie poznałem”. Poprzedni, przepastny komin zamyka się sklepieniem, w którym znajduje się kolejny komin, zaledwie na tyle szeroki, aby się doń wcisnąć. Stwierdzam, że jest to fizycznie niemożliwe, dlatego wybieram drogę obejściową na zewnątrz (5.9+***). Jest trudno, przerażająco i pięknie. Rozczułem się: góry rzadko ofiarowują ten dar, ale w tym momencie przedstawiam się na inny poziom przeżywania i mimo, że

przestraszony, jednak bardzo skupiony i czujny, ciągle napieram do przodu. Opuszczam otchlań ze stanowiskiem i gdy wychodzę na krawędź komina, przestrzeń otwiera się ukazując niesamowitą ekspozycję. Wyciąg zapewnia dramatyzm do samego końca. Zero możliwości własnej asekuracji, stare haki, na finiszu spity pamiętające pierwsze przejście – z brakującym ostatnim, dzięki któremu ominęta półka wydaje się nieźnośnie blisko. I jeszcze ręka wyjeżdża niespodziewanie, jeszcze noga wyjeżdża niespodziewanie, lecz do końca utrzymuję pozycję w tej bitwie i wypelzam w końcu na półkę. Leżę dobrych kilka chwil łapiąc powietrze, jak ryba wyrzucona na brzeg, z ustami wysuszonymi na wiór i łomoczącym sercem. To są góry, coś pięknego. Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu¹. Kończymy wspinaczkę przy świetle czołówek, potem dłuższy czas schodzimy kruchym żlebem, który wyczerpuje nasze siły psychiczne do końca.

Na Camp 4 jesteśmy o północy. Jakiś czas później Michał ponownie otwiera wrota do skarbcza empatii i mówi, że wiedział, że będzie przeje****, ale nie chciał mnie peszyć, dlatego nie puścił pary z ust. No i wisienka na torcie. *Descent is not recommended at night*. Również niedoczytane.



Rysy, rysy, rysy fot. B. Kurowski

Ride The Nose

– Stary, ale tu jest friendów wciśniętych do środka, jakby tylko przyjąć z jakimś długim kijem! – słyszę z góry, uderzający w podeksycytowaną nutę, głos Michała.

Siedem chwil później słyszę, że ma stan i jestem wpięty na sztywno, mogę podchodzić. Pozbawiam następców nadziei na darmowy szpej, zgarniam wszystko i napinam linę małpami. Robię kilkanaście ruchów i dopiero wtedy zaczynam rozumieć, skąd takie bogactwo sprzętu w rysie, którą właśnie pokonujemy.

– Miki, rzuć mi drugą linę!

– Co? – odpowiada, jakby nie zrozumiał, chociaż wiem, że mnie usłyszał.

– Rzuć mi drugą linę!

W tym momencie wiem, że Miki również zrozumiał, o co chodzi. Lina, na której podchodziłem, naprężona pod moim ciężarem, wepchnęła do środka rysy dwa tkwiące w niej camaloty. Są zupełnie poza moim zasięgiem, więc nie mogę wyjąć sznurka i pójść dalej, zostawiając je na pastwę czasu. Po nieźnośnie przeciągającej się chwili, druga lina ląduje obok mnie. Przewiązuję się i zaczynam podchodzić do góry i o dziwo – udaje mi się wydostać wszystko z rysy. Ile w tym szczęścia było, przyznacie sami!

*Na skale czarnej, spadającej w morze
stoi mój zamek*

*Oplata go galeria w koronki z białego marmuru
Koronki z białego marmuru?
Koronki z białego marmuru?*

Granatowy całun zmroku powoli otula cienistymi fałdami wznoszący się nad nami monolit. Zaciera się ostrość granitu, a horyzont skraca na długość liny. Połączenie ścian, nie do ogarnięcia nawet za dnia, teraz pozostają jedynie obrazami gdzieś z tyłu głowy. Robimy właśnie ostatnie wyciągi pierwszego dnia wspinaczki na *Nosie*. Osiemnaście godzin za nami. El Cap Tower na wyłączność, księżyc jest srebrny i jego blask niesamowity.

*Chciałem coś pisać (...)
Kiedy wieczorne, niebo migdałowe
sklepi swą kopułę nad miastem*

Kolejny dzień zaczyna się później, niż planowaliśmy. Zmęczenie daje się we znaki i wstajemy dwie godziny później niż przewidywał plan. Michał spoglądając na przebytą drogę zauważa zespół, który nadciąga. Trzeba się zbierać! Zanim jednak ogarniamy się, chłopaki nas wyprzedzają. Planują zrobić *Nosa* w trzynaście godzin. Poranny strzał kofeiny i można wstawiać się do pierwszej z legend dzisiejszego dnia, na legendarnej ścianie, w legendarnych Yosemitech.

King Swing w lewo, *King Swing* w prawo i hulający po nasłonecznionym skale, niczym masywny motyl, tanecznie muskając ciężkimi złotymi granit... udaje mi się złapać wyjściowych chwyty. Zaczę wahadło. I znów ciężkie rzemiosło, przelot za przelotem i oto ichniejszy (amerykański) wielki okap, czyli *Great Roof*. Delikatnie i precyzyjnie Miki przedziera się przez łukowate sklepienie, nie pozostawiając skale złudzeń, że to on, a nie ona, trenuje na Bloco. Legenda numer dwa odhaczona, choć tylko symbolicznie, bo praktycznie to przehaczona. I tak mija wieczór i poranek dnia drugiego.



Great Roof na El Capitanie fot. arch. B. Kurowski

*Nad zrębem planety, pośród gwiazdnej nocy
szereg alefów w nieskończoność pełźnie*

Nie, nie mogę się z tym pogodzić! Spadła, odleciała w czeluść. Największe tragedie, pomyłki, często dzieją się właśnie przez roztargnienie. I teraz popełniam błąd nieuwagi, który tyle będzie mnie, a właściwie nas, kosztował. Zrzuciłem zapalniczkę z 700 metrów. Nie będzie kawy, nie będzie tej czarnej, smolistej rozkoszy, która rozlewa się po podniebieniu i niczym wojenny okrzyk pobudza do walki. Zaciskam pięści w gniewie, lecz jednak usta drżą z rozpacz. Dla dodania otuchy śpiewam dalej.

*I nieskończoność unieskończoniona
zawiera sama w sobie przez siebie zdradzona
kłęby, kłęby, kłęby tytanów
i rogaty, i rogaty widma
sypią, sypia, sypią gwiazd roje w wydarte otchłanie
myśl w własne wątpia zapuściła szpony
i gryzie siebie sama w swej własnej otchłani*

Czujemy nadchodzący koniec przygody. Biorę na siebie *Changing Corners*, niesłychanej jakości granitowy kant i zacięcie, o idealnej, czystej geometrii, jakby diamentowym ostrzem wycięte ze skały. Klasycznie jest to techniczny majstersztyk, wyceniany – wysoko. Michał pokonuje końcową drabinę boltów i wyprowadza nas na wierzchołek. Coś się kończy, coś się zaczyna. *Nos* za nami.

*Hop, hop, hop szklanek piwa
hop szklanek piwa hop!*²

Itepe, Itepe, Itepe

Dwa miesiące zajęła nam ta yosemicka przygoda, wrzesień-listopad Anno Domini 2014. Dla zainteresowanych, wykaz przejść znajduje się parę stron wprzód lub nazad.

Wyjazd dał nam wiele. Było wspinanie, walka, zwycięstwa, porażki, zmęczenie, strach i ciekawość, i nuda. Było piwo na Camp 4, setki ludzi z wielu krajów. Wielka lekcja, która przemieniła nas w *Yosemite Monkees*. Na pożegnanie dostaliśmy w kość od rysy za VI+. Zatem do zobaczenia?

*Szczegóły przejść Bartka i Michała
w Podsumowaniu na str. 84*

Przypisy

* komin, w który ledwo można wejść i w którym należy pęłać, najczęściej do góry. Poniżej cię jako (jurajskiego) wspinacza jedynie nieco mniej niż przerysa.

** horror

*** 5.9+ to relikw przeszłości, która oferowała jedynie skalę trudności do 5.9. Jak mówi legendarny yosemicki wspinacz Miki – „Stary, 5.9 to może być cokolwiek” – zdecydowanie należy się przygotować na walkę. Ponoć istnieje droga 5.9+++.

**** bardzo, bardzo trudne

¹ To akurat napisał Mickiewicz

² W tekście wykorzystałem tekst Witkacego, raz. W górach wykorzystywałem go podwójnie i do tego wielokrotnie. Jako tekst Witkacego – oraz jako utwór Grechuty, całość wykonywana przeze mnie w obecności niewzruszonych bloków z granitu. Ponoć potem był jakiś obryw.



Obowiązkowe foto z *Nosem* w tle fot. arch B. Kurowski

"You're the reason I'm travelling on..."*

Maciej Kowalczyk



Świnia nareszcie z nami fot. M. Kowalczyk

* Bob Dylan

Maciej Kowalczyk
w Toulomne Meadows
fot. Brian Prince

Camp 4

Wyjazd nie zaczyna się najlepiej, gdzieś w drodze między Warszawą i Los Angeles linie lotnicze gubią mój bagaż. Następnego dnia z ulgą odbieram wypchaną po brzegi pożyczonym sprzętem plecak nie przezuwając, że to dopiero początek naszych perypetii.

Kilka dni później docieram na legendarny Camp 4 wraz z kolegą z Polski, który spędzi w Dolinie tylko kilkanaście godzin. Jest początek września, więc oficjalnie każda osoba może spędzić tu tylko tydzień¹. Ameryko, poznaj polski spryt! Już za chwilę rozbijam swój namiot jako Piotr Ciąčka, chwalać się przy tym w duchu swoją diabelską przebiegłością.

Mati dojeżdża dopiero za kilka dni, więc zastanawiam się czy znajdę na ten czas partnera. Moje wątpliwości rozwiewają się w trakcie rozmowy z pierwszym napotkanym mieszkańcem kempu:

– Cześć, jestem Maciek, będę mieszkał zaraz obok was.

– Cześć, Andy – młody Australijczyk podaje mi dłoń – masz się z kim wspinać?

Camp 4 ze swoim totalnie międzynarodowym towarzystwem i bardzo luźnym, nam, Polakom trochę obcym podejściem do wspinania jest miejscem niezwykłym. Tych, którzy bez ruszania się z domu chcieliby poczuć atmosferę tego najśłynniejszego wspinaczkowego obozowiska, odsyłam do świetnego opowiadania Jarka Mazura, który swoim spojrzeniem jak zwykle trafia w sedno². Trzeba jednak dodać, że Camp 4 nie jest już takim miejscem jak dawniej. A przynajmniej nie jest miejscem, którego wizję stworzoną na podstawie niezliczonej liczby zasłyszanych i przeczytanych yosemickich bujdałek, przywieźliśmy ze sobą z kraju. King Cobra nie kosztuje 63 centy. Ba! Nie jest nawet najtańszym piwem! Procentowa zawartość THC w powietrzu otaczającym namioty nie jest wyższa od zawartości azotu, a miejsce szalonych libacji przejęła pilnowana przez legitymujących (!) strażników cisza nocna. Aha, i nie spotkaliśmy Bridwella.

Świnia

– Stuchaj Maciek, sprawa się trochę skomplikowała, bo zabrakło dla mnie miejsca w samolocie...

Mateusz szybko mnie uspokaja, że już zmieniono mu bilet i przybędzie do San Francisco kilka godzin później, a w zamian otrzyma 300 Euro rekompensaty. Niestety po przylocie dowiadujemy się, że jego bagażu nie ma. Stres jest nam jednak obcy – mój bagaż znalazł

się przecież bardzo szybko, a poza tym jak na studenta fizyki przystało, z łatwością obliczyłem ile puszek Cobry można kupić za te 300 euraczy. Mati zostawia więc tylko pracownikowi Lufthansy swój numer telefonu oraz nasz stały adres zameldowania na następne 1.5 miesiąca: Camp 4.

Trzy dni później wiemy już, że sytuacja nie jest najlepsza – nikt, włącznie z prezesem Lufthansy nie ma bladego pojęcia, gdzie jest nasza świnia Montano. Wór faktycznie należy do nas, ale jej zawartość: cały arsenał pożyczonych camów i alienów – już niestety nie. Z każdą chwilą jesteśmy coraz bardziej zdesperowani – szpeju nie ma, a my i tak będziemy tu przez kolejnych 6 tygodni. Sprzęt przed wyjazdem podzieliśmy na dwie części: ja wziąłem wszystkie mechaniki do wielkości 0.75 BD, a Mati resztę. W naszych głowach pojawiają się zatem dwie opcje: albo wkosimy wszystkie rysy na palce w okolicy, albo zgłosimy się na ochotników do pracy w McDonald's, żeby spłacić zgubione graty...

Piątego dnia nasz bagaż się znajduje, jednak ze względu na zbyt dużą odległość dzielącą San Francisco International Airport od naszego namiotu Hannah, Lufthansa decyduje się na wysłanie go drogą lotniczą do najbliższego lotniska we Fresno. Niestety ten chytry pomysł zaoszczędzenia na czasie nie do końca wypala, ponieważ nasza świnia ginie po raz drugi. Wydaje się, że gorzej już być nie może: nastroje siadły zupełnie, a na kempie co chwila ktoś nas pyta o zgubę i widząc nasze smutne miny klepie po ramieniu: *Don't worry guys!* Jedyną niewspółczującą nam osobą jest tu chyba tylko Pinky – ponura rangerka, która niczym yosemicki cerber pilnuje, żeby do obozowiska nie zakradł się żaden niezarejestrowany rzezimieszek.

Po siedmiu dniach od meldunku Piotr Ciąčka musiał spakować swoje manatki i opuścić Dolinę. Jego miejsce miał na kolejne siedem dni zająć Mateusz Zabłocki, a następnie Maciej Kowalczyk legalnie rezydując na Camp 4, aż do okresu wydłużonego pobytu. Nasz chytry, w Polsce jeszcze obmyślony plan niestety nie zakładał jednej zaskakującej okoliczności. Mniej więcej dwie godziny po rejestracji Matiego i przeniesieniu namiotu na nowe miejsce przychodzi do nas Pinky:

– Hej panowie, co to za ściemnianie? Przecież mieszkanie tu obaj już od tygodnia, co?!

Jesteśmy zdruzgotani – chłopaki mówili, że na kempie można kantować aż miło i nikt nie zwraca na to uwagi!

– Dobra, zbierajcie swoje graty i wyjazd. Nie chcę was tu widzieć przed piętnastym. A ty – swój wzrok wraz ze wskazującym palcem kieruje w moim kierunku – a ty Ciąčka pokaż mi teraz swoje ID...

¹ Limit pobytu wydłuża się o 3 kolejne tygodnie począwszy od 15.09.

² Maile spod krawędzi, BUKA nr. 12.

Cóż, chyba dopiero teraz gorzej być nie może – świnia przyjdzie przecież do Doliny, a my mamy kilka naciąg godzin na jej opuszczenie. To już przesada! Nagle w całym dotychczasowym absurdzie tego wyjazdu – w jednej chwili nagłego olśnienia i przeblasku intuicji – już wiem z całą pewnością, że bagaż na pewno jeszcze dzisiaj się odnajdzie.

Dzień później, u kresu wytrzymałości psychicznej w ciągłym stresie staramy się ukryć przed Pinky i modlą się idziemy po raz setny spytać czy dotarła upragniona przesyłka. Na szczęście nasze błagania zostają wysłuchane – kilka godzin później stoimy już na poboczu trzymając wyciągnięte kciuki i kartkę, której krótka treść wskazuje nasz cel na kolejny tydzień – Tuolumne Meadows.

Wyścig

Powrót do Doliny zaczynamy od narodowej poranki – o poranku przychodzimy do budki strażników

Klasyczne ujęcie a'la Royal Robbins fot. M. Kowalczyk



i uśmiechając się do naszej znajomej rangerki, prawdopodobnie jako jeden z pierwszych polskich zespołów legalnie się obaj rejestrujemy. Chryste, gdyby tylko Bridwell to widział...

Czasu nie zostało nam dużo, dlatego od razu rozpoczynamy plan realizacji swoich marzeń i konfrontacji z mitycznymi ścianami, które rozpalały naszą wyobraźnię, od kiedy pierwszy raz je ujrzeliśmy na kartach starych wspinaczkowych periodyków. Rozgrzewamy się na pięknym Half Dome i zaczynamy pakować świnie na Nosę! Na pierwszej drodze odrobinę dokuczał nam tłok, dlatego postanawiamy, że moment startu w najsłynniejszą drogę świata nie może być przypadkowy i nieprzemyślany. Chcemy go zsynchronizować z premierą długo wyczekiwanego filmu o wspinaniu w Dolinie: „Valley Uprising”, która ma się odbyć w miejscowym kinie. Zaznajomieni z obrazkiem stereotypowego, nastawionego na konsumpcję Amerykanina gorąco wierzymy, że kiedy wszyscy będą się zażerać popcornem przed srebrnym ekranem, my tymczasem radośnie wyruszymy na poszukiwanie przygody w całkowicie opustoszałej ścianie. Plan zachwyca nas swoją prostotą i jednocześnie pewnością sukcesu, ale to przecież nic dziwnego – przecież nie od dziś wiadomo, że *nie masz cwaniaka nad Warszawiaka*...

Wszyscy na Camp 4, z którymi rozmawiamy o drodze sugerują, żeby tak jak czyni to większość pierwszego dnia zaporęczyć do tzw. *The Sickie Ledge*. Zaporęczyć?! A czy to są, przepraszam Himalaje? A nawet jeśli, to w nas płynie ta sama krew, co w żyłach Kurtyki! *Dude*, nie wiem jak w Kalifornii, ale na Mazowszu styl już dawno stał się obsesją!

Po minięciu *The Sickie* napotykamy na zator utworzony przez kilka innych zespołów, które podobnie jak my nie w ciemę bici zastosowali taktykę „na kino”. Co więcej postanowili ją połączyć z bezlitosną akcją o kryptonimie „Poręcz”, dlatego nasz biwak pod ścianą oraz start o świcie nie pozwolił na zdobycie tak ważnej w tym wyścigu *Pole Position*...

Już dobrze po zmroku dochodzimy jako ostatni zespół – odpowiednio siódma i ósma osoba - na *good bivy for two*, czyli *Dolt Tower*. Mateusz zjeżdża kilkanaście metrów na małą półkę nadającą się tylko do siedzenia, a ja ze zdziwieniem, na końcu *Dolt*, znajduję wypłaszczenie o rozmiarach pozwalających na swobodne wyciągnięcie zmęczonych kości. Kiedy rozkładam posłanie, toaletowy aromat dobitnie uświadamia mi, dlaczego to miejsce jest wciąż wolne. Eh, ta cholerna sztuka cierpienia!

Kolejny dzień wspinanie upływa nam na wiecznych kolejkach i rzucanych pod nosem przekleństwach. To nie tak miało być! Powoli zaczynamy się za-

stanawiać nad sensownością wspinaczki po tak pięknej drodze w tym beznadziejnym tłoku, no nic – to trzeba zrobić i tyle! Przy obecnym tempie drugi biwak ma przypaść na *Camp 4*³ – ciekawe jak tym razem wszyscy pomieścimy się na *poor bivy for two*? Niestety nie dane jest nam się o tym przekonać – napotkani wyciąg niżej Włosi informują nas, że półka jest całkowicie zajęta, a nad nią wisi portal. Cóż, nie pozostaje nam nic innego jak tylko znaleźć choć skrawek płaskiej powierzchni i przygotować się na upojną noc, w tym samym co dzień wcześniej ośmiuosobowym towarzystwie na *bivy for one*. Przed pójściem spać postanawiamy raz jeszcze zaskoczyć wszystkich swym narodowym sprytem i hartem ducha wstając o trzeciej rano. Niestety dźwięk palnika budzi pozostałe zespoły, które widząc co się święci błyskawicznie rozpoczynają przygotowania. *Nie ze mną te numery Brunner!* Zarzucam szpejarkę jednocześnie kończąc kanapkę i starając się jak najszybciej dopić wrzącą herbatę. Po chwili startuję i cieszymy się z wysnionej żółtej koszulki lidera, której nie oddajemy już do końca tego big wallowego wyścigu znanego pod nazwą *The Nose*.

Artur

Dochodzę do ostatniego stanu *Salathe Wall*: auto, lina na sztywno i szybko holuje lekką już teraz świnie. Zanim Mateusz wymalpuje, mam wolną chwilę, podczas której nie muszę robić nic.

3 Chodzi tutaj o jedną z biwakowych półek na Nosie, która została ochrzczona tak, jak obozowisko na dnie doliny.

Wpatruję się w yosemicką noc i nagle czuję, że to już koniec naszej przygody. Że już czas wracać do domu.

Budzimy się rano i przybijamy jeszcze jedną piątkę.

– Ale git, że się udało!

– A co miało się nie udać skoro Artur szedł z nami?

– Artur?! Jaki Artur?

– Stary, nie pamiętasz swojego snu?

– ...

Trzy dni wcześniej próbujemy z trudem zasnąć na polanie pod El Capem. Myślimy o czekającej nas drodze, a mrugające w pokrytej mrokiem wielkiej ścianie czołówki, napelniają nas jeszcze większym niepokojem. Budzimy się jeszcze przed świtem i Mateusz, jak się okazało jeszcze nie do końca przytomny, zaczyna opowiadać:

– Stary wiesz co mi śniło? Zasypiamy na polance, patrzymy na te cholerne czołówki i układamy sobie w głowach, jak to wszystko pójdzie. Trochę się boimy. I słuchaj, przychodzi nagle do mnie Hajzer i mówi: Chłopaki po co te nerwy? Nie ma się co bać – pójdę na tę drogę z wami...

Chcielibyśmy podziękować Polskiemu Związkowi Alpinizmu oraz Fundacji Kukuczki za wsparcie finansowe, natomiast Andrzejowi Szypowskiemu i Marcinowi Wernikowi za powierzenie nam całej góry swojego sprzętu. Dzięki!

Przejścia Maćka i Matego w **Podsumowaniu** na str. 84



Salathe Wall
fot. Mateusz Zabłocki

Nowy Zarząd Klubu

25 marca 2015 odbyło się kolejne Walne Zgromadzenie członków UKA, tym razem na boulderowni CRUX. W głosowaniu niejawnym wybrano nowe władze Klubu. Prezesem, po raz drugi z kolei, a po raz trzeci w historii, wybrany został **Marek Kaliciński**.

Do Zarządu weszli także **Agnieszka Tyszkiewicz, Joanna Skurzak, Bartosz Jarosiewicz, Mateusz Kluźniak, Łukasz Korzeniewski, Zbyszek Warakowski i Marek Wierzbowski**.

Członkami Komisji Rewizyjnej zostali **Michał Łodziński, Arek Koszek i Karol Sulej**. Na koniec wybrano delegatów na Walny Zjazd PZA.

Pucharowa dominacja

Jak co roku, nasi koledzy zaprezentowali bardzo wysoką formę w zawodach cyklu Pucharu Polski, zarówno w boulderingu, jak i w prowadzeniu.

W tej pierwszej dyscyplinie **Kuba Główka** zakończył rywalizację na drugim miejscu. W prowadzeniu **Szymon Łodziński** uplasował się na najwyższym stopniu podium, a trzecie miejsce zajął **Stefan Madej**.

Wyniki Kuby, Szymona i Stefana, oraz kilku innych kolegów sprawiły, że nasz klub w klasyfikacji zespołowej znalazł się na drugim miejscu – tak w prowadzeniu, jak i w boulderingu, ustępując jedynie KS Koronie Kraków.



Maciek, Szymon i Stefan – pucharowa reprezentacja
fot. Stefan Madej

Wyjazdy klubowe

W dniach 20-23 marca 2014 odbył się **Zimowy Weekend Integracyjny** w Dolinie Białej Wody. Co prawda w niższe partie doliny zawiata już wtedy wiosna, a lodospady były niemalże wytopione, jednakże klubowicze nie próżnowali aktywnie poszukując alternatywnych celów wspinaczkowych i narciarskich. Ich łupem padły między innymi Widłowa Szczerbina, Polski Grzebień, Czerwona Ławka oraz Lodowa Przełęcz. Kapryśna pogoda o mało nie przeszkodziła w organizacji **obozu letniego** w Chamonix. Prognozy zapowiadające opady praktycznie w całej Europie nie napawały optymizmem. Udało się jednak wygospodarować cztery dni wspinaczkowe. W sumie przez obóz przewinęło się ponad 20 osób, które w różnych zespołach dokonały szeregu niezłych przejęć.

Nagroda UKA im. Łukasza Wajsa AD 2014

W tym roku Kapituła przyznała następujące nagrody i wyróżnienia: nagrodę główną w wysokości 700 zł otrzymał **Szymon Łodziński** za pokonaną w znakomitym stylu OS drogę *Priez pour nous* (8b), oraz w uznaniu doskonałych występów na zawodach rangi Pucharu Polski. Cztery wyróżnienia (każde w wysokości 300 zł) otrzymali:

1. **Stefan Madej** za bardzo dobre przejścia w polskim wapieniu, w tym legendarnego *Tyranozaurusa Rex* (VI.7), a także dużą liczbę dróg powyżej VI.6.
2. **Maciek Bukowski** za znakomite przejścia w skałach, w tym swoje pierwsze 8a OS i drugie 8c RP.
3. **Maciek Kowalczyk i Bartek Kurowski** za bardzo ciekawe zestawy przejść w Dolinie Yosemite, w różnych zespołach, m.in. *Nosa* (obaj) i *Salathe Wall* (Maciek) na El Capitanie, *Regular Route* na Half Dome (obaj). Szczegóły w *Podsumowaniu* na str. 84.

IV Bieg ŻUKA

4 czerwca na żoliborskiej plaży spotkali się zawodnicy, którzy wystartowali w kolejnej edycji biegu ŻUKA. Tym razem zawody składały się z elementów przełajowych w nadwślańskich zaroślach oraz biegu na orientację wokół Cytaдели. Wystartowało 22 zawodników i zawodniczek. Najszybszym wśród panów został **Kasper Zalewski**, który wyprzedził **Kubę Radziejewskiego**, zaś wśród pań triumfowała **Agnieszka Kostrzewa** pozostawiając za plecami *ex aequo* **Gosię Czeczott i Olę Pucek-Mioduszewską**. Serdeczne podziękowania za organizację imprezy należą się **Mateuszowi Mioduszewskiemu**. Całość wpływów z tytułu opłat startowych przeznaczona została na Fundusz Berbeki.

Klubowe zawody wigilijne

Wigilia Klubowa UKA odbyła się 12 grudnia w boulderowni Crux. Imprezę tradycyjnie rozpoczęły przebiegane zawody. Tym razem zawodnicy mieli do wyboru dwa motywy: „Wspinacz Egzotyczny” oraz „Prohibition in Warsaw”. Również tradycyjnie o zwycięstwie decydował skomplikowany algorytm uwzględniający efektywne pokonanie skonstruowanych przez **Stefana Madeja i Bartka Jaroszewicza** problemów oraz efektowne przebranie. Zwycięzcą wśród panów został **Kuba Tkaczuk**, a nagroda za najlepsze przebranie powędrowała do **Wojtka Bryszewskiego**. Wśród pań tytuł obroniła **Marta Czajkowska**, przy okazji zgarniając także nagrodę za najlepiej przebraną zawodniczkę.



Marta Czajkowska – zwyciężczyni w obu kategoriach
fot. Marcin Matejczuk



Wojtek Król Julian Bryszewski – Najlepiej przebrany wspinacz fot. Marcin Matejczuk

Na zapleczu ekstraklasy też nieźle

Nie tylko zawodowcy poczynają sobie śmiało na pucharowych arenach. W ciągu minionego roku odbyły się dwie edycje przeznaczonych dla amatorów Warszawskiej Ligi Boulderowej. W pierwszej edycji, rozegranej w listopadzie i grudniu 2014, triumfował **Łukasz Dadlez**, zaś w drugiej – obejmującej trzy soboty od 7 do 21 lutego 2015 – najlepszy okazał się **Marcin Suchar**. Z kolei, w rozegranych przed momentem zawodach dla sportowców (21.03) – BLOCO MASTERS – trzecie miejsce zajął **Kuba Jodłowski**.



Marcin Suchar – zwycięzca II edycji WLB
fot. Szymon Aksienionek

UKA partnerem Biegu Ultra Granią Tatr

Po rocznej przerwie do kalendarza górskich imprez biegowych wraca **Bieg Ultra Granią Tatr** (15.08). Miło nam poinformować, że UKA został jednym z partnerów imprezy. Zawodnicy będą mieli do pokonania 71 kilometrów oraz +5000 m/-4900m przewyższeń.

Gorąco zachęcamy wolontariuszy do pomocy przy organizacji imprezy, a kibiców do aktywnego wspierania naszych klubowych kolegów na trasie biegu! Wśród startujących będzie silna reprezentacja UKA!

Konkurs fotograficzny UKA 2015

W tym roku tradycyjnie zdjęcia wybieraliśmy w trzech kategoriach, natomiast w odróżnieniu od poprzednich lat, nagrody przyznano tylko jednemu zwycięzcy w każdej z nich. Taki przynajmniej był plan, gdyż demokracja spletała małego figla i w kategorii Zdjęcie krajobrazowe zwycięzców było aż dwóch. Pierwsze miejsce *ex equo* otrzymał **Piotr Białas** za zdjęcie *Nad chmurami* oraz **Stefan Madej** za fotkę *Pod Wiszącą Skalą*.

W pozostałych dwóch kategoriach zwyciężyły również zdjęcia Stefana. W kategorii Zdjęcia okółowspinaczkowego najwięcej głosów otrzymało *Tymczasem w podparyskim lesie...* zaś w kategorii Zdjęcia wspinaczkowego wygrał *Mamut* (zdj. na str. 33).

Wszystkie zdjęcia biorące udział w konkursie można obejrzeć w galerii na www.uka.pl.



Zdjęcie krajobrazowe, I miejsce – Piotr Białas
Nad chmurami



Zdjęcie krajobrazowe, I miejsce – Stefan Madej
Pod Wiszącą Skalą



Zdjęcie okółowspinaczkowe, I miejsce – Stefan Madej
Tymczasem w podparyskim lesie...



hoża51
CRUX
www.crux.boulder.pl
www.facebook.com/crux.hoja51
Tel: 536 22 18 78

Daleko od szosy lata 2013-2015

Mateusz Żulu Mioduszewski

Trening Asi Kamer na Babiej Górze
fot. Jarek Kamer

100

Poniżej znajdziecie podsumowanie biegowych wybryków członków naszego Klubu i zapis wirtualnego zgrupowania, które mogłoby mieć miejsce podczas unifikacyjnego obozu biegowej kadry UKA. Na pewno nie jest to zestawienie kompletne, a skład kadry jest częściowo dziełem przypadku. Niemniej jednak, da Wam pewien wgląd w to, kto i po co w UKA biega. Jeśli ktoś z was chciałby w przyszłości dostąpić zaszczytu reprezentowania naszego Klubu, należy bardziej obnosić się ze swoimi biegowymi sukcesami. Wtedy na pewno selekcjonerzy kadry zgłoszą się do Was sami, a o Waszych osiągnięciach z przyjemnością napiszemy na łamach naszej kochanej BUKI.

Tytuł niniejszego podsumowania mówi nam wszystko o tym, co zostanie podsumowane. Nie będę skupiać się na nudnych asfaltowych zawodach. Są one tym dla biegania, czym panel dla wspinania – narzędziem treningowym. Znajdziemy oczywiście osoby, które całą duszę oddały bożkowi szosy i pędzą (nie wiadomo po co) za kolejnymi życiówkami na wymaganych dystansach piątki, dychy, połówki i maratonu. Na szczęście, biegający wspinacze nie znajdują się

w grupie bezpośredniego ryzyka opętania asfaltem. Wracając do porównania ze wspinaniem, omówię tutaj biegowy alpinizm, czyli biegi górskie, i biegowe wspinanie na własnej, czyli biegi na orientację (BnO).

Biegi górskie to kwintesencja przyjemności, jaka płynie ze sprawnego i szybkiego poruszania się w ukochanym dla nas środowisku. Jest to gałąź biegania, która jako jedyna ma część wspólną z naszym wspinaczkowym rzemiosłem. Jak bowiem odróżnić, z punktu widzenia przeciętnego biegacza i wspinacza, wyczyn taki jak bieg (wspinaczka?) Kiliana Jorneta z Courmayeur przez szczyt Mont Blanc do Chamonix Granią Innominaty (1000m, D+, V+, 60") od rekordowo szybkich wspinaczek (wbiegnięć?), w jakich gustuje Ueli Steck (np. Eiger drogą Heckmaira w czasie 2h47min czy Matterhorn drogą Schmidta w 1h56min).

BnO to z kolei bardzo ciekawa część biegowego tortu. Porównanie ze wspinaniem na własnej nie jest przypadkowe. W obu dziedzinach arcyważny jest element gry umysłowej. Nie liczy się tutaj wyłącznie czysta i brutalna moc przedramion (wspinanie) i łydek (bieganie). Często, teoretycznie słabszy fizycznie za-

wodnik może dokopać silniejszemu, wykorzystując siłę najważniejszego z „mięśni”. W obu przypadkach idealne połączenie siły fizycznej i czystego umysłu równoznaczne jest z osiągnięciem poziomu co najmniej trzeciej klasy sportowej.

A konkretnie?

Zacznijmy od poczyniń plci pięknej. Bardzo cieszy fakt, że coraz więcej naszych zawodniczek próbuje sił w biegach górskich. Pod koniec 2013 roku pierwsze szlify zdobyły **Asia Kamer** i **Aga Tyszkiewicz**. Obie zadebiutowały podczas **Maratonu Beskidy**, który odbywa się w Radziechowach w Beskidzie Śląskim. **Gosia Gogo Czeczott**, dla której bieganie po górach to nie pierwsza, w tym samym roku uczestniczyła w **Biegu na szczyt Pilska** i **Chaszczo** w Zawoi (biegu na Babią Górę).

Rok 2014 był bardzo owocny dla wszystkich dziewczyn. Asia rozpoczęła sezon z przytupem i na **Półmaratonie Mustanga** w Beskidzie Wyspowym wywalczyła wysokie czwarte miejsce w kategorii kobiet (KK) i przy okazji – pierwsze w swojej kategorii wiekowej (hasło przewodnie tej imprezy to: „biegacz to nie ten, kto szybko biega, to ten, który nie ustaje w biegu”).

Tyszkiewicz i *Gogo* zaliczyły w czerwcu **Bieg Sokoła** w Tatrach. W tym samym miesiącu wspólnie ukończyły **Bieg Rzeźnika** w Bieszczadach (78 km), w którym wywalczyły rewelacyjne trzecie miejsce w KK (12h21min). Aga powiedziała, że początkowo sceptycznie podchodziła do idei biegu partnerskiego, ale po jego ukończe-

niu zmieniła diametralnie zdanie. Według niej, przewagą tej imprezy nad innymi jest właśnie taka konwencja.

Bieg Rzeźnika ukończyła również Asia wraz z bratem (13h20min) i **Joanna Mostowska** z partnerką (13h56min). Asia powiedziała mi, że ta impreza nie była dla niej tylko imprezą sportową, była bardziej przygodą i spotkaniem rodzinnym w miłej okolicy. Podobnie jak Aga, zachwalała napieranie w parach, porównując je do wspinania w zespole, wymagającego skupienia uwagi nie tylko na sobie, ale i na partnerze.

Kolejne zawody ukończone przez Agę to **Chudy Wawrzyniec** (85 km w Beskidzie Żywieckim). W październiku z kolei Joanna zaliczyła udany start na krótszym (70 km) dystansie **Łemkowyna Ultra Trail** w Beskidzie Niskim, Aga zaś dokonała udanego wycofu na 82 km długiej (150km) trasy tego samego biegu. Wycof miał miejsce z powodu trudnych warunków (mokro, zimno, morze błota) i braku doświadczenia w bieganiu tak długich dystansów. Jednocześnie nasza zawodniczka zachwala bezkonkurencyjną organizację imprezy i niesamowity klimat jesiennego Beskidu Niskiego. W listopadzie Aga przypieczętowała sezon powtórным startem w **Maratonie Beskidy**.

W podsumowaniu działalności dziewczyn brak startów w BnO. Prawdopodobnie nie zasmakowały jeszcze w tej biegowej grze. Wyjątkiem jest oczywiście Gosia, która jest bez dwóch zdań klubową prekursorką napierania z mapą. Można – i należy – przypomnieć jej super relację z przygotowań i startu w setce na orientację pt. „Prawdziwe życie zaczyna się po setce (podobno...)” (BUKA nr 13).

101



Uczestnicy najważniejszego biegu tej części Europy (IV edycji ŻUKA) fot. Z. Stankiewicz

A co u Panów?

Męska część UKA, z racji ewolucyjnych predyspozycji do gania za zdobyczą wszelaką, szeroką ławą ruszyła na start biegów górskich i na orientację. Podobnie jak u dziewczyn, tak i u chłopaków rok 2013 był przełomowym, jeśli chodzi o liczbę osób, które zasmakowały górskiego ścigania.

Kuba Radziejowski zadebiutował w Tatrach (**Bieg Mardulę** w czerwcu). Tak mu się spodobało, że wkręcił się po uszy. W tym samym biegu swój górski debiut zaliczył również **Piotrek Kobierski**. W 2013 roku Kuba wystartował jeszcze w **Maratonie Gór Stołowych** (MGS) i **Biegu Ultra Granią Tatr** (BUGT), w którym wykrcił super wynik: 11h37min (14. miejsce OPEN). Piotrek pobiegł zaś w **Maratonie Karkonoskim** i **Tatrzańskim Biegu pod Górę** (czyli na Kasprowy). Nieco górskiego powietrza łyknął również **Mateusz Żulu Mioduszeński** (**Bieg Rzeźnika** w 10h53min i **BUGT**).



Jarek Kamer na Goral Marathonie
fot. arch. M. Mioduszeński

Rok 2014 to dla Kuby dwa starty: **Transjura** (170km, +3600m, 2. miejsce, w czasie 23h10min) w lipcu i **Allgau Panorama Marathon** (Niemcy) w sierpniu (69km, +3000m, 14. miejsce OPEN, w czasie 7h57min). Transjura w wykonaniu Kuby to chyba najlepsze/najważniejsze biegowe osiągnięcie klubowe wszechczasów. Kuba mówi, że to największa masakra fizyczna, jaką sobie zafundował w życiu. Twierdzi, że nienajlepiej się przygotował (jedno wybieganie 36 km, poza tym kilka 25km) i w efekcie od 130 km poruszał się wyłącznie dzięki głowie, bo nogi zostawił gdzieś na stacji pośredniej. Bieg był bardzo trudny, nie tylko ze względu na długość i słabe oznaczenie, ale momenta-

mi także kiepską trasę i konieczność wielokilometrowego przedzierania się przez krzaki i pola. No i na okrutny upał.

Piotrek rok 2014 zamknął dwoma maratonami górskimi (**MGS** i **Maraton Karkonoski**) i pierwszym ultra (**Bieg Rzeźnika** w 10h48min). Ten ostatni zaliczył również, po raz nie wiadomo który, nestor górskiego napierania **Andrzej Piotrowski** (11h20min). Co ciekawe, partnerem Andrzeja był **Janek Nyka**, którego ojcem jest – znany każdemu tatromaniakowi – **Józef**, autor zdjęcia zdobiącego okładkę tejże BUKI.

Jak zwykle, ciekawe przygody zapewnił sobie **Marcin Wernik**. Jego najważniejszy start nie był biegiem górskim, ale górskim triathlonem. Marcin wystartował w pierwszej edycji **Karkonoszmana**: pływanie 1,9 km w Jeziorze Leśniańskim, rower 90 km z prawie 2000 m przewyższenia i bieg z Karpacza na Śnieżkę. Wcześniej odnowiła mu się kontuzja łydki i nie był w stanie dobrze się przygotować. Co więcej, jego stara, wysłużona szosówka nie bardzo nadawała się na górskie podjazdy. Na szczęście, zawody udało się ukończyć; Marcin nie był ostatni, więc możemy być zadowoleni z jego sportowej postawy. Z biegów górskich – Marcin próbował swoich sił w **ŁUT 150 km**, ale niestety niedostateczne przygotowanie i zbyt krótki okres regeneracji po starcie w zawodach IM w Barcelonie spowodowały, że zrezygnował po 64 kilometrze (ale planuje rewanż w październiku 2015).

W 2014 roku górski debiut na **Półmaratonie Muštanga** zaliczyli **Michał Kasprowicz** i **Jarek Kamer**. Jarek tak opisuje swój start: „Pamiętam urozmaiconą trasę z dużą ilością podbiegów, fantastyczne widoki, dźwięki puzonu (a może waltorni?) Józka Pawlicy przyszywające rozgrzane powietrze nad Porębą, oddalającego się Kacpra, a potem znikającą żonę i ostatnie 2-3 kilometry zbiegu, kiedy nogi zamieniały się w twarde kamienie... regeneracyjny swojski posiłek wśród fajnych ludzi i zadowolenie, że się udało”.



Kuba Radziejowski po ukończeniu Transjury
fot. Anna Radziejowska



Mateusz Mioduszeński – do mety już blisko
fot. arch. M. Mioduszeński

Jarek zaliczył jeszcze jeden półmaratoński bieg w ramach **Goral Marathonu**. W tym samym biegu na dystansie maratońskim wystartował Mateusz. Wysła z tego bardzo fajna górka wyprawa bez żon i dzieciaków. Wróciły wspomnienia tatrzańskich noclegów w tym samym namiocie (sławny obóz UKA w Dolinie Białej Wody). Trasa obu biegów prowadziła przez trzy kraje (Słowację, Czechy i Polskę), a Jarek jak zwykle dobrze oddaje ducha imprezy: „Czuć było organizacyjną spontaniczność braci za południowej granicy, wszędzie dobre emocje, miasteczko biegowe zbudowane na łące, wojskowe namioty do spania, bardzo przyjemna, malownicza trasa, odcinki terenowe poprzecinane z asfaltem, tylko jakoś tak szybko minęło. „Jaroslav Kamel, Polska” – usłyszałem, wbiegając na metę”.

Mateusz, dzięki uprzejmości Asi i Jarka (podziękowania za darmowy pakiet), wystartował jeszcze w **Biegu Siedmiu Dolin** w Beskidzie Sądeckim (100km). Ostatnim wynikiem, do jakiego udało mi się dotrzeć, jest tegoroczny start **Kuby Borkowskiego**. W styczniu 2015 wziął on udział w **Zimowym Maratonie Bieszczadzkim** i tak podsumował swój start: „Pojechałem na weekend w Bieszczady i przy okazji pierwszy raz przebiegłem taki dystans i to po pagórkach. Miałem sporo wątpliwości... Czy kolana wytrzymają? Czy nie

spalę się na pierwszych 10 km? Jak będzie z komfortem termicznym? Jak pić, co pić? Co jeść? Bieg był super! Piękna sceneria, uśmiechnięci ludzie”.

Tradownicy z mapą

Osobną grupę stanowią zawodnicy startujący w BnO. Nieformalnym przywódcą grupy i niedoścignionym wzorem jest niejaki **Trenejro**. W 2013 i 2014 roku w ramach cyklu miejskich sprintów na orientację (dystans około 5-6km) organizowanych przez **UNTS (Warszawa Nocą i Szybki Mózg)** biegali, odnosząc spektakularne sukcesy, świetnie się bawiąc i przy okazji dzielnie reprezentując klubowe barwy: **Marek Kaliński**, **Łukasz Korzeniewski**, **Maciek Kowalczyk**, **Arek Koszek**, **Tomek Markiewicz**, **Mateusz Mioduszeński** i **Dominik Wiśniewski**. Każdy, kto w środku tygodnia (zawody zawsze odbywają się w środy o 19:00) ma trochę czasu i ochotę na coś więcej niż kolejny nudny trening, musi spróbować orientacji w miejskim terenie. Dobra zabawa gwarantowana!



Trenejro (Łukasz Korzeniewski) na mecie IV Biegu ŻUKA
fot. J. Kamer

Przełom roku 2014 i 2015 przyniósł też pierwsze starty w leśnych BnO. W ramach cyklów **Wesolino** i **Falino**, organizowanych na terenach leśnych Mazowieckiego Parku Krajobrazowego w Wesołej i Falenicy, pobiegali prawie wszyscy wyżej wymienieni. Przyzwoite miejsce w klasyfikacji całego cyklu wywalczył **Żulu** (2. w Falino i 3. w Wesolino). Na nieco dłuższych dystansach (+/- 50 km) udzielali się Łukasz (dwukrotnie) i Maciek na **Rajdzie Dolnego Sanu**, a Mateusz na kultowym pieszym maratonie na orientację – **Dymno**.

ZGRUPOWANIE

Skoro wiecie już, kto i co wybiegał przez ostatnie dwa lata, i dobraneście aż tutaj, to mam dla Was niespodziankę. Biegowa kadra UKA zgodziła się na publikację fragmentów rozmów (zamieszczamy tylko te najciekawsze), które odbyły się podczas wieczorku zapoznawczego na pierwszym zgrupowaniu (Albaquerque, luty 2015). Selekcyjner kadry szczegółowo sprawdzał psychiczne i fizyczne aspekty swoich podopiecznych, by odpowiednio ustawić plan zajęć teoretycznych i treningowych. Oddajmy głos naszym kadrowiczom.



GoGo i Tysza podczas Biegu Rzeźnika fot. Jarek Kamer

Selekcyjner Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego (SUKA): Witajcie, kochani, chciałbym dowiedzieć się, jak wyglądały wasze dotychczasowe przygotowania do biegów w górach?

Asia Kamer (AK): Nie jest łatwo przygotować się, mieszkając na nizinach. Trzeba szukać w okolicy wzniesień, wydym w lesie, czy po prostu wchodzić po schodach, co z estetyką ma mało wspólnego. Staram się wykorzystać każdą okazję do wycieczki biegowej, gdy jestem na południu. Poza tym ok. trzy razy w tygodniu biegam po okolicy.

Aga Tyszkiewicz (AT): Nie mam określonego planu. Mój trening bazuje na ciągłym, różnicowanym ruchu. Więcej w nim jest aktywności ogólnorozwowej, wspinania, roweru, nart zjazdowych, skiturow, pływania, turystyki górskiej, niż samego treningu biegowego. Długie wybiegania górskie bazują raczej na mieszance biegu i turystyki górskiej.

Gosia GoGo Czacott (GC): Staram się biegać regularnie cztery – pięć razy w tygodniu. Przed ważnym startem pokonuję przynajmniej 70km tygodniowo lub robię inne treningi, typu skitury czy bieganie po schodach – przynajmniej 7 godzin. Nie zawsze to się udaje. Czasem nie pozwala zdrowie, czasem inne obowiązki. Zasadniczo, częściej mam niewykonany plan niż przekroczony.

Piotr Kobierski (PK): Podstawą moich przygotowań do biegów górskich jest klasyczny trening maratoński. Pozwala mi robić odpowiedni kilometraż i utrzymywać ogólną

wydolność organizmu oraz prawidłową masę ciała. Muszę go jednak uzupełniać dodatkowym treningiem siłowym, który w bieganiu górskim jest bardzo ważny. Codziennie robię zestaw gimnastyki siłowej na nogi i brzuch, a dwa razy w tygodniu podbiegi/skipy/wieloskoki. Wykorzystuję też każdą możliwość, jaka się nadarzy. Podczas tegorocznego wyjazdu z rodziną na narty głównie biegałem po górach. (śmiech)

Kuba Radziejowski (KR): Trudno mówić o określonym sposobie przygotowań, bo ja dopiero tego się uczę. Im więcej biegam, tym bardziej widzę, jak niewiele wiem, zaczynając od techniki biegu, a na samym treningu skończywszy. Pomagają mi bliscy koledzy: Kuba Karp (*Inne Space – przyp. red.*) i Andrzej Piotrowski (*Ortores – przyp. red.*), którzy objaśniają mi to wszystko, na co jestem zbyt tępy, by pojąć. (śmiech)

Kuba Saloni (KS): Dłuuuie wolne wybiegania po około 50km. Wystarczyło do przeczapłania (np. *Chudy Wawrzyniec 2012 oraz B7D 2012 – przyp. red.*) w czasie, który nie okazał się żenujący.

SUKA: A panowie orientaliści? Przestańcie bawić się kompasami, powiedzcie lepiej, jak przygotowujecie się do BnO?

Łukasz Korzeniewski (ŁK): Podstawowym czynnikiem w moich przygotowaniach jest świeżość. Zawsze na starcie staję wypoczęty, nie trenując do zawodów.

Marek Kaliciński (MK): Przygotowanie do biegów wygląda prosto. Zgodnie ze wskazówkami naszego Trenera, nie można przeciążać organizmu dodatkowymi treningami. Najważniejszy jest start w zawodach! Dla mnie wspinanie nadal jest priorytetowe, aczkolwiek zakładam, że dla człowieka zbliżającego się do czterdziestki, mieszkającego w mieście i jeżdżącego samochodem, jakakolwiek forma wysiłku wytrzymałościowego, po której ocieka potem, jest niezbędnym elementem przygotowania do... przeżycia.

Tomek Markiewicz (TM): Z powodu widma nieustającej kontuzji, bycia pod pantoflem i innych aktywności niezwiązanych, a istotnych, proces treningowy nie istnieje, nie licząc incydentalnych nocnych zrywów pt. pójść pobiegać. Myślę, że bardzo istotnym aspektem treningowym, przygotowującym do nocnych BnO, będzie wymiana czołówki, z obecnie posiadanej produkcji francuskiej na model pochodzący z Dalekiego Wschodu, za to o legendarnych osiągnięciach. (śmiech)

SUKA: Kochani, za chwilę zamówimy kolejne izotoniki, a tymczasem pytanie. Jaki typ treningu, a może coś innego, pomaga wam najbardziej w osiągnięciu rezultatów?

AT: Po prostu bieganie po górach. Obserwując jednak sukcesy skiturowców w biegach górskich, można założyć, że skituring jest niewątpliwie drogą do sukcesu.

PK: Jeśli ktoś myśli o biegach na dystansach ultra, to bardzo ważne są wycieczki biegowe, które wymagają jakiegoś wysiłku intelektualnego w postaci wyszukiwania drogi i pokonywania naturalnych przeszkód terenowych. Z uwagi na codzienne obowiązki w pracy i brak możliwości regularnych wyjazdów poza Warszawę, pozwalam sobie raz w tygodniu na powrót biegiem z pracy do domu, przez całe miasto, po najróżniejszych parkach, uliczkach, pagórkach. Taka wycieczka zajmuje mi około 2,5h, podczas których przebiegam około 30km. Trening ten powinien być robiony na zmęczeniu. W moim przypadku jest to mocny trening tempowy dnia poprzedniego, który pozwala zasymulować zmęczenie mięśniowe podczas wycieczki biegowej.

KS: Sam chciałbym to wiedzieć. Aktualnie biegam płaskie i tu naprawdę skupiam się na wyniku, więc trenuję interwały, w tym dużo na podbiegach. Ostatnio dołożyłem sporo ćwiczeń siłowych. Zakładam, że jak skończę rozwój na płaskim, to wrócę do górskich i wtedy przełożę doświadczenie, zwiększając ilość krosów i podbiegów. Sam długi trening uważam za najprostszy i najprzyjemniejszy. Szczególnie łatwy jest dla osób przyzwyczajonych do kilkunastogodzinnych akcji górskich.

JK: Podejrzewam, że motywacja. Ona jest najważniejsza. Powiadają i piszą, że nieważne jak szybko, ważne by nie ustawać. Często wspominałem przed startem Mela Gibsona z „Braveheart”, jak przemierza na nogach granie gór Szkocji.

MK: W BnO starty w zawodach są na razie najlepszą formą treningu. Kilka razy biegałem sam po lesie z kompasem, ale to nie to samo. Na zawodach masz ustaloną trasę, mapę i wszystko za 5 PLN. Do tego atmosfera imprezy mobilizuje i forma automatycznie rośnie. Warto mieć przygotowanie biegowe, ale w praktyce nie jest ono konieczne. Oczywiście, aby wygrywać zawody trzeba dysponować dobrą formą biegową – zawodnicy startujący w BnO osiągają również bardzo dobre wyniki w biegach górskich i przełajowych.

TM: Ograniczam się do treningów mentalnych, analizy tracków (*zapisu śladu GPS – przyp. red.*) z minionych biegów i nauki symboli stosowanych do opisu Punktów Kontrolnych (PK). Co piątek powtarzam sobie, że od poniedziałku wracam do regularnego biegania, aby popracować nad aspektami fizycznymi.



Małgorzata GoGo Czacott fot. arch. M. Mioduszeński

Marcin Wernik: Ogólnie staram się jak najwięcej ruszać, w sezonie zimowym moim podstawowym treningiem jest cross fit. Modny tak jak triathlon i moja broda. (śmiech) Plus wycieczki skiturowe po Tatrach. No i oczywiście staram się podtrzymywać formę wspinaczkową, głównie na Bloco. Ale jak się zrobi ciepło, to trzeba będzie zacząć biegać. (śmiech)

SUKA: A czy udaje wam się pogodzić trening i starty w biegach ze wspinaniem?

AT: Brakuje mi ciągle czasu, żeby rozwijać równolegle jedno i drugie. To kwestia wyrzeczeń lub koncentracji w danym sezonie na jednej aktywności. Nie wyobrażam sobie robienia ultra-kilometrów, zajmowania wysokich pozycji w biegach oraz robienia mega przejsów sportowych. Na pewno biegi górskie pomagają w ogólnej sprawności we wspinaniu górskim. I w zasadzie obecnie na tym się koncentruję, bo wspinanie górskie pomaga mi też w realizowaniu pewnych częściowych celów w biegach górskich. Jedno z drugim się przeplata i dopełnia.

KR: Niestety nie. Efektywnie mogłem ostatnio się wspiąć tylko zimą, kiedy mniej biegałem. Jeśli chcę, jak w latach 2013 i 2014, próbować biegać w sposób nieco bardziej zaangażowany, to nie jestem w stanie pogodzić tego z przyzwoitym poziomem wspinaczkowo-sportowym. Albo, albo... Ale po przebieganiu roku 2015 mam zamiar powrócić do wspinania.

KS: Jak odwożę córkę na trening wspinaczkowy, to idę pobiegać.... A serio to mam zbyt dużo innych obowiązków aby to godzić, więc ostatnio bardzo mało się wspinam, czego cały czas żałuję.

PK: Oczywiście tak, ale niestety z pewną stratą dla wspinania. I bynajmniej nie chodzi o czas poświęcany wspinaniu, ale o utratę masy mięśniowej ramion/barków/pleców, która jest tak potrzebna wspinaczowi, a tak łatwo niwelowana treningiem biegowym. Z drugiej strony, znaczna utrata masy ewidentnie pomogła mi w podniesieniu poziomu sportowego mojego wspinania.

GCz: Nawet nie próbuję wrócić do wspinania. W moim przypadku nie widzę możliwości wygenerowania czasu na bieganie, wspinanie, pracę, ogarnięcie domu i rodziny.

Kuba Borkowski: Biegam w dni niewspinaczkowe, gdy regeneruje się skóra. Dla mnie, bieganie służy utrzymaniu ogólnej wydolności i przebywaniu w ciekawszym otoczeniu niż plastikowe murki.

ŁK: Udaje się. I choć na bieganie poświęcam dużo mniej czasu niż na wspinanie, to chyba mam większy talent do biegania. (śmiech)

TM: Jako że nie trenuję ani biegania, ani wspinania, to problem nie istnieje. Co najwyżej, poranne starty kolidują z nieodpartą chęcią odespania w weekend. Jak na stosunkowo świeżego rodzica przystało. (śmiech)

SUKA: Co dla was ma największe znaczenie w bieganiu po górach i na orientację?

KR: Głowa, głowa i jeszcze raz głowa. Na czwartym miejscu przygotowanie fizyczne – u mnie zawsze za słabe, taktyka i doświadczenie.

PK: Biegi górskie są dla mnie połączeniem dwóch wielkich pasji: wspinaczki górskiej i biegania. W obu przypadkach najważniejsza jest umiejętność współpracy z naturą i swoim ciałem, a może przede wszystkim ze swoją głową. Tak jak powiedział Kuba, to głowa ma największe znaczenie w biegach górskich, szczególnie tych długodystansowych. Tu nie liczą się pojedyncze sekundy w tempie biegu, ale odpowiednie przygotowanie taktyczne, rozumne odżywianie, odczytywanie znaków, jakie daje organizm. Kondycja i technika biegu też mają znaczenie, ale w praktyce są jedynie dodatkami.

KB: Moim zdaniem, w każdej formie aktywności, również fizycznej, ważne jest trochę radości i moment, w którym czujesz, że serce pika, a cyfra i czas są drugorzędne. Chociaż z perspektywy czasu można się cieszyć wynikami, to jednak tym, co nas kształtuje, jest proces.

MK: Podczas BnO najważniejsze są wybór optymalnej trasy i dobre nawigowanie. W biegach, w których od startu zakładam, iż będę dokładnie nawigował, a wolniej biegł, osiągam wyraźnie lepsze rezultaty. Jak mnie coś poniesie i zaczynam biec za szybko, to krew mi odpływa z mózgu i zaczynam się gubić, przelatuję punkty, nadrabiam kilometry, itp.

ŁK: Wspomniana wcześniej świeżość. Oprócz niej, sprawny kompas, mocna chłimska czołówka do biegów po zmroku i odpowiednie podejście do startu.

SUKA: A co z taktyką? Stosujecie jakieś taktyczne zagrywki podczas startów?

AT: Taktyka u mnie wynika ze słabości. Mam niezłą ogólną wytrzymałość, przez co mogę naprawdę długo wystawiać się na wysiłek. Niestety harpaganem prędkości w przypadku podejść nie jestem, choć na zbiegach już wychodzi mi całkiem nieźle i tu nadrabiam czas. Na pewno muszę pracować nad słabościami.

AK: Taktyka jest prosta. Starac się szybko podchodzić na podejściach i szybko zbiegać w dół. *(śmiech)* Automotywacja jest ważna, nie można myśleć o tym, że się nie uda. Długie bieganie ma to do siebie, że trzeba umieć reagować na sygnały wysyłane przez ciało.

KR: Biegi ultra są jak życie. Ciągłe przeplatanie się kryzysów z euforią. Jak się do tego przyzwyczaimy, to nie jest złe. Kiedy przychodzi dół, staram się pamiętać, że przy umiejętnym rozłożeniu sił i odpoczynku podczas biegu/marszu energia wróci. Pamiętam, by przez cały czas dać odpoczywać jakimś partiom ciała. W zależności od tego, czy biegnę w górę, czy w dół. No i wiadomo – lepiej nosić, niż się prosić. To *à propos* pożywienia i płynów.

KS: Bardzo wolny i systematyczny, ale prawie cały czas bieg, z wyjątkiem najostrzejszych podbiegów. Udało mi się dzięki temu wyprzedzić wielu zawodników na ostatnich 10-20km, bo oni wtedy już się naprawdę czołgali.

PK: W teorii – zacząć o połowę wolniej, niż ma się ochotę. Jeść i pić regularnie podczas biegu. Odpoczywać podchodząc, robić tempo zbiegając. Cóż z tego, skoro w moich dotychczasowych biegach teoria zawsze rozmięła się z praktyką. Niemniej jednak, wyniki były tym lepsze, im bardziej trzymałem się wyżej wymienionych zasad.

GCz: Taktyka zależy od dystansu. Do 10km biegłabym na maksa – od początku do końca. Tylko że nie startuję na takich dystansach, chyba że w Falenicy. *(śmiech)* W maratonie zakładam sobie stałe tempo i staram się je trzymać, ewentualnie przyspieszyć na ostatnich 10km. W ultra zacząć bardzo wolno – tak, żeby wydawało się, że za wolno, a potem stopniowo przyspieszać, w miarę zmniejszania odległości do mety. Ważne jest też odżywianie i nawadnianie – regularne, w stałych odstępach czasu.

JK: Asia zawsze mi powtarza, żeby się dobrze nawadniać, jeść w trakcie biegu, a na odcinkach pod górę się oszczędzać. Natomiast dwa lata temu Gogo na letnim nadmorsko-białogórskim zgromadzeniu biegowym wypowiedziała takie oto zdanie, które zapadło mi w pamięć: „kto nie zapierała w dół, ten nie wygrywa”. Myślę, że obie panie mają dużo racji. *(śmiech)*

ŁK: Byłe dobiec do połowy/najdalszego punktu, a potem już się jakoś wróci.

TM: Z każdą imprezą inaczej. Ostatnio było to „powoli i dokładnie”. Zadziałało ze średnim skutkiem i ograniczyło się do „powoli”. O wiele lepsze efekty przynosi taktyka „jakoś to będzie”. Przed każdym startem w lesie powtarzam sobie, że fajnie będzie odnaleźć wszystkie PK, ale priorytetem jest zawsze wrócić do startu/mety i wyjść z lasu przed zmrokiem.

SUKA: Czy wspinanie, czy bieganie – co wolicie, drogie Panie i Panowie?

AT: Wspinanie zawsze będzie moją główną pasją, a bieganie zawsze będzie pasją uzupełniającą. Dopuszczam myśl, że raptem mogę przerzucić się z biegania np. na paraglaj czy coś innego, a nie wyobrażam sobie zamiany wspinania na coś innego.

KR: Wspinanie jest poważniejsze, trudniejsze i bardziej niebezpieczne. Bieganie ultra w kryzysowym momencie daje bardziej w kość, ale doraźnie. Jest bezpieczne, więc można dalej przesuwać granicę. Wspinanie jest ciekawsze i bardziej kreatywne, daje mi więcej, ale – z drugiej strony – więcej natychmiastowej, atawistycznej radości daje porządna wyrpka ultra.

PK: To pytanie, czy wolę lewą nogę od prawej... podczas gdy obie są równie ważne i z żadnej nie chcę rezygnować. Nie biegłabym po górach, gdyby nie pasja

wspinania. Jednocześnie, nie wspiniałbym się, gdyby nie moja pasja do gór i aktywności fizycznej. Dla mnie to pewien nierozłączny tandem, który ostatnio mocno się intensyfikuje. Teraz wspinam się i biegam dużo więcej niż jeszcze parę lat temu.

GCz: Absolutnie dwie różne rzeczy. Obie wspaniałe.

KB: Wolę wspinanie, ale nie lubię być zdyszanym podchodząc pod ścianę, więc bieganie jest dla mnie ważne, by utrzymać ogólną sprawność organizmu.

ŁK: Wspinanie. Ja powiedziałbym, że nawet nie za bardzo lubię biegać. *(śmiech)* Jednak biegając z mapą, skupiam się bardziej na nawigacji i odnalezieniu kolejnego punktu, w związku z czym, nie myślę o biegu.

TM: Aktualnie wolę to, na co mam czas i zezwolenie. *(śmiech)* W ostateczności może być nawet przejażdżka rowerowa.

SUKA: A teraz coś o planach? Czy wiecie już gdzie i co będziecie biegać w 2015?

AT: Moim głównym celem w 2015 roku jest przebiegnięcie, a nie przejście, *(śmiech)* ŁUT 150. Poza tym, pod koniec kwietnia w Szczawnicy biegnę Niepokornego Mnicha *(94km – przyp. red.)* oraz, wraz z Gosią Gogo Czeczott, w czerwcu kolejny raz Bieg Rzeźnika w wersji hardcore *(100km – przyp. red.)*.

KR: Po zebraniu wymaganych 8 punktów, wziąłem udział w losowaniu do biegu wokół Mont Blanc (UTMB). Udało mi się dostać miejsce i jeśli kontuzje, z którymi się zmagam obecnie, nie pokrzyżują planów, mam zamiar podporządkować sezon pod ten start. Jest to zgodne z logiką doboru najważniejszych dotychczasowych biegów, w których startowałem. Zawsze wybieram te rozgrywane w ukochanych miejscach, w których się wspinam. Tatry, Jura i teraz Chamonix.

MW: Głównym celem 2015 jest pokonanie Hardej Suki, czyli ultra triathlonu w Tatrach. 4,5km nocnego pływania w Zalewie Orawskim, 220km na rowerze dookoła całych Tatr i na koniec bieg górski pokrywający się w dużej części z Granią Tatr, czyli od Doliny Chochołowskiej do Morskiego Oka. Całość to ponad 7 tysięcy metrów przewyższenia, trasa dużo trudniejsza niż słynne Norseman i Swissman. W kategorii biegów górskich wracam po rewanż na trasę ŁUT 150. Możliwe, że wystartuję w Niepokornym Mnichu

oraz drugiej edycji BUGT. Nie mam szczególnych aspiracji wynikowych, raczej będę się koncentrował na ukończeniu.

KS: Mam jeszcze nadzieję poprawić rekordy po płaskim. Jeżeli nie zmieni mi się wizja z jakiegokolwiek powodu, to wrócę do długich biegów górskich po zakończeniu etapu płaskiego.

MK: W 2015 planuję startować we wszystkich okolicznościach biegach na orientację w sezonie zimowym i może zaliczyć jakiś dłuższy rajd na orientację. W sezonie wspinaczkowym starty w BnO uzależnione będą od wyjazdów w skały.

PK: Pod koniec maja chcę wystartować w Biegu Rzeźnika Ultra *(135km – przyp. red.)*. W lipcu w Biegu K-B-L podczas Dolnośląskiego Festiwalu Biegów Górskich *(110km – przyp. red.)*. W sierpniu w drugiej edycji BUGT. A sezon zakończyć B7D. Grafik jest napięty, ale jestem pozytywnie nastawiony! W 2016 roku, bazując na tegorocznym doświadczeniu, mam nadzieję na szczęście w losowaniu i udział w UTMB.

KB: Pewnie wystartuję w kilku biegach, ale nie planowałem tego dokładnie. Wolę pójść do lasu pobiegać z psem, niż ścigać się za wszelką cenę, walcząc o każdą sekundę.

ŁK: Planów jest kilka, przede wszystkim starty w ramach kalendarza Pucharu Polski w Maratonach Na Orientację: powtórka startu w Rajdzie Dolnego Sanu w marcu *(tę część planu Łukasz już wykonał – przyp. red.)*, w kwietniu kolejna pięćdziesiątka dookoła Jez. Goczałkowickiego. W maju Dymno lub Dusiołek Górski, też na dystansie 50 km. A w wakacje się zobaczy, bo trzeba będzie plany biegowe skonfrontować z planami wspinaczkowymi. Po nich we wrześniu jest bieg o piśszczotliwej nazwie Mordownik *(50 km)*, co uważam za wystarczającą zachętę, żeby wziąć w nim udział. Październik to impreza, na którą już zacieram łapki. Seria krótkich biegów w ramach Kraków City Race. M.in. bieganie po Wawelu i zaułkach Kazimierza. A żeby rok spaść ładną klamrą – w listopadzie Kaczawska Wyrpka. Dystans, jak poprzednio, 50 km. W międzyczasie oczywiście biegi krótkie w Warszawie i okolicach. Jak to bywa z planami, pewnie połowa startów nie dojdzie do skutku. *(śmiech)*

TM: Na pewno wszystkie UNTS-owe biegi z wiosenne-go/letniego cyklu Szybki Mózg, może jakieś imprezy wyjazdowe. Planuję biegów długodystansowych zostawiam sobie na pierwszy rok biegania bez kontuzji, więc może za rok.



Piotrek Kobierski w niebieskiej koszulce UKA na starcie Maratonu Karkonoskiego 2014 fot. arch. P. Kobierski

To co prawdziwe po latach

Jarek Mazur



Zespół w Arco fot. Jarek Gawrysiak

Mysząc nad klamrą, którą chciałbym spiąć ten tekst, zdałem sobie sprawę, że w zeszłym roku minęła druga dekada mojego wspinania. Jest to dobra okazja żeby zadać sobie pytanie, co z tej perspektywy jest jeszcze dla mnie ważne i jakie emocje pozostały we mnie z tych, z którymi wchodziłem we wspinanie.

Przez ostatnie dwadzieścia lat, poza wspinaniem, zajmowałem się kajakarstwem, żeglarsstwem, fotografią, jazdą na motocyklu, chodzeniem na nartach połączonym z ciągnięciem za sobą sanek, jeździectwem oraz szermierką. Niektórych z tych aktywności zanie-

chałem, niektórym zdarza mi się jeszcze sporadycznie oddawać przy okazji pracy lub podczas krótkich podwarszawskich wyjazdów weekendowych. W niektóre jestem teraz zaangażowany emocjonalnie. Co zatem jest stałe? Stała jest obecność sytuacji wspinaczkowych, które towarzyszą mojemu życiu.

Ciekawe, jak to będzie tym razem. Myślę o fascynacji końmi. Kiedyś wydawało mi się, że jazda na motocyklu jest bardzo zajmująca i że tego nie porzucę. Okazało się jednak, że bez problemu z niej zrezygnowałem. Stało się tak w czasie, kiedy miesiące życia Koli były policzone, i potem, kiedy Zelda była wchodzącym w życie

szczeniakiem. Zobaczymy. Spędzanie czasu w terenie z koniem i z psem wzajemnie się nie wyklucza. Powiem więcej: spędzanie czasu z koniem i z psem oraz wspinanie też się nie wykluczają. Trochę w tym roku pojeździłem konno na Jurze i byłem zaskoczony mnogością nowych miejsc, które poznałem, wliczając w to skały, których wcześniej nie widziałem.

Mógłbym pisać, że wspinanie jest okazją do samorealizacji i rozwoju, przeżywania wolności, nauki odpowiedzialności, możliwości dokonywania wyborów oraz umiejętnością przekraczania własnych ograniczeń. Tak jest, ale to, co na dziś wydaje mi się

**najważniejsze,
zamyka się
w stwierdzeniu,
że nie ważne „gdzie”
i „na czym”
- ważne „z kim”.**

★★★

Zeszłej zimy w padającym deszczu zaliczyłem z Jarkiem górski biwak. Wiatr poderwał tropik i zmusił nas do wyjścia ze śpiworów i okopania namiotu. Po zaprowadzeniu porządku okazało się, że w środku nocy zgłodnieliśmy. Nad menażką zaczęliśmy rozmawiać o wyprawach Jarka w góry wysokie. W huczącym, kładącym się na wietrze namiocie, leżąc w śpiworze, obejrzałem parę zdjęć z tych wyjazdów. Sytuacja oraz komentarz do zdjęć były bardzo sugestywne; przy okazji każdej kolejnej wyprawy Jarka będę z niecierpliwością czekał na dobre wieści i szczęśliwy powrót.

Kiedy wiosną nad ranem, razem z Jarkiem i Anią, wysiadłem z samochodu pod campingiem w Arco, zapach roślin i dźwięk cykad nie pozostawiały wątpliwości, że przyjechalśmy na tak zwany West. Znajomi, z którymi miałem się wspiąć po drogach wielowyciągowych, mieli przyjechać dopiero wieczorem. Zmęczeni podróżą, poszliśmy spać, licząc, że przez ten czas mokry świat nieco obeschnie. Postanowiliśmy z Jarkiem, że wspinamy się na dwóch drogach, na których miałem w następnych dniach prowadzić zajęcia. Miało to być dla mnie przypomnienie przebiegu linii, sprawdzenie, czy coś się nie zmieniło w asekuracji, oraz wiosenne „rozczychanie się” w skalę. Pierwszą drogę prowadziłem ja, a drugą Jarosław. Kiedy na kluczowym wyciągu drugiej linii wstawiłem wysoko nogę, podczas próby przebalansowania i przysiadu na pięcie zaliczyłem spektakularnego

„chrupa” w kolanie. Zrobiło mi się słabo, również w przeñośni – na myśl o tym, że być może będę zmuszony powiadzić znajomym, że się jednak nie powspinamy. Przy schodzeniu via ferratką kolano puściło zupełnie, a na camping człapałem o kiju, wsparty na ramieniu Jarka.

Wieczorem spotkałem się ze znajomymi. Postanowiłem odłożyć wszelkie decyzje do dnia następnego i zobaczyć, co przyniesie ranek. Okazało się, że nie było źle i przez cztery dni zaliczyliśmy cztery drogi od kilkudziesięciu do czterystu pięćdziesięciu metrów, a także podziałaliśmy w skałkach. Na najdłuższej drodze wspinaliśmy się wspólnie z Jarkiem w dwóch zespołach. Kwintesencją szkolenia skałkowego i tym, co najbardziej lubię robić podczas prowadzenia kursu, jest wspinaczka na drogach wielowyciągowych. Ten wyjazd był ważny z kilku powodów i dał mi nowe pole do przemyśleń, między innymi na temat odpowiedzialności za zespół, oceny tego, gdzie mogą pójść, żeby nie stracić kontroli (nawet w razie niepomyślnego rozwoju sytuacji), zaufania, niezawodności wobec partnerów czy wsparcia otrzymanego od Jarka.

★★★

Na ścianie na warszawskim Mokotowie przyglądałem się poczynaniom młodszych kolegów odbywających kurs dla instruktorów sportu. Realizowanym tematem było wspinanie z wykorzystaniem dynamicznych przechwyty. Obserwując ruchy uczestników kursu, zdałem sobie sprawę, jaki przełom dokonał się w rodzimym wspinaniu sportowym przez ostatnie dwie dekady. Oczywiście, dawniej też były robione trudne przechwyty, jednak jak przypominam sobie znajomych sprzed lat, to widzę raczej zapiętą „łódę” na mikrochwycie lub trzeszczące palce w słabych dziurkach, a nie zawodnika wykonującego diagonalny strzał a tak naprawdę skok do chwytu, do którego ja musiałbym się dowspinać paroma długimi ruchami.

Pamiętam zimny deszczowy dzień na Jurze i Pawła stojącego w dżinsach w przewieszeniu na Kuropatwie albo bouldery z Janówka i odruchowo porównuję z tym, co widzę teraz. Nie oceniam, co jest trudniejsze. Zmienił się styl, pojawił się nowy typ ruchu. Zmiana dotyczy również dróg, po których wspinam się na ściankach. Czasem jestem zaskoczony tym, co trzeba zrobić na stosunkowo nietrudnej drodze i jak urozmaicone ruchy wykonać, żeby dojść do topu. Patrząc na to, jestem podekscytowany i cieszę się, że moja obecność we wspinaniu trwa od tylu lat.

Z rutyny ostatnich tygodni i miesięcy wyrwały mnie informacje o przejściach znajomych. Wspinanie Michała na Alasce, amerykański wyjazd Mateusza, Pata-

gonia Agnieszki i Marcina oraz tatrzańskie przejście Kuby i Krzyśka były dla mnie za każdym razem okazją do radości. Podobnie zareagowałem na wiadomość o skoku Baumgartnera. I nie chodzi mi o bezpośrednie porównanie, ale o to spontaniczne „Ale fajnie!”, które mówi się po usłyszeniu takich wiadomości.

★★★

Od paru lat tak się składa, że późną jesienią albo zimą bywam na Frankenjurze. Nie poluję na cyfrę, wykorzystując lepsze tarcie, tylko odwiedzam Marka, kiedy mam więcej wolnego czasu. Zazwyczaj, mimo nieco kontrowersyjnej aury, jedziemy wspinać się w jakimś rejonie, którego nazwy nie jestem w stanie potem powtórzyć. Marek stał się polskim kustoszem regionu. Jego czerwony samochód jest powszechnie rozpoznawalny przez miejscowych wspinaczy, którzy często są zaskoczeni wspinaczkową aktywnością Marka. Nasze frankenjurskie spotkania są dla mnie także okazją do powrotu do spontanicznej atmosfery wspinania sprzed lat. Marek pod skałami

jest radosny jak dziecko, nie wisi i nie patentuje; jak coś nie puszcza, to wraca na to dopiero po kilku miesiącach. Śmiejemy się z jego „niezdefiniowanego poziomu i partyzanckiego stylu wspinania”. Taką samą atmosferę tworzyli przed laty znajomi ślacy, którzy – w przerwie pomiędzy wieszaniem instalacji do gier plenerowych – potrafili w butach trekkingowych poprowadzić *Niebieskie Karimaty* albo,

używając zakręcanych karabinków, przejść OS-em jakieś omszałe dolnośląskie VI.5 i nie zamieścić natychmiast informacji o tym na 8a.nu.

Podczas wizyty u Marka, pierwszy raz w życiu w naszej strefie klimatycznej, w styczniu doświadczyłem miłego słonecznego skałkowego wspinania, któremu nie przeszkadzał nawet leżący w okolicy śnieg. Koloru sytuacji dodawały dzieci w sztormiakach bawiące się z psem pod skałą.

Kiedyś umówiłem się ze Sławkiem na krótkie wspinanie w Podlesicach. Mój partner zapomniał zabrać butów wspinaczkowych. Stwierdził, że to nic nie szkodzi, że z przyjemnością pobędzie w plenerze i poasekuruje mnie. Kiedy przechodziliśmy koło wschodniego otworu Jaskini Berkowej, pokazał mi, gdzie kiedyś robił jesienne i zimowe trawersy. Idąc między skałami, pokazywałem mu kolejne linie i pytałem: „A to robiłeś?”, „Zobacz – fajna rysa, znasz ją?”.

W końcu Sławek powiedział: „Wiesz, ja tutaj wspinalem się praktycznie na wszystkim”. Kiedy przed laty próbowałem coś przehać i nie mogłem dowszpendzić się do starego rezerwacyjnego spita, to przechodzący przypadkiem pod skałą Sławek wziął jedną tawkę i za chwilę już zjeżdżał z miejsca, które od dłuższego czasu bezskutecznie starałem się osiągnąć. Obecnie w opisywanym miejscu, na Sadku, znajduje się trudna klasyczna droga.

★★★

Podczas prowadzenia zajęć najbardziej lubię pokazywać ruchy na drogach, których nie znam i w których przejście muszę się zaangażować. Robię tak tylko wtedy, kiedy wspinam się z dobrymi znajomymi. Nagrodą za wystawienie się na ostrzał samokrytyki, który by nastąpił, gdybym w niemocy spłynął z chwytów i stopni, jest energia, jaka wówczas powstaje w naszym sekcijnym zespole.

Zabawna historia wydarzyła się ostatnio, kiedy poprosiłem znajomego, by dla odpoczynku poprowadził drogę nakręconą na standardzie. Z ziemi wyglądała naprawdę przyjaźnie i oceniłem ją na jakieś 6a, może z plusem. Po pierwszych ruchach partnera zorientowałem się, że coś jest nie tak. Zamieniliśmy się na prowadzeniu. Przy kolejnych przechwytych nie mogłem uwierzyć w to, co się działo. W końcu, gdzieś wysoko, zacząłem iść po wszystkim i po wpięciu liny w stanowisko poprosiłem o opuszczenie do miejsca, w którym zszedłem z drogi. Doszedłem na wędkę do topu i zdyszany zjechałem na dół. Wspinając się obok dziewczyny powiedziała, że to jest jakieś VI.1 z zawodów. Odpowiedziałem, że jeżeli ktoś się cały sezon wspina w skałę, to może takie trudności odczuwać, ale moim zdaniem jest to nie mniej niż VI.2. Po jakimś czasie droga dostała wycenę 7a+.

Piszę o tym, ponieważ przeliczywałem samego siebie sprzed lat, kiedy w Arco usiłowałem wytłumaczyć kolede, że chwyt ma przed sobą, żeby więc wstał nogę i sięgał wyżej. Gdy sytuacja przez dłuższy czas się nie rozwijała, użyłem argumentu, że przecież to jest 5b i że ten ruch musi dać się zrobić. Po chwili, w ramach demonstracji, poszedłem do góry. Ledwo doczołgałem się do stanowiska. Okazało się, że pomyliłem linie i dorobiłem sobie optycznie chwyt i stopnie...

Bardzo sobie cenię te wspinaczkowe spotkania, są niezwykle inspirujące. Lubię posłuchać o ekonomicznych i matematycznych teoriach lub dowiedzieć się czegoś na temat fizyki od znajomych, którzy są ekspertami w swoich dziedzinach. Efektem jednej z takich rozmów był wieczorny wyjazd pod Warszawę poświęcony oglądaniu komety. Na moje pytanie, jaka jest odległość Marsa od Ziemi, otrzymałem po chwili odpowiedź – dystans policzony w głowie na podstawie prawa Keplera. Kometę chyba widziałem, przynajmniej taką mam nadzieję. A Księżyc Jowisza i obłoki gazowe wokół Miecza Oriona zrobiły na mnie duże wrażenie. Tak to jest, jak się zaprosi dyletanta do dobrej restauracji. Zamówi taki z karty schabowego, a potem się zachwyca, jakie tam było dobre i wyrafinowane jedzenie.

★★★

Jesienny wyjazd z Agnieszką w Tatry odbył się pod znakiem zakończenia lata i potwierdzenia, że kolano uległo naturalnej regeneracji. W Dolince Pustej było naprawdę pusto. Pierwszego dnia wspieliśmy się na Zamarłej Turni, a drugiego poszliśmy na Południowy Filar Koziego Wierchu, na którym byłem dwadzieścia lat wcześniej, podczas swojego pierwszego sezonu tatrzańskiego. Nie przejmowałem się brakiem schematu, bo pamiętałem płytowy zachód i przewinięcie przez filar, a poza tym w takiej ścianie można zastosować metodę „gdzie wola, tam droga”. Było wietrznie i zimno. Znając charakter drogi, nie założyłem precyzyjnych butów wspinaczkowych. Ruszając do góry, omijałem śnieg i patrzyłem z niepokojem na coraz bardziej sine nogi Agnieszki. Po przewinięciu wróciłem na filar, stwierdziłem, że to chyba nie tak i poszedłem na prawo. Po chwili zadzwoniłem do Wojtka, żeby spytać o przebieg drogi, a Wojtek odpowiedział:

„Jarku, jak masz jakieś wątpliwości, to wyjdź na prowadzenie”.



Telefon do Przyjaciela fot. Agnieszka Górnicka

Bardzo mnie to ucieszyło, bo porada Wojtka zabrzmiała jak uwaga wygłoszona w klubie gentelmana.

Tekst w podobnym duchu przeczytałem w pewnym dystygowanym podręczniku jazdy konnej. Szło to mniej więcej tak: „Jeżeli koń nie przeskakuje z łatwością przeszkody o wysokości stu czterdziestu centymetrów, to jest albo chory, albo z jakiegoś powodu nie ma kontaktu z jeźdźcem”. Zabawne było to, że gdy patrzyłem z dołu, teren wyglądał na łatwy i puszczający, a kiedy zacząłem się wspinać, musiałem przez dwa wyciągi trójkowego filara działać z pełnym zaangażowaniem. Gdy w jesiennym wietrze stałem nad przełosem i patrzyłem na chmury przewalające się nad doliną, to pomyślałem, że jest pięknie i że każdą chwilę tego roku, jaką spędziłem w siodle, mogłem spędzać w górach.

★★★

Z perspektywy czasu, wydaje mi się, że w działalności klubów wspinaczkowych wspinanie wcale nie jest najważniejsze. Patrząc na kolegów, którzy niedawno trzymali się spódnicy Gosi, a z którymi teraz pracuję, przyjaźnie się, którzy są dla mnie autorytetami sportowymi i od których dostaję zaproszenia na śluby, wiem, że wspinanie jest tylko na wierzchu tego, co ważne. Równie istotne rzeczy dzieją się zapewne również w klubach jeździeckich czy modelarskich.

Mam nadzieję, że nadchodzące sezony będą także okazjami do kolejnych nostalgicznych przejść Filara Lechwora, górskich wyjazdów oraz spotkań, które wyznaczają mój rytm – nie tylko aktywności wspinaczkowej...

ZNIŻKI dla członków UKA

YETI

Producent profesjonalnego sprzętu puchowego
www.yeti.com.pl

RABATY: przy zakupach indywidualnych **15%** przy zamówieniach zbiorowych większe zniżki (szczegóły na stronie uka.pl)



SALEWA

15% na produkty SALEWA, DYNAFIT. Sklep znajduje się przy ulicy Nowy Świat 2 (Pl. Trzech Krzyży)



CUMULUS

ZNIZKA DO 20% w zależności od wartości zamówienia
www.cumulus.pl/
e-mail: info@cumulus.pl



MAŁACHOWSKI

ZNIZKA 20% nie dotyczy szycia na specjalne zamówienie
<http://malachowski.pl>



MONTANO

ZNIZKA do 20%
www.montano.pl
primo@montano.pl



Black Diamond



Marmot

ZNIZKA do 25%
Przy zamówieniach zbiorowych
Koordynacja zakupów:
Marcin Wernik (marcin@uka.pl)



HI MOUNTAIN

ZNIZKA 10%
Sklepy w Warszawie
www.himountain.pl

SKLEP PODRÓŻNIKA

ZNIZKA 7-10% na sprzęt turystyczny,
ZNIZKA 15% na sprzęt wspinaczkowy
www.sp.com.pl/Sklep.php
e-mail: sklep@sp.com.pl



SKLEP GÓRSKI I TURYSTYCZNY SHERPA.PL

SHERPA – Sklep górski
ZNIZKA 10%
www.sherpa.pl
e-mail: sklep@sherpa.pl



W TĘ BRANŻY NIE MA ZARÓWNO SPRZĘTU TURYSTYCZNEGO DLA NAJLEPSZYCH

ALPIN SKLEP
ZNIZKA 10%
ul. Batorego 39
www.alpinsklep.pl/main.php
e-mail: bomar@alpinsklep.pl

HORYZONT

ZNIZKA 7% (większa zniżka do negocjacji przy zamówieniach „hurtowych”)
Biuro Obsługi Klienta
tel. 58 554 02 55
www.e-horyzont.pl/



fizjolo

GABINET FIZJOTERAPII
ZNIZKA 25% na wszystkie zabiegi
ul. Długa 44/50 lok. nr 5
tel. 607-827-356
fizjolife@fizjolife.pl
www.fizjolife.pl

HIMAL SPORT

ZNIZKA 10%
e-mail: himal@himalsport.com.pl
www.himalsport.com.pl/



SKLEP

NORTH FACE
ZNIZKA 10%
WARSZAWA
Galeria Mokotów
ul. Wołoska 12



MAMMUT

ZNIZKA 10%
Sklepy firmowe firmy Mammut
Warszawa
ul. Niepodległości 227/233,
www.climbrock.pl
e-mail: sklep@climbrock.pl



SKLEP

Dzieciaki w Plecaki

DZIECIAKI W PLECAKI
przyczepki rowerowe, nosidła turystyczne
20% zniżki na wypożyczenie przyczepki i nosideł
5% zniżki na przyczepki rowerowe oraz akcesoria dla dzieci,
7% na zakup nosideł turystycznych Deuter
www.sklep.dzieciakiwplecaki.pl
tel. 660-677-916



NAPRAWA BUTÓW

WSPINACZKOWYCH
Zniżka w wysokości **5%** przy pojedynczym zamówieniu
Zniżka w wysokości **10%** przy zamówieniu grupowym powyżej 15 par



TKsport

www.tksport.pl
oraz w sklepie w Nowym Sączu, Tarnowie oraz w Rzeszowie
15% dla wszystkich członków klubu
20% dla instruktorów



Monkey's grip
www.monkeysgrip.com/
10% dla wszystkich członków klubu
15% przy zamówieniach powyżej 2000 PLN